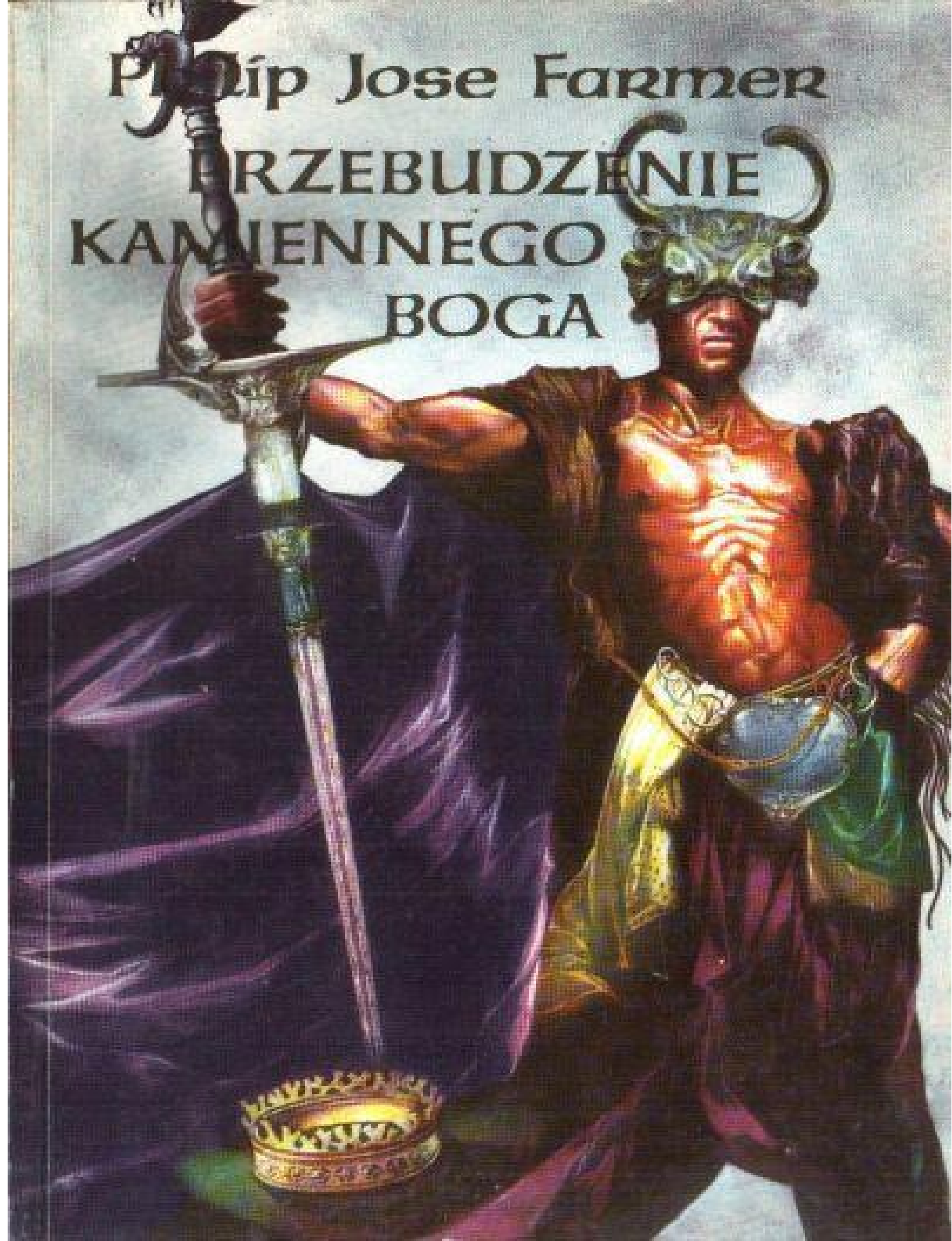


Philip Jose Farmer

PRZEBUDZENIE
KAMIENNEGO
BOGA



PHILIP JOSÉ FARMER

PRZEBUDZENIE KAMIENNEGO BOGA

(Przełożył Wiesław Marciniak)

Obudził się i nie wiedział, gdzie jest.

W odległości pięćdziesięciu stóp trzaskały płomienie. Dym z płonącego drewna zatykał nos i wyciskał z oczu łzy. Gdzieś w oddali krzyczeli ludzie.

Kiedy otwierał oczy, kawałek plastyku spadł spod jego rąk. Coś delikatnie uderzyło go w kolana, ześlizgnęło się wzdłuż nóg i upadło na kamienny krąg u jego stóp.

Siedział na krześle przy swoim biurku. Krzesło stało na ogromnym tronie, wykutym w granicie, a sam tron znajdował się na okrągłej, kamiennej platformie. Na kamieniu widać było ciemne, czerwono-brązowe plamy. To, co spadło, stanowiło część biurka, o które się opierał, kiedy stracił przytomność.

Znajdował się w jednym z końców ogromnej budowli z gigantycznych kłód, drewnianych słupów i wielkich belek stropowych. Płomienie pięły się po ścianie w jego kierunku. Dach w drugim końcu właśnie się ugiął, pozwalając, by kapryśny wiatr wywiał dym. Zobaczył wtedy niebo. Było czarne, lecz nagle, gdzieś daleko, błysnęło. Około pięćdziesiąt jardów dalej stało wzgórze, całe w płomieniach. Na wierzchołku rysowały się drzewa. Drzewa z liśćmi.

Jeszcze chwilę temu była zima. Zaspy głębokiego śniegu otaczały budynki centrum naukowego w Syracuse, w stanie Nowy York.

Kłęby dymu zasłoniły mu widok. Płomienie pięły się w górę i rozchodziły na boki, w kierunku licznych, długich stołów i ław, aż do podtrzymujących dach, grubych pali. Z wyrzeźbionymi jedna nad drugą tajemniczymi głowami, wyglądały niczym totemy. Stoły zastawione były talerzami, pucharami i innymi prostymi naczyniami. Na najbliższym, z przewróconego dzbana wylewał się ciemny płyn.

Wstał i zakaszał, gdy dym, jakby mackami, objął jego głowę. Zstąpił z ogromnego kamiennego tronu, który teraz, oświetlony zbliżającymi się płomieniami, okazał się być z granitu, z żyłami kwarcu. Rozejrzał się oszołomiony. Dojrzał krawędź uchylonych drzwi – dwuskrzydłowych drzwi lub bramy. Na zewnątrz, wśród płomieni i okrzyków, zataczały się i padały zwarte w walce ciała.

Musiał się stąd wydostać, zanim dym lub ogień obezwładnią go, lecz nie miał ochoty wbiec w środek bitwy. Przykucnął na kamiennej platformie, po czym zszedł na twarde klepisko sali.

Broń. Potrzebna mu była broń. Przeszukał kieszenie marynarki i wyciągnął nóż sprężynowy. Nacisnął guzik i wystrzeliło sześciocalowe ostrze. W 1985 roku noszenie noża takiej długości w Nowym Yorku było nielegalne, ale skoro człowiek chciał sobie zapewnić bezpieczeństwo w tych czasach, musiał robić nielegalne rzeczy.

Szybko przeszedł przez dym i, nadal kaszłąc, dotarł do wahadłowych drzwi. Ukląkł i wyjrzał dołem, gdyż górna krawędź drzwi znajdowała się ponad jego głową.

Ogień z płonącego hallu i innych budynków połączył się, aby oświetlić scenę. Włochate nogi i ogony, białe, czarne i brązowe, tańczyły dookoła. Nogi były ludzkie, a zarazem nieludzkie. Zginały się w dziwny sposób, wyglądały jak tylne kończyny czworonogów, które zdecydowały stanąć w pozycji pionowej, jak ludzie.

Właściciel pary nóg upadł na wznak, z włócznią wbity w brzuch. Mężczyznę wprawiło to w jeszcze większe zdziwienie. Stworzenie wyglądało jak skrzyżowanie ludzkiej istoty z syjamskim kotem. Tułów był cały biały; twarz poniżej czoła czarna; końce nóg, rąk i ogona też czarne. Twarz, tak samo płaska jak u człowieka, nos miała czarny i okrągły jak u kota, a uszy czarne i spiczaste. Usta, otwarte w momencie śmierci, ukazywały ostre, kocie zęby. Włócznię wyrwało stworzenie o podobnie zakrzywionych nogach i długim ogonie, lecz futrze jednolicie brązowym. Nagle rozległ się krzyk, nogi chwiejnie zrobiły kilka kroków do przodu i potknęły się o syjamsko-kocio-ludzką istotę. Wówczas mężczyzna ujrzał więcej szczegółów budowy włócznieka. Nie był to człowiek. Wyglądało

na to, że on także przeszedł ewolucję z czworonoga w istotę dwunożną, uzyskując po drodze szereg ludzkich cech, takich jak płaską twarz, oczy skierowane do przodu, brodę, ludzkie dłonie oraz szeroką klatkę piersiową. Jednakże, podczas gdy pierwsze stworzenie przypominało kota syjamskiego, to ten wyglądał na szopa. Był cały brązowy, z wyjątkiem okolic oczu i policzków, które pokrywały czarne pasy futra.

Mężczyzna nie zauważył, co tamtego zabiło.

Nie miał najmniejszej ochoty wyjść z kryjówki, zanim ogień go do tego nie zmusi. Skulony przy bramie, spoglądał przez szczelinę. Zdawało mu się, że utracił poczucie rzeczywistości. A może właśnie to było rzeczywistością, a ta diabelska scena fantazją, która ożyła w jego umyśle.

Płomienie kąsały go w plecy. Część dachu w przeciwnym krańcu budynku załamała się. Przecisnął się z trudem pod bramą, mając nadzieję, że odczołga się niezauważony.

Zatrzymał się przy ścianie budynku, czekając, aż otoczy go dym. Pomogło mu to w ukryciu, lecz jednocześnie wywołało kaszel i wydusiło z oczu łzy. Dlatego też nie zauważył stwora, o twarzy szopa, z uniesionym tomahawkiem, który wytoczył się z dymu w jego stronę. Mężczyzna uświadomił sobie dopiero wtedy, gdy było za późno, że stworzenie nie miało zamiaru go zaatakować. Po prostu szło po omacku w dymie, ślepe na jedno oko, które wisiało na nitce nerwów. Stwór prawdopodobnie nie był świadom obecności mężczyzny, dopóki omal na niego nie wpadł.

Mężczyzna pchnął nożem w górę, aż ostrze weszło we włochaty brzuch. Polała się krew, a stwór zatoczył się do tyłu, uwalniając ostrze. Upuścił tomahawk przy głowie mężczyzny, który przyglądał się, jak stworzenie cofa się chwiejnym krokiem, trzymając się za brzuch, obraca się i pada na bok. Dopiero wówczas mężczyzna uświadomił sobie, że szop nie miał zamiaru go atakować. Przerzucił nóż do lewej ręki, a prawą sięgnął po tomahawk. Poczował się dalej, kaszląc w coraz gęstszym dymie.

Czuł w sobie mróz, jednak mógł działać. Umysł dopiero co zaczął się rozgrzewać; organizm kruszył swoje własne lody i przebijał się przez skorupę do przebłysku ciepła. Inny szop zbliżył się do niego; ten już z pewnością widział go, lecz niezbyt dokładnie. Wbijając się wzrokiem w dym, podbiegł do mężczyzny. W obu rękach, na wysokości brzucha, trzymał krótką, ciężką włócznię z kamiennym grotem. Przykucnął, jakby nie był pewien, co zobaczył.

Wówczas mężczyzna podniósł się z gotowym tomahawkiem i nożem. Czuł, że nie ma zbyt wielu szans. Chociaż to włochate dwunożne stworzenie miało wzrostu tylko około pięciu stóp i dwóch cali, ważyło może sto trzydzieści pięć funtów, a on mierzył sześć stóp, trzy cale i ważył sto czterdzieści pięć, to nie miał pojęcia, jak się skutecznie rzuca tomahawkiem. Jak na ironię był pół krwi Irokezem.

Kiedy szop zbliżył się, zaczął zwalniać. Zatrzymał się w odległości około trzydziestu stóp. Nagle jeszcze bardziej wybałuszył oczy i zawył. W ogólnej wrzawie jego wycie uszło by uwadze, ale sześciu innych – trzy koty, jak ich w myślach nazywał, i trzy szopy – także go zobaczyło. Przerwali walkę, aby mu się przyjrzeć, a kilka z nich zawołało na pobliskich wojowników. Ustały ciosy i pchnięcia, zapadła niczym nie zmacona cisza.

Mężczyzna zaczął przesuwac się w kierunku drabiny. Tylko szop, który go pierwszy zauważył, był wystarczająco blisko, aby stanąć mu na drodze. Ktoś mógł rzucić w niego dzidą lub tomahawkiem, ale postanowił zaryzykować. Jak dotąd, nie zauważył ani łuków, ani strzał.

Szop odsunął się, gdy mężczyzna się przybliżył; jednak poruszał się bokiem i gdyby tylko chciał, mógł nadal stanąć między nim a drabiną. Nagle szop postąpił naprzód i uniósł włócznię, więc mężczyzna musiał się bronić. Nie podobała mu się utrata tomahawka, ale gdyby go zatrzymał, nie na wiele by się zdał, jako broń przeciw włóczni – Jego jedyną szansą było trafienie stwora, zanim podejdzie by go pchnąć dzidą. Rzucił toporkiem z całą siłą, jaką mógł zebrać w zamarzniętym ciele. I

dzięki szczęściu, a nie umiejętności, udało się; krawędź tomahawka trafiła szopa w szyję. Przewrócił się i upadł na wznak.

Rozległ się krzyk widowni, która składała się teraz prawie z wszystkich wojowników. Męczyzna odróżniał nawet w ryku kotów tryumf, a rozpacz u szopów. Szopy, jak jeden rzuciły się do drabin, upuszczając dzidy i tomahawki. Kilku zdołało przedostać się przez palisadę, lecz większość zginęła od noży i siekier, zanim dotarła do drabin, lub już na szczeblach. Ujęto kilku więźniów.

I dopiero wówczas męczyzna uświadomił sobie, że ten szop także nie chciał użyć włóczni przeciwko niemu. Podniósł ją tylko po to, aby odrzucić na bok, jakby w geście poddania. Lecz tomahawk wtedy był już w drodze. Rzeczywistość to nie taśma magnetyczna, która można cofnąć, pociąć i skleić, albo rozmagnesować.

Ludzie-koty stłoczyli się dookoła niego, chociaż nie podchodzili na tyle blisko, by go dotknąć. Upadli na kolana i w taki sposób zbliżali się z wyciągniętymi rękami. Broń leżała przed nimi na ziemi. Ich twarze przyjęły dziwny wyraz; sierść, okrągłe, czarne i mokre nosy, szeroko rozstawione, długie, ostre kły i oczy, zupełnie jak u kota, czyniły wyraz twarzy nie do rozszyfrowania. Ich postawa wyrażała grozę, strach i uwielbienie. Cokolwiek ukazywały ich twarze, oczywistym było, że nie mieli zamiaru go skrzywdzić.

Płomienie za nim zajaśniały i zobaczył, jak oczy niektórych błyszczą w ogniu. Ich tęczęwki miały kształt wąskich liści.

Jeden z nich podszedł bliżej, by go dotknąć. Dłoń była, za wyjątkiem owłosienia, podobna do ludzkiej. Miała cztery palce z paznokciami, a nie z pazurami. Kciuk był przeciwstawny.

Poczuł na udzie opuszki palców; ich dotyk zdawał się łamać jego obronę. Nocne niebo, płonące budowle, drewniane palisady, brązowo--biało-czarne ciała stworów z ogonami, a teraz jeszcze rozognione oczy, twarzyczki dzieci i kobiet wyglądające z chat. To wszystko zawirowało; dookoła, dookoła. Klęczący przed męczyzną stwór krzyknął w przestrachu i spróbował wycofać się na kolanach. Męczyzna upadł na ziemię, uderzył się w bark, a wszystko dookoła niego zaczęło galopować. Jedynym stałym punktem był czarny koniuszek ogona, leżący przed jego oczyma. Koniuszek drgał i drgał, aż powiększył się i zrobił czarny, i wszystko szerniało i ucichło.

Powróciły światło i dźwięk. Leżał na miękkich futrach, pod którymi też znajdowało się coś miękkiego. Ponad nim było niskie sklepienie, z belkami poczerniałymi od dymu i ciemnymi figurynkami, wyrzeźbionymi w drewnie, ozdobionymi futrzanymi frędzlami, które wisiały, przyczepione do sufitu rzemieniami. Pokój miał dwadzieścia na trzydzieści stóp; wypełniony był ludźmi-kotami. Najbliżej jego łoża stali mężczyźni, ale po chwili rozstąpili się, tworząc przejście dla kobiety. Miała pięć stóp wzrostu i pełne, okrągłe piersi pod sierścią; okolice wokół brodawek pozbawione były owłosienia. Na jej szyi spoczywał potrójny zwój paciorków z dużych, niebieskich kamieni; z futrzanych opasek na nadgarstkach zwisały kamienne figurki. Oczy jej były koloru ciemnoniebieskiego, co przypomniało mu syjamskiego kota jego siostry.

Mężczyźni mieli na sobie paciorki i napierśniki z kości, bransoletki z postaciami lub figurami geometrycznymi na przegubach dłoni i nóg; kilku nosiło pióropusze, których nie powstydziliby się wodzowie z westernów. Tylko niektórzy byli uzbrojeni, jednak sądząc z ich ozdób i pogodnego nastroju, zdawali się być bardziej ceremonialni niż powszedni.

Kobieta pochyliła się nad nim i powiedziała coś. Nie spodziewał się, że ją zrozumie, i rzeczywiście jej nie rozumiał. Nie potrafił zidentyfikować tego języka i przypisać go do którejś z wielkich rodzin językowych. Nie było w nim nic germańskiego, słowiańskiego, semickiego, ani też

chińskiego czy bantu. Jeśli mu coś przypominał, to język polinezyjski, z miękkimi samogłoskami, lecz bez gardłowych głosek zwartych. Po chwili, gdy ucho bardziej przywykło, usłyszał je, ale niczego nie oznaczały, w przeciwieństwie do polinezyjskiego. Nie spełniały żadnej funkcji, tak jak głoski zwarte w angielskim.

Kobieta miała zęby jak zwierzęta mięsożerne, lecz jej oddech był świeży. Język wyglądał na tak samo szorstki jak u kota. Mimo jej prawdziwie obcego wyglądu, złapał siebie na myśli, że jest piękna. Lecz syjamskie koty zawsze uważał za tajemnicze i piękne stworzenia.

Wsparł się na łokciu i próbował usiąść. Swoją nogę, oblepioną krwią, miał przy boku. Kobieta wycofała się, a mężczyźni za nią, stłoczyli się, aby także wyjść. Szeptali przerażonymi głosami.

Siedział przez chwilę, zaciskając dłonie na krawędzi łoża. Właściwie nie było to łóżko, tylko sterta futer wewnątrz niszy w ścianie. Nie było okien, a światło docierało przez dwoje otwartych drzwi w odległej ścianie i od pochodni, przytwierdzonych do ścian. Na zewnątrz stał tłum mężczyzn, kobiet oraz dzieci. Dzieci – kocięta wyglądały bardzo wdzięcznie z czarnymi, spiczastymi uszami, okrągłymi główkami i wielkimi oczyma. Ich ogony nie były tak czarne jak u dorosłych.

Kiedy wstał, przez sekundę zakręciło mu się w głowie, ale odzyskał jasność umysłu. W tym momencie otworzyła się nowa nawa i weszła inna kobieta. Niosła dużą glinianą misę, pomalowaną w geometryczne wzory, wypełnioną zupą z mięsa i warzyw. Zapach był bardzo apetyczny, lecz trudny do określenia. Przyjął misę wraz z drewnianym sztućcem, który z jednej strony spełniał rolę łyżki, a z drugiej widelca o dwóch zębach. Zupa była pożywna i smaczna, a kawałki mięsa przypominały smakiem sarninę lub mięso antylopy. Przez chwilę wyobrażał sobie, iż mięso pochodzi z człowieka-szopa, jednak uznał, że jest nazbyt głodny, by się nad tym zastanawiać. Mimo onieśmielającej ciszy i bacznych spojrzeń zgromadzonych zjadł całą zupę. Wówczas kobieta zabrała naczynie, a wszyscy dookoła wstali, tak jakby czekali, aby on zrobił następny ruch.

Rozstąpili się, aby zrobić mu przejście, a on podszedł do najbliższych drzwi. Słońce właśnie oświetlało wzgórze na wschodzie. Musiał być nieprzytomny przez długi czas; uznał, że stało to się z powodu szoku, wywołanego tak przerażającym i nieznanym otoczeniem.

Teraz, kiedy myślał bardziej na trzeźwo... Gdzie jest? Gdzie, do diabła, jest?

Drzewa i wzgórze, które widział w oddali, przypominały mu tereny wokół Syracuse; ale to było jedyne podobieństwo.

Wielki hali spalił się tylko w połowie, tak jak inne budynki, które, według niego, powinny zamienić się w popiół. Ziemia dookoła nich nadal była mokra od deszczu, który ugasił płomień.

Obok przeogromnego hallu z belek, otoczona palisadą wioska wyglądała jak osada Indian Onandaga z jej długimi domami. Drabiny i ciała zniknęły. W pobliżu głównej budowli, w kilku drewnianych klatkach więziono około dwunastu ludzi-szopów.

Bramy w palisadzie były otwarte, ukazując pola kukurydzy i inne uprawy. Pracowały na nich kobiety, podczas gdy młodsze dzieci biegały dookoła, a starsze pomagały matkom. Uzbrojeni mężczyźni stali na straży na skraju pól; inni czuwali na wysokich wieżach obserwacyjnych poza polami, a także na palisadzie.

Niebo i słońce były te same, które znał przez całe życie.

Ludzie-koty najwidoczniej oczekiwali, że czegoś dokona. Miał nadzieję, że nie zrobi nic, co zmieniliby ich przestraszyć we wrogość. Był kompletnie dezorientowany, i mógłby oszaleć, gdyby nie pragmatyzm, głęboko zakorzeniony w jego naturze.

Jedyną możliwością była nauka języka.

Wskazał na kobietę, którą zobaczył pierwszą, tę, która przypominała mu syjamskiego kota jego siostry. Potem wskazał siebie i powiedział po angielsku – Ulisses Singing Bear – czyli Ulisses

Spiewający Niedźwiedź.

Spojrzała na niego. Reszta zaszepotała i poruszyła się z niepokojem.

– Ulisses Śpiewający Niedźwiedź – powtórzył.

Uśmiechnęła się, a przynajmniej szeroko otworzyła usta. Przerazający uśmiech. Te zęby jednym ruchem mogły wyrwać mu kawał mięsa. Nie dlatego, że były tej wielkości, co u kota domowego. Były rzeczywiście małe; a kły nieznacznie dłuższe od innych zębów. Jednak były naprawdę ostre.

Powiedziała coś, a on powtórzył swoje imię. Najwidoczniej próbowała powtórzyć te słowa, chociaż może nie odgadła, że to jego imię.

Po chwili zdołała wypowiedzieć – Wurisa Asiingagna Wapira.

Tylko na tyle mogła imitować angielskie dźwięki.

Wzruszył ramionami. Do niego należało adaptowanie się. Nauczy się ich języka.

– Wurisa – powiedział z uśmiechem.

Większość z nich spojrzała ze zdziwieniem. Dopiero później odkrył dlaczego. Pomimo wszystko, od własnego boga można się spodziewać, że potrafi mówić językiem swoich wyznawców. Lecz oto ich bóg i zbawca, ten, na którego czekali setki lat, jest nie bardziej zdolny do mówienia językiem bogów niż nowo narodzony.

Na szczęście Wufowie kierowali się rozumem, podobnie jak ludzie. Ich główny arcykapłan i jego córka, Awina pospieszyli z wyjaśnieniem: Wurutana – Wielki Pożeracz rzucił na niego czar, kiedy Wuwisa, bóg ludu Wufów, został zamieniony w kamień. Wuwisa zapomniał swojego języka, lecz wkrótce może się go powtórnie nauczyć.

Awina została jego głównym nauczycielem. Przebywała z nim prawie przez cały czas, i jako że lubiła rozmawiać, nawet z bogiem, który ją trochę przerażał, uczyła go szybko. Była inteligentna – czasami myślał, że bardziej niż on sam – i wymyślała wiele sposobów przyspieszenia jego nauki.

Miała także poczucie humoru. Kiedy Ulisses zrozumiał kalambur, który powiedziała, wiedział, że robi szybkie postępy. Tak był zadowolony z siebie i z niej, iż omal jej nie pocałował. Rosła w nim sympatia do tego delikatnego, zwinnego i ciągle roześmianego stworzenia. Lecz nie zamierzał posuwać się zbyt daleko. Ona jednak była punktem ogniskującym; wyspą w nieznanym świecie i na falującym morzu, a poza tym przyjemnie było w jej towarzystwie. Kiedy wychodziła, czuł, wkradający się jak lawa pod żelaznymi drzwiami, niepokój.

Do czasu zanim zrozumiał jej pierwszy kalambur, zapoznał się z wioską i terenami na kilka mil dookoła. Zawsze towarzyszyło mu dwunastu młodych wojowników wraz z kapłanem. Szli w dowolnym kierunku przez kilka mil, ale w pewnej odległości zatrzymywali go. Chciał iść dalej, lecz, z drugiej strony, nie był gotów na to, aby wymusić coś, na jego, bądź co bądź, strażnikach.

Na północy i zachodzie wysokie, faliste wzgórza, jeziora, kilka małych rzek oraz liczne strumienie przypominały okolice Syracuse. Na wschodzie, za ciągnącymi się kilka mil wzgórzami, rósł las iglasty. Na południu górzysta okolica przechodziła po dwóch milach w równinę. Ciągnęła się, jak tylko mógł sięgnąć wzrokiem ze wzgórza o wysokości ośmiuset stóp. Na horyzoncie ciemniał wielki masyw, według niego, pasmo górskie. Na drugiej wyprawie zdecydował, że jest to masyw chmur. Po trzeciej doszedł do wniosku, że sam już nie wie, co to jest.

Zapytał o to A winę. Spojrzała na niego dziwnym wzrokiem i wykrzyknęła: Wurutana! Wydało mu się, że nie rozumie, dlaczego on może o to pytać.

Już wtedy wiedział, że Wurutana oznacza Wielkiego Pożeracza. Miało to też inne znaczenie, ale nie znając jeszcze dobrze języka, nie mógł wyłapać pewnych subtelności.

Na północy i wschodzie, jak twierdziła Awina, znajdowały się jeszcze inne wioski Wufów. Ich wrogowie, którzy sami nazywali się Wagaronditami, mieszkali na zachodzie i północy. We wsi

Wufów żyło około dwustu ludzi, a wszystkich było blisko trzy tysiące.

Wagarondici mieli swój własny język, nie spokrewniony z językiem Wufów. Ale obie grupy używały trzeciego języka – handlowego. Mowa ta nosiła nazwę Ayrata.

Wufowie nie posiadali metalu, ani go nawet nie znali. Nóż Śpiewającego Niedźwiedzia był pierwszym stalowym nożem, jaki ujrzeli.

Co więcej, nie znali łuku. Mogli nie znać metalu, ponieważ na tym terenie prawdopodobnie nie występował. Jednak nawet ludzie z epoki kamiennej mieli łuk i strzały. Wtedy przypomniał sobie australijskich aborygenów, którzy byli tak zafocani w technologii, że nie odkryli zasad łucznictwa. A Indianie amerykańscy: niektórzy z nich sporządzali koła do dzieciennych zabawek, jednak nie wykorzystali tego wynalazku do budowy wozów czy taczek. Dlaczego nie miałyby im pomóc? Był wystarczająco inteligentny.

W trakcie swych wypraw, szczególnie na wschód, rozglądał się za odpowiednim materiałem, aż znalazł drzewo, przypominające cis. Strażnicy odcięli kamiennymi siekierami gałęzie i odnieśli je do wsi. Na miejscu zdobył jeszcze jelita i pióra, jakie mu były potrzebne, i po niezbędnych próbach, zrobił kilka łuków i strzał.

Wufowie byli zaskoczeni, ale bardzo szybko zrozumieli, jak nowa broń działa. Po krótkich próbach w strzelaniu do celów na trawie, sprowadzili więźnia Wagarondita. Wyprowadzili go na pole i kazali iść.

Ulisses zawahał się; nie znał zasięgu swojej władzy. Wiedział, że jest pewnego rodzaju bogiem. Wyznali mu to, a nawet, gdyby tego nie uczynili, mógł to odgadnąć z ich stosunku do niego. Brał nawet udział w kilku uroczystościach w jeszcze nie odbudowanej świątyni, ale jakim był bogiem i jak mocnym, nie wiedział. Teraz pojawiła się dogodna sytuacja, aby się dowiedzieć. Nie miał powodu wstawiać się za Wagaronditą, ale nie potrafił tak tego zostawić. Nie mógł stać i patrzeć, jak młodzi wojownicy sprawdzają swój kunszt na człowieku-szopie.

Początkowo niektórzy Wufowie byli skorzy do kłótni. Hardo na niego spoglądali, a nawet coś pomrukiwali. Lecz nikt otwarcie nie przeciwstawił się, a kiedy arcykapłan, ojciec Awiny – Aytheera – podniósł na nich głos, potrząsając różdżką ozdobioną wężem, dużymi ptasimi głowami i grzechoczącą tykwą, zdołał ich przestraszyć. Chodziło mu o to, że obowiązuje ich teraz nowy reżim. Ich poglądy na to, jaki powinien być bóg, niekoniecznie muszą się pokrywać z poglądami samego boga. Jeżeli ich szybko nie zweryfikują, bóg może zamienić wszystkich w kamień, ciskając błyskawicę. Będzie to odwrócenie procesu, w którym kamienny bóg przebudził się, stał się ciałem, i jeszcze raz zstąpił do nich.

Wówczas, po raz pierwszy, Śpiewający Niedźwiedź napotkał ślad tego, co mu się przydarzyło. Zapytał o to później A winę, układając każde pytanie tak, aby nie zdradzić swojej niewiedzy. Uśmiechnęła się nieśmiało i spojrzała na niego kątem oka. Może domyślała się, że on nie wie nic o tym, co się stało. Lecz jeśli była dość inteligentna, by to zrozumieć; była też na tyle mądra, aby trzymać język za zębami.

Był kamieniem. Znalaziono go na dnie jeziora, opróżnionego podczas trzęsienia ziemi. Zespolony z kamiennym krzesłem, opierał ręce na odłamku skały; siedział pochylony. Był tak ciężki, że trzeba było wysiłku wszystkich mężczyzn z dwóch wiossek, aby wyciągnąć go z mułu i przetoczyć na rollkach do większej wsi. Tam, ustawiono go na granitowym tronie, który czekał przygotowany dla niego od wielu pokoleń.

Powiedziała, że tron znaleziono w ruinach potężnego starożytnego miasta. Niezbyt jasno wyrażała się o tożsamości miasta i jego położeniu. Gdzieś na południu. W tamtych czasach, kilka generacji temu, Wufowie mieszkali o wiele marszów na południe, na równinie, przez którą

wędrowały” setki tysięcy dzikich zwierząt. Nagle ponad skupiskiem wiosek i starożytnym miastem wyrósł Wurutana. Wufowie zostali zmuszeni do odejścia na północ, uciekając przed jego cieniem. Musieliby ruszać ponownie w następnej generacji, gdyby piorun nie uderzył w Wuwisa, zamieniając kamień w ciało i ożywiając go.

Stało się to podczas burzy, kiedy atakowali Wagarondici. Od niego zajęła się świątynia. W innych miejscach ogień podłożyli napastnicy.

Nocą Ulisses wyszedł na dwór ze swojego mieszkania w świątyni. Spojrzał na niebo i zastanowił się czy rzeczywiście jest na Ziemi. Nie wiedział, w jaki sposób mógłby dostać się gdzie indziej; lecz jeśli to Ziemia, to który to był rok?

Gwiazdy tworzyły nieznane konstelacje, a księżyc wydawał się większy i jak gdyby bliżej Ziemi. Nie przypominał tego srebrnego i nagiego z 1985 roku. Był niebieskozielony z białymi plamami dryfującymi nad jego powierzchnią. Właściwie, to wyglądał jak Ziemia, widziana z satelity. Jego skały przeszły pewne procesy i dawały teraz powietrze/tworzyły glebę, rodziły wodę. W historii znane były artykuły rozważające możliwość terrafikacji, lecz szansę nawet na zapoczątkowanie tego procesu mogły zaistnieć dopiero za kilka wieków.

Jeżeli był czegoś pewien, poza tym, że żyje, to tego, że od 1985 roku minęło kilka wieków albo tysiącleci.

Przede wszystkim minęłyby miliony lat, zanim koty mogłyby zmienić się w człekokształtne. Właściwie to taka ewolucja powinna być teoretycznie niemożliwa. Koty z jego czasów wyspecjalizowały się zbyt dalece, by zmienić się w te stworzenia. Były w ślepej uliczce.

Możliwe więc, że Wufowie nie pochodzili od kotów. Podobieństwo do kota syjamskiego mogło być mylące. Być może wywodziły się z innej rodziny. Możliwe, że te dwunożne osobniki rozwinęły się z szopów. Były one wystarczająco wszechstronne.

Może Wufowie, podobni do kotów, oraz Wagarondici, podobni do szopów (ale do kotów też) pochodzili od szopa, czy nawet od naczelnych, na przykład od lemura. Wydawało się to mało prawdopodobne, biorąc pod uwagę oczy. A właściwie – niemożliwe. Dlaczego zachowały ogony? O ile wiedział, nie służyły żadnym praktycznym celom. Ewolucja odcięła ogony wielkim małpom człekokształtnym. Dlaczego nie stało się tak z tymi stworzeniami?

Należało także rozpatrzyć inne formy życia zwierzęcego. Były konie, biegające swobodnie po równinach na południu; mniejsza wersja znanych mu rasowych koni. Inne gatunki zamieszkiwały lasy. Dostarczały Wufom mięsa; nie wpadli oni jeszcze na pomysł ich ujeżdżenia. Konie nie zmieniły najważniejszych cech. Było jednak jeszcze inne zwierzę, o delikatnej głowie i szyi żyrafy; żywiło się liśćmi drzew. Mógł przysiąc, że to zwierzę pochodzi od konia.

Była także latająca wiewiórka; choć nie ta sama, szybująca, z jego czasów. Ta posiadała skrzydła nietoperza i podobnie latała. Jednak był to gryzoń, który z pewnością pochodził od latającej wiewiórki.

Widział jeszcze ptaka, wysokiego na dwanaście stóp, o bardzo mocnych nogach. Wyglądał zupełnie tak, jakby jego przodkiem był karłowaty struś z południa.

Spotkał poza tym wiele innych zwierząt, których istnienie dowodziło, trwającej miliony lat, ewolucji od form mu znanych.

Awinę ciekawiło jego życie przed skamienieniem. Uznał, że lepiej będzie za dużo o tym nie mówić, aż dowie się, czego ona się spodziewa. Opowiedziała mu kilka religijnych opowieści o Wuwiso. Krótko mówiąc, był jednym ze starożytnych bogów, jedynym, który przeżył straszliwą bitwę

z Wurutaną – Wielkim Pożeraczem. Wurutana wygrał, niszcząc pozostałych bogów. Wszystkich, oprócz Wuwisa. On uciekł, lecz aby zmylić swego wroga, który go ścigał, zamienił się w kamień. Wurutana nie był w stanie zniszczyć kamiennego boga, ale zakopał go we wnętrzu góry, gdzie nikt nigdy nie miał go znaleźć. Wurutana zaczął rosnać, chcąc pokryć całą ziemię.

Tymczasem Wuwiso leżał we wnętrzu góry, nic nie czując, nic nie wiedząc, i o nic się nie martwiąc. Wurutana był uszczęśliwiony. Lecz nawet on nie był tak potężny, jak najpotężniejszy ze wszystkich bogów – Czas. To on zmył górę i przez to rzeka zaniósła kamiennego boga do kanionu, gdzie osiadł na dnie głębokiego jeziora. Później, po trzęsieniu ziemi, wyschły wody i Wufowie znaleźli kamiennego boga, tak, jak zostało przepowiedziane. Wufowie czekali przez wiele pokoleń, czekali na zapowiedzianą błyskawicę, która ożywi ich wybawcę. I wreszcie, w godzinę największej klęski Wufów, tak jak mówi przepowiednia, burza zstąpiła na ziemię. Uderzenie pioruna uwolniło Wuwisa z niewoli kamienia.

Ulisses Śpiewający Niedźwiedź nie wątpił, że w tym micie jest trochę prawdy.

W 1985 roku – ile to już lat temu? – pracował jako biofizyk nad Projektem Niobe. Napisał już połowę doktoratu w Syracuse University. Celem projektu było skonstruowanie „zamrażacza materii”, jak go nazywali pracownicy. Urządzenie to potrafiło zatrzymać w materii ruch atomów na nieokreślony czas. Molekuły i atomy, części składowe atomu – protony, neutrony i tak dalej, zamierały. Bakteria, wystawiona na wiązkę energii z „zamrażacza” stawała się mikroskopijnym posągim. Była z kamienia, lecz z kamienia niezniszczalnego. Nic – kwasy, eksplozje, promieniowanie, temperatura – nie mogły go zniszczyć.

Urządzenie działało jak czynnik konserwujący, lub też, jak kto woli, „promień śmierci” czy też „promień życia”. Jak dotąd było niepraktyczne z powodu bardzo krótkiego zasięgu oraz poboru ogromnej mocy. Poza tym, nie istniała nawet teoria, jak skamieniałą materię ożywić.

Dotąd poddano skamienieniu bakterię, jajo jeżowca morskiego, dżdżownicę oraz szczura. Tego ranka, kiedy Ulisses zapadł w ten długi sen, przeprowadzał doświadczenie ze świnką morską. Gdyby eksperyment się udał, następnym krokiem byłby kucyk.

Wszystko szło jak poprzednio, aż do pewnego momentu. Ulisses siedział za biurkiem i właśnie miał wstać, by podejść do blatu kontrolnego. Moc była włączona i zamrażacz rozgrzewał się. Zza biurka widział tablicę rozdzielczą ze wskaźnikami mocy, wieloma licznikami i miernikami.

Nagle wskazówka dużego miernika mocy przesunęła się na czerwone pole. Laboranci krzyknęli, a jeden z nich podskoczył... Ulisses podniósł wzrok, kiedy wskazówka obróciła się. To było wszystko, co pamiętał. Od tamtej chwili, aż do czasu kiedy otworzył oczy w płonącej świątyni, nie było nic.

Łatwo sobie wyobrazić, co się stało. Coś nie wytrzymało w skomplikowanym urządzeniu; maszyna wypuściła, czy też wystrzeliła cienki, skoncentrowany promień, którego teoretycznie nie była jeszcze w stanie wytworzyć. I on, Ulisses Śpiewający Niedźwiedź, został trafiony. „Skamieniał”. Czy inni uciekli, czy także zostali obróceni w kamień, tego nie wiedział. Może już nigdy się nie dowie.

Tak więc, wieki mijały, a on istniał jako posąg z materii najtwardszej we wszechświecie. Mógł tkwić w tym stanie, kiedy Słońce wybuchło, rozbiło Ziemię i wyrzuciło go wśród wielkich, wirujących odłamków w kosmos, do gwiazd. Jak się domyślał, tak właśnie się stało, a on dryfował przez miliony lat, a może tryliony, gdy umierały galaktyki i powstawały nowe. Albo też, cała materia w rozedrganym wszechświecie ruszyła, by utworzyć naczelny atom, a potem wybuchła. Wyrzuciło go z prędkością równą połowie prędkości światła, i wtedy złapała go nowo tworząca się materia; być może, stał się załączkiem nowej planety. A może znalazł się we wnętrzu gwiazdy, i niewyobrażalnie

duży wybuch wyrzucił go w przestrzeń kosmiczną, gdzie pochwytiło go pole grawitacyjne jakiejś planety i wessało. Spadając, spalił tony powietrza, aż wbił się głęboko w ziemię. I tak leżał tam, gdy pierwotnie skłódkowodne oceany zmieniały się w słone, a kontynenty rozpadały się i odpływały od siebie, dryfując na powierzchni ziemi. Wyniosły go nowo powstające łańcuchy górskie, a trzęsienia ziemi, wybuchy wulkanów, erozja, wiatr i woda odsłaniały go wiele, wiele razy. Po tych niezliczonych pogrzebach i wydobyciach stał się własnością Wufów. Ustawili go na granitowym tronie. Aż w końcu, być może tylko dzięki działaniu pioruna lub w połączeniu z naturalnym procesem słabnięcia czynności zamrażacza materii, w mikrosekundzie zmienił się z kamienia w ciało. Tak szybko, że jego serce, którego bicie zamarło na Bóg wie, ile lat, ożyło, nieświadome nawet, że zamrożone, milczało przez wieki.

Te wyobrażenia były śmiałe, lecz zawierały pewne prawdy. Nie sądził jednak, że jest w nowym wszechświecie. Uważał, iż znajduje się na Ziemi, obojętnie jaki osiągnęła wiek. Był to zbyt duży zbieg okoliczności, aby ta planeta posiadała księżyc, tak podobny do tego, który znał; albo to, że konie i króliki oraz wiele owadów były tu dokładnie takie same, jak niegdyś.

Fakt, że zrodził się z kamienia, był wystarczającym szokiem. Wielu ludzi mogłoby stracić rozum, a sam Śpiewający Niedźwiedź nie był pewien, czy zachowa jasność umysłu. Kiedy jednak szok ustąpił, zaczęła mu doskwierać samotność.

Wiedzieć, że wszyscy tobie współcześni i ich potomkowie już od setek tysięcy pokoleń są zamienieni w proch, sprawiało ból. A świadomość, że jest się jedyną żywą ludzką istotą, była nie do zniesienia.

Nie mógł mieć zupełnej pewności, że jest jedynym człowiekiem na Ziemi, i ta niepewność hamowała go przed rozpaczą. Zawsze była nadzieja.

Przynajmniej nie był tutaj sam. Miał z kim rozmawiać, nawet, jeżeli rozmówcy wyglądali tak obco, tak odrażająco; język zawierał pojęcia dla niego niezrozumiałe, a ich poglądy wydawały się czasami zagadkowe i denerwujące.

Ich stosunek do jego mniemanej boskości czynił jakąkolwiek zażyłość i ciepło trudnymi. Awina stanowiła wyjątek. Czowała przed nim lęk, ale posiadała obezwładniające ciepło i humor; nawet bóg nie mógł się na nie uodpornić, ani też Awina nie mogła ich przewyciężyć. Nieustannie powtarzała, że tego nie powinna była powiedzieć i czy Wuwiso jej przebaczy. Nie chciała być wścibska, nie chciała się spoufalać, i tak dalej. Ulisses wówczas zapewniał ją, że w jej zachowaniu nie znajduje nic, co by wymagało przebaczenia.

Awina miała siedemnaście lat i już rok temu powinna była wyjść za męża. Lecz jej matka zmarła, a ojciec – czterdziestoletni arcykapłan – odłożył zmuszenie do małżeństwa. Wykorzystywał swoją władzę do granic możliwości, gdyż niepisane prawo mówiło, iż wszystkie zdrowe kobiety powinny wstąpić w związek małżeński do szesnastego roku życia. Aytheera, na swój sposób miły człowiek, lubiany jako kapłan, zdołał więc dotychczas utrzymać córkę w domu. Mimo wszystko, nie mogło to tak dłużej trwać. Awina musiała zaakceptować partnera i przenieść się do jego domu. Chociaż arcykapłan miał wiele przywilejów, sam nie mógł się powtórnie ożenić. Dlaczego – nikt nie wiedział. Panował taki zwyczaj, a zwyczaju nie wolno łamać bezkarnie.

Teraz, kiedy nie mógł mieć córki przy sobie przez cały czas, Aytheera znalazł inną wymówkę, by przeciwstawić się jej zamążpójściu. Była służącą kamiennego boga, i będzie nią, tak długo, jak bóg sobie życzy jej posługi. Czy plemię się przeciwstawi?

Awina przebywała z bogiem, aż do chwili, kiedy udawał się na spoczynek i wtedy wracała do

domu ojca. Czasami narzekała, że ojciec rozmawia z nią do późna i nie może się wyspać. Kiedy Ulisses chciał z tym skończyć, błagała, aby tego nie robił. Ogólnie rzecz biorąc, czym jest mała utrata snu w porównaniu z odrobiną szczęścia ojca?

W międzyczasie Ulisses coraz bieglej władał językiem Wufów. Z łatwością opanował kombinacje dźwięków, z wyjątkiem pewnych nieznacznych różnic w samogłoskach, służących wyrażaniu czasów gramatycznych i ich zabarwienia. Brał także lekcje języka od uwięzionych Wagaronditów. Ich mowa była zupełnie nie spokrewniona z językiem Wufów, o ile się w tym orientował, chociaż naukowiec z dostępem do materiałów (które nie istniały) mógłby wyśledzić ich wspólnego przodka. Poza tym jaki laik podejrzewałby, że hawajski, indonezyjski i thai miały tego samego ojca? Język Wagaronditów zawierał szereg trudnych dla niego fonemów. Jego struktura przypominała mu języki Algonkinów, choć było to podobieństwo sztuczne.

Język handlowy, Ayrata, zdawał się nie być spokrewniony z żadnym z nich. Dźwięki były łatwe, a składnia tak nieskomplikowana i regularna, jak w esperanto. Zapytał Awinę skąd ta mowa pochodzi, na co ona odparła, że wprowadzili ją Thululiki. Nazwa używana przez Thululików, gdy ją wymawiali Wufowie brzmiała – Gutapa; ona nie mogła tego wymówić. Ich mowa przerastała jej siły. To oni wprowadzili Ayratę na „całym świecie”. Wszyscy ten język znali; handel, traktaty pokojowe, narady wojenne prowadzone były w Ayracie.

Ulisses przysłuchiwał się jej opisowi Thululików i doszedł do wniosku, że są to postacie spoza jej mitologii. Coś takiego nie mogło istnieć.

Wówczas to dowiedział się, że Wagaronditów oszczędzano na coroczne wielkie święto konfederacji Wufów. Wtedy więźniowie mieli iść na tortury i ostatecznie być złożeni mu w ofierze. Po raz pierwszy odkrył, skąd się wzięła krew na kręgu pod jego tronem.

– Ile zostało dni do święta kamiennego boga? – zapytał.

– Dokładnie jeden miesiąc – odpowiedziała.

Zawahał się, ale podjął:

– A co się stanie, jeżeli zakazę tortur i zabijania? Co, jeśli każę uwolnić Wagaronditów?

Awina otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia. Było południe i jej podopieczny odbijał się tylko czarną kreską na tle niebieskiej tęczy. Rozchyliła usta i różowy język przebiegł po czarnych wargach.

– Słucham, panie, ale dlaczego chcesz tak zrobić? – spytała.

Ulisses nie sądził, że zrozumie pojęcia miłosierdzia i współczucia, gdyby je chciał wyjaśniać. Posiadała te cechy; była czuła, łagodna, troskliwa, jeżeli chodziło o jej plemię. Lecz Wagarondici nie byli dla niej nawet zwierzętami.

Nie mógł gardzić nią za takie nastawienie. Ludzie z jego plemion Onondaga i Seneca czuli tak samo. Podobnie jak jego inni przodkowie – Irlandczycy, Duńczycy, Francuzi, Norwegowie.

– Powiedz mi – zwrócił się do niej – czy nie jest prawdą, że również Wagarondici uważają mnie za swego boga? Czyż nie przygotowali wielkiego najazdu, aby zanieść mnie do swojej świątyni?

Awina spojrzała na niego chytrze i odezwała się:

– Któż miałby wiedzieć lepiej, niż ty, panie? Zniecierpliwiony, machnął ręką.

– Przecież mówiłem ci nieraz, że niektóre moje myśli też były zamienione w kamień. Jak dotąd, jeszcze nie przypomniałem sobie pewnych rzeczy, i wątpię, czy kiedykolwiek powrócą do mnie. Zmierzam do tego, że Wagarondici są tak samo moimi ludźmi jak Wufowie.

– Co? – Awina krzyknęła ze zdziwienia, a potem ciszej dodała. – Mój panie? Drżała.

– Kiedy bóg ostatecznie przemówi, nie zawsze są to słowa, które jego lud pragnie usłyszeć –

rzekł Ulisses. – Jeśli bóg mówi to, co wszyscy wiedzą, po co jest potrzebny bóg? Nie, bóg widzi znacznie dalej i przejrzyściej niż śmiertelnicy. Wie, co jest najlepsze dla jego ludu.

Zaległa cisza. W pokoju zabzyczała mucha. Ulisses zdziwił się, że ten owad przetrwał. Skoro ludzkość była na tyle mądra, on mógłby... I wtedy nasza go myśl, cóż, ludzie wcale nie byli mądrzy. Już w 1985 roku wyglądało na to, że głód i zanieczyszczenia – pokłosie cywilizacji – zabijają człowieka. I chyba tak się stało, że cała ludzkość wymarła, z wyjątkiem jego samego. Z drugiej strony była tutaj zwykła mucha, tak samo prosperująca jak jej odległy kuzyn – karaluch, który rozmnożył się we wsi.

Awina odezwała się:

– Nie rozumiem do czego mój pan zmierza, ani dlaczego dawne ofiary, które zdawały się satysfakcjonować mojego pana przez tak wiele pokoleń, i przeciw którym nigdy nie protestował...

– Módl się, abyś mogła przejrzeć, Awino. Ślepotą może doprowadzić do śmierci, wiesz o tym.

Awina zamknęła usta i oblizwała wargi końcem języka. Zaczai rozumieć, że mętne stwierdzenia wywołują w nich panikę, wtedy wyobrażają sobie najgorsze.

– Idź i powiedz wodzom i kapłanom, że chcę zebrać ich na naradzie – rozkazał – w czasie, jaki potrzebuje mężczyzna na przejście powoli dookoła wioski. Powiedz też pracującym, aby zaprzestali walenia młotami podczas narady.

Awina z krzykiem wybiegła ze świątyni i w przeciągu pięciu minut wszyscy oficjałowie, oprócz tych, którzy akurat byli na polowaniu, znaleźli się w hallu. Ulisses zasiadł na twardym i zimnym granitowym tronie i powiedział im, czego chce. Wyglądali na zaszokowanych, ale żaden nie śmiał się przeciwstawić. Odezwał się Aytheera.

– Panie, czy mogę spytać, co ostatecznie zamierzasz zrobić z tym przymierzem?

– Po pierwsze mam zamiar skończyć tę bezsensowną wojnę. Po drugie, zabrać zarówno Wufów, jak i Wagaronditów, najlepszych wojowników, na wyprawę przeciw Wurutanie.

– Wurutana! – zaszmerali z niemałym przestraszaniem.

– Tak, Wurutana! Dziwicie się? Czyż nie spodziewacie się, że dawne przepowiednie się spełnią?

– O tak, Panie – odpowiedział Aytheera. – Tylko teraz, kiedy nadszedł czas, trzęsą się nam kolana i brzuchy nas boją.

(Wufowie uważali, że miejscem odwagi są jelita).

– Ja was poprowadzę przeciw Wurutanie – powiedział Śpiewający Niedźwiedź, zastanawiając się, czym jest Wurutana i co trzeba zrobić, by go pokonać. Próbował zdobyć o nim jak najwięcej informacji, nie dając im poznać stanu swojej niewiedzy. Uważał, że nie powinien tłumaczyć się „skamieniałymi” myślami w przypadku Wurutany. Wolno mu było to robić w innych, mniej ważnych sprawach, lecz Wurutana był tak istotny, że nie mógł zapomnieć najmniejszego szczegółu o nim. Tak przynajmniej myśleli Wufowie.

– Wyślecie posłańca do najbliższej wioski Wagaronditów z wieścią o moim nadejściu – kontynuował, pozostawiając im znalezienie praktycznej metody zbliżenia się do śmiertelnego wroga. – Powiecie im, że przychodzę z wizytą, i że prowadzimy więźniów, całych, choć może trochę rannych, i uwolnimy ich. Wtedy Wagarondici wypuszczą Wufów, jeżeli jakichś trzymają. Potem zbierzemy się na wielkiej naradzie i udamy do innych wsi Wagaronditów. W końcu, wybiorę spośród Wagaronditów wojowników, którzy będą-nam towarzyszyć w wyprawie przez równiny na Wurutanę.

Świątynia była jasno oświetlona. Otwarto dwoje wielkich drzwi, a dziura w jednym końcu jeszcze nie była zakryta. Światło wydobywało spod krótkiego, gładkiego futra grymasy twarzy i ukradkowe spojrzenia. Niebieskie, zielone, żółte i pomarańczowe kocie oczy spoglądały przebiegle.

Ogony były z boku na bok, dodatkowo zdradzając podniecenie.

Spodziewali się, że poprowadzi ich na ostateczną wojnę przeciw Wagaronditom. Teraz proponował pokój, a co gorsza, będą musieli podzielić się swoim bogiem z odwiecznym przeciwnikiem.

Śpiewający Niedźwiedź zabrał ponownie głos.

– Waszym prawdziwym wrogiem jest Wurutana, a nie Wagarondici. Idźcie i róbcie, jak nakazałem.

W tydzień później wyszedł północną bramą na twardo ubitą ścieżkę między polami zboża a ogrodami. Starsi ludzie i młodszy wojownicy zostali we wsi; kobiety z dziećmi podążały za nimi, pokrzykując i wymachując rękami. Za nim szło trzech muzyków – dobosz, flecista i chorąży. Bęben wykonany był z drewna i skóry. Flet stanowiła wydrążona kość jakiegoś dużego zwierzęcia. Na sztandar składała się długa włócznia, do której pod kątem prostym przymocowano pióra i wyprawione głowy – ptaka, podobnego do orła, rysia, gigantycznego królika i konia. Symbolizowały one cztery klany, czy też fratrie Wufów. Klany zamieszkiwały każdą wieś i właśnie system klanowy wiązał z sobą plemiona ludzi-kotów. O ile rozumiał, to traktaty pokojowe oraz unie układano między klanami poszczególnych wioski, a nie plemionami. Dlatego, od jakiegoś czasu, klany królika z różnych wsi nie walczyły między sobą, w przeciwieństwie do klanów rysia i konia. Wkrótce jednak i one zawarły pokój. Klany orłów, które dotychczas były neutralne, także przystąpiły do zjednoczenia. Dopiero wówczas wioski Wufów stworzyły zjednoczony front przeciw Wagaronditom. Ulisses tego systemu nie pojmował; wydawał się skomplikowany i właściwie bez szans przetrwania, ale Wufowie uważali go za jedyny naturalny.

Za chorążym i muzykami, grającymi muzykę atonalną, szedł arcykapłan i dwóch pomniejszych kapłanów. Mieli na sobie coś w rodzaju pióropuszy i masywne paciorki; w dłoniach nieśli różdżki. Dalej szła grupa dwudziestu pięciu – młodych wojowników, przystrojonych w pióra, koraliki oraz namalowane na twarzach i piersiach zielone, czarne i czerwone szewrony. Następnie kroczyła grupa sześćdziesięciu starszych żołnierzy. Wszyscy wojownicy uzbrojeni byli w kamienne noże, tomahawki i włocznie. Nieśli także łuki oraz kołczany ze strzałami. Korciło ich, aby wypróbować je na Wagaronditach. Właściwie dotyczyło to tylko młodszych wojowników. Starsi ukrywali swoją pogardę do nowej broni jedynie, kiedy Ulisses znajdował się w zasięgu słuchu, ale on słyszał znacznie lepiej, niż myśleli.

Po jednej ze stron, równoległe do młodszych wojowników, szło dwunastu jeńców. Oni także nieśli broń, lecz, jak na ludzi, którzy powinni być szczęśliwi, wyglądali bardzo ponuro. Śpiewający Niedźwiedź zapewnił ich, iż nie popadną w niełaskę u swoich za to, że dali się wziąć do niewoli. Początkowo Wagarondici protestowali; twierdzili, że nie będzie im wolno iść do Szczęśliwej Krainy Wojny (to tłumaczenie Ulissesa bardziej wyrafinowanego określenia).

Ulisses zawyrokował, że nie mają wyboru. Co więcej, sprawy teraz wyglądają inaczej. On – kamienny bóg, zdecydował, że pozwoli im iść po śmierci do Szczęśliwej Krainy Wojny, pod warunkiem, że nie będą się niemądrze upierać. Zamilkli, lecz nadal nie mogli spokojnie zaakceptować nowego porządku rzeczy.

Pochód kroczył szybko wśród falujących wzgórz, ścieżką wydeptaną przez pokolenia wojowników i myśliwych. Wzdłuż drogi rosło wiele ogromnych drzew liściastych oraz brzoź i dębów, lecz nie tyle, by stworzyć las. Były też ptaki: sójki, wrony, kruki, wróble i szmaragdowomiodowe kolibry; skrzydlate wiewiórki – lisio rude lub czarne jak soból; lis połyskiwał srebrno; z pnia, z wysokości pięćdziesięciu stóp spoglądało na nich stworzenie o jasnych oczach, podobne do łasicy; rudy szczur umknął po kłodzie; a wysoko na wzgórzu, pięćdziesiąt jardów

na prawo, siedział brązowy kolos i przyglądał się. To roślinożerny niedźwiedź, nikogo nie zaczepi, jeżeli zostawi się go samego. Żywi się zbożem i owocami z ich ogrodów, jeżeli są bez straży.

Ulisses chłonał oczyma zimne, niebieskie niebo, a w płuca wciągał chłodne, świeże powietrze. Wielkie zdrowe drzewa, zdrowe ptaki i zwierzęta, zieleń wszędzie dookoła, ani śladu spalin i poczucie wielkiej przestrzeni. To wszystko w tej chwili czyniło go szczęśliwym. Mógł zapomnieć o niepokoju, o tym, że – być może – jest jedynym żywym człowiekiem. Mógł zapomnieć... Zatrzymał się. Z tyłu chorąży wykrzyknął rozkaz, dźwięki bębna i fletu ucichły, a wojownicy urwali szepty.

Czegoś mu brakowało. Czego?

Nie czego. Kogo?

Zwrócił się do Aytheery.

– Awina, twoja córka. Gdzie ona jest?

Twarz Aytheery była bez wyrazu.

– Słucham, panie? – odezwał się.

– Chcę, aby Awina szła ze mną. Ona jest moim głosem i moimi oczyma. Jest mi potrzebna.

– Kazałem jej zostać, panie, gdyż kobiety nie biorą udziału w wyprawach do innych wiosek, ani w ekspedycjach wojennych, czy pokojowych.

– Będziecie musieli przyzwyczaić się do zmian – powiedział Ulisses. – Wyślijcie kogoś po nią. Poczekamy.

Aytheera spojrzał na niego dziwnie, ale posłuchał. Iisama, najszybszy wojownik, pobiegł do wsi, odległej o milę. Po pewnym czasie wrócił, Awina kilka kroków za nim. Na głowie miała rogatywkę, a na szyi potrójny sznur masywnych, zielonych koralików. Biegła jak normalna kobieta, a kiedy zwolniła do szybkiego kroku, kołysała się niczym dziewczę. Jej czarne uszy, twarz, ogon, ramiona i nogi połyskiwały rudo w słońcu, a białe łaty futra jaśniały w świetle jak śnieg. Skierowała na niego duże, czarne oczy; uśmiechała się, pokazując szeroko rozstawione sztylety zębów.

Kiedy znalazła się przy nim, upadła na kolana i pocałowała go w rękę.

– Mój panie, płakałam, bo zostawiłeś mnie.

– Twoje łzy szybko wyschły – spodobała mu się myśl, że płakała, lecz nie był pewien, czy nie przesadza, czy tylko mówi to, co on według niej, chce usłyszeć. Ci szlachetni dzicy byli tak samo zdolni do obłudy, jak cywilizowani ludzie. Co więcej, czy powinien chcieć, by przywiązywała się do niego emocjonalnie. Takie więzy mogłyby doprowadzić do bardziej intymnego uczucia, którego konsekwencje już sobie wcześniej wyobrażał. Te obrazy pobudzały go, jak i wzbudzały odrazę zarazem.

Zajęła swoje miejsce po jego prawej stronie i przez dłuższy czas milczała. Potem jednak odezwała się nieśmiało, a po chwili szczebiotała radośnie i pouczająco jak zawsze. Poczul się szczęśliwszy; posmak utraty pochłonęło czyste powietrze i jasne słońce.

Maszerowali przez cały dzień, zatrzymując się od czasu do czasu na odpoczynek lub jedzenie. Potoków i rzeczek starczyło, aby zapewnić im wodę. Wufowie, chociaż być może pochodzili od kotów, kąpali się, kiedy tylko mieli okazję. Wylizywali także całe ciało na kocią modłę. Jeżeli wziąć pod uwagę higienę osobistą, byli czysti, lecz nie reagowali na wszelkie pasożyty w wioskach, karaluchy, muchy i inne robactwo. Mimo że zakopywali własne odchody, nie sprząтали po psach, świniach, czy innych zwierzętach, trzymanyh dla towarzystwa lub na ubój.

Późnym popołudniem Ulisses, zgrzany, spocony i wymęczony, zdecydował, że rozbiją nocny obóz nad potokiem. Woda była dość chłodna i tak czysta, że widział ryby, czmychające na dnie potoku, głębokiego na dwadzieścia stóp. Leżał na przewróconym drzewie, które wystawało ponad wodę i przyglądał się rybom przez dłuższą chwilę. Nagle zdjął rzeczy i poszedł pływać. Wufowie i

Wagarondici uważnie go obserwowali, jak zwykle kiedy był nago. Zastanawiał się, czy napawa ich odrazą brak owłosienia na jego ciele i rozmieszczenie włosów. Może jednak nie. Nie mógł być dokładnie taki jak oni; mimo wszystko był bogiem.

Gdy wyszedł z wody, wszyscy, z wyjątkiem straży i Awiny, poszli się kąpać. Ona wytarła go kawałkiem futra i poprosiła o pozwolenie wykąpania się. Kiedy skończyli kąpiel, popatrzył z kłody w wodę. Ryby były wypłoszone, ale sto jardów w górę rzeki znalazł je ponownie. Użył teleskopowego kija z jakiegoś nieznanego, lekkiego drzewa, linki zrobionej z jelit oraz kościanego haczyka z robakiem, który wykopała dla niego Awina. Był gruby, długi jak dłoń, krwisto czerwony i miał czworo niby-oczu, składających się z trzech koncentrycznych kręgów: białego, niebieskiego i zielonego.

Zarzucał wędkę dwanaście razy bez powodzenia. Za trzynastym ryba chwyciła. Musiał męczyć się dalej, ciągnąc za samą linkę, gdyż groziło, że może się oderwać od kija. Ryba miała tylko dwanaście cali, ale była niezwykle silna; walczyła zaciekle. Minęło blisko dwadzieścia minut, zanim ją zmęczył. Kiedy ją wyciągnął i przyjrzał się srebrnemu ciału w szkarłatne i jasnozielone cętki, wybałuszonym oczom i krótkim, chrząstkowym „wąsom”, poczuł się jeszcze szczęśliwszy. Według Awiny, która podjęła się gotowania, iipawafa to wyśmienita potrawa i rzeczywiście była.

Tej nocy, leżąc w śpiworze, spoglądał przez gałęzie na ogromny zielono-niebiesko-biały księżyc; myślał, że brakuje mu tylko dwóch rzeczy, aby uczynić go zupełnie szczęśliwym. Pierwszą był porządny łyk jakiegoś dobrego, ciemnego niemieckiego albo duńskiego piwa, lub też wysokiej klasy bourbonu. Druga to kobieta, która by kochała jego, a on kochałby ją.

Zanim sobie uświadomił, co zrobił, trzymał blisko przy ustach owłosioną dłoń Awiny. Musiał sięgnąć po nią nieświadomie, ująć i nieomal pocałować.

– Panie mój! – Awina wyszeptała roztrzęsionym głosem.

Nie odpowiedział. Delikatnie odłożył rękę na jej śpiwór i odwrócił się.

Nagle ona wykrzyknęła:

– Uwaga!

Usiadł i wbił wzrok w coś, co wskazywała. Czarna skrzydlata postać zatrzepotała na tle księżyca i zniknęła.

– Co to było?

– Nie wiedziałam, że są tutaj w okolicy – powiedziała. – Minęło trochę czasu odkąd... To był opeawufeapauea.

– Skrzydlaty myślący człowiek... bezwłosy – zamruczał, tłumacząc na angielski.

– Thululiki – dodała.

– Czy są niebezpieczni?

– Nie pamiętasz?

– Czy inaczej pytałbym?

– Wybacz, panie. Nie chciałam cię denerwować. Nie, ogólnie rzecz biorąc, nie są niebezpieczni. Ani my, ani Wagarondici, nasi wrogowie, nie zabijamy ich. Są bardzo przyteczni dla wszystkich.

Ulisses wypytywał ją jeszcze zanim zasnął. Śniły mu się nietoperze o ludzkich twarzach.

Dwa dni później dotarli do pierwszej wioski Wagaronditów. Już dużo wcześniej bębny obwieściły, że widać ich. Śpiewający Niedźwiedź chwilami dostrzegał zwiadowców, przemykających od drzewa do drzewa lub wyglądających zza krzaka. Szli wzdłuż szerokiego i głębokiego potoku, w którym pływało dużo czarno-białych ryb, długich na trzy stopy. Przyjrzał im się i doszedł do wniosku, że to nie ryby, a ssaki: karłowate morświny. Awina powiedziała, że

Wagarondici czczą je i zabijają tylko jednego na rok, na święto. Wufowie nie uważali ich za święte, lecz jako że występowały tylko na terytorium wroga, pozostawiali je w spokoju. Jeśli oddział Wufów zabiłby to zwierzę, to Wagarondici, znalazłszy ciało, dowiedzieliby się o obecności obcych na ich terenach.

Około pięciu mil dalej odeszli od strumienia i zaczęli podchodzić wysokim, stromym zboczem. Po drugiej stronie, w dolinie, leżała wieś Wagaronditów. Domy były okrągłe. Pod innymi względami wyglądały podobnie do osiedla Wufów. Wojownicy zebrali się przed otwartymi bramami; ich futra były brązowe, a przez oczy i policzki przechodziły czarne pręgi. Poza kamiennymi dzidami, nożami i tomahawkami, mieli przy sobie bolasy oraz drewniane miecze.

Ich sztandarem ozdobiła czaszka ogromnego strusia. Awina powiedziała mu, że jest to totem klanu zwierzchniego, dowództwa wszystkich klanów Wagaronditów. Uważali strusia apuaukauey za świętego, chociaż nowo wtajemniczani młodzi wojownicy musieli stawić czoła temu gigantycznemu ptakowi. Nowicjusz, uzbrojony jedynie w bolę i włócznię, ma przewrócić ptaka, zarzucając bolę z trzema kamieniami dookoła jego nóg, a potem odciąć mu głowę. W czasie tej niebezpiecznej ceremonii ginie co roku w każdej wiosce przynajmniej czterech śmiałków.

Ulisses, krocący na czele pochodu, ruszył w dół długiego, pochylego zbocza. Wagarondici uderzyli w kotły i zakręcili grzechotkami. Kapłan, cały najeżony piórami, potrząsnął tykwą w ich kierunku i prawdopodobnie zawodził coś, lecz z tej odległości Ulisses nie słyszał nic poprzez zgiełk instrumentów.

W połowie zbocza Awina ostrzegająco krzyknęła i wskazała na niebo. Szybował ku nim podobny do nietoperza stwór, o wielkich skrzydłach. Ulisses przyglądał się, jak nad nimi kołuje. Awina nie kłamała, ani nie przesadzała; to skrzydlaty człowiek, lub prawie człowiek. Był wielkości czteroletniego dziecka. Tors miał prawie tak duży jak u dorosłego, z wyjątkiem potężnej klatki piersiowej. Mostek musiał być silny, dla utrzymania wielkich mięśni skrzydeł. Garb na plecach wyglądał jak jednolity duży mięsień. Szczupłe dłonie kończyły się długimi paznokciami. Ręce miał tak samo kruche, jak pałakowate, krótkie nogi. Spłaszczony palec, który wyrósł pod kątem prostym.

Skrzydła z kości i błony zrastały się z garbem mięśni na plecach. Stwór miał sześć kończyn; pierwszy ssak o sześciu kończynach, jakiego zobaczył Ulisses. Jednak może nie ostatni. Ta planeta – a może ta Ziemia – na pewno kryła jeszcze przed nim wiele dziwnych rzeczy.

Trójkątna twarz, głowa wybrzuszona, okrągła i zupełnie łysa. Uszy były tak duże, iż wyglądały jak dodatkowe skrzydła. Oczy, w porównaniu z całą twarzą, wydawały się ogromne, a z daleka wyglądały blado.

Prawdopodobnie na tym nagim stworzeniu nie było ani jednego włosa.

Człowiek, uśmiechając się, zatoczył majestatycznie łuk, złożył na wpół skrzydła i wylądował na swych szczupłych nogach i szerokich stopach. Podszedł do nich kaczkowatym krokiem, gubiąc cały wdzięk w momencie zetknięcia z ziemią. Uniósł wątle ramię i przemówił piskliwym dziecinnym głosem w języku Ayrata.

– Witamy kamienny boże! Ghlikih wita ciebie i życzy długiej boskości!

Ulisses zrozumiał go całkiem dobrze, ale nie mówił jeszcze wystarczająco biegle językiem handlowym. Zapytał go:

– Czy znasz mowę Wufów?

– Mówię nią z łatwością. To jeden z moich ulubionych języków – odparł Ghlikih. – My Dhulhuicy mówimy wieloma językami, z których Wufea jest jednym z najłatwiejszych.

– Jakie przynosisz wieści, Ghlikih? – Ulisses zadał następne pytanie.

– Wiele dla śmiechu i informacji, ale, za twoim przyzwoleniem, mój panie, odłóżmy to na później. Teraz jestem upoważniony przez Wagar-nditów, by mówić wpierw z tobą. Oni życzą ci dobrze, jak im przystało, jako że jesteś chyba także ich bogiem.

W głosie człowieka-nietoperza pobrzmiwał delikatny sarkazm. Ulisses spojrział na niego hardo, lecz Ghlikh tylko się uśmiechnął, ukazując długie, żółtawe zęby.

– Chyba? – zapytał Ulisses.

– Cóż – odpowiedział Ghlikh. – Nie mogę zrozumieć, dlaczego wzięłaś stronę Wufów, kiedy tylko chcieli sprowadzić ciebie do wsi i uhonorować należycie.

Ulisses już chciał ruszyć dalej i zignorować stwora, od którego go mdliło. Lecz wiedział od Awiny, że ludzie-nietoperze są kurierami, przedstawicielami, – plotkarzami i spełniają szereg innych funkcji. W zwyczaju było, że ludzie-nietoperze byli arbitrami pomiędzy dwoma stronami, które umawiały się co do pokoju, handlu, czy też wojny o ograniczonym zasięgu. Co więcej, sami stawali się handlarzami, latając od wsi do wsi z małymi, lekkimi, ale poszukiwanymi dobrami z nieznanych krajów, może ich własnych.

– Powiedz im, że zostałem zaatakowany przez ich dwóch ludzi, i dlatego ukarałem ich wszystkich – rzekł Ulisses.

– Powiem im tak – przytaknął Ghlikh. – A czy planujesz jeszcze jakąś karę?

– Nie, chyba, że na nią zasłużą.

Ghlikh zawahał się i głośno przełknął ślinę, a jego ostre jabłko Adama podskoczyło, jak małpka na patyku. Oczywiście, że nie był tak idealny, jakiego udawał. A może wiedział, że na ziemi jest bezbronny, jakkolwiek wyniosłe było jego zdanie o sobie.

– Wagarondici twierdzą, że nawet ich prośba, aby bóg udowodnił swoją boskość, jest jak najbardziej na miejscu. Awina, stojąca za Ulissem, wyszeptwała:

– Panie, wybac, ale słowo porady może pomóc. Ci arogancy Wagarondici zasługują na naukę, i jeżeli pozwolisz wodzić się za nos...

Ulisses zgadzał się z nią, ale nie pragnął rady, pod warunkiem, że o nią prosił. Uniósł dłoń, co oznaczało, aby umilkła. A do Ghlikha powiedział:

– Nie muszę niczego udowadniać, ale mogą składać petycje. Ghlikh uśmiechnął się, jakby odgadł odpowiedź. Słońce zapalało blade płomienie w jego żółtych, kocich oczach. Odparł:

– W takim razie, Wagarondici błagają cię, byś zabił Stwora o Długiej Ręce. Ten potwór od wielu już lat pustoszy pola, a nawet wioski. Zniszczył wiele zbiorów i spichrzy; bywało, że nieomal zamorzył głodem całe wsie. Pozabijał wielu wojowników wysłanych przeciwko niemu, poranił innych i zawsze zwyciężał. Innym razem uchodził, zwodząc całe gromady myśliwych, po to tylko, aby pojawić się gdzie indziej, zdeptać i pożreć całe pola zboża, pogruchotać domy i przewracać wysokie palisady z grubych pni.

– Rozważę ich prośbę – powiedział Ulisses. – Odpowiem za kilka dni. Tymczasem, chyba, że jeszcze jest coś do omówienia, pozwól nam iść dalej.

– Mam tylko same błahostki, nowiny i plotki, które przynoszę z wielu wsi licznych plemion różnych narodów – wyrecytował Ghlikh. – Niektóre z nich mogą być dla ciebie, mój panie, zabawne lub nawet pouczające.

Ulisses nie wiedział, czy te ostatnie słowa są szyderstwem z przypuszczalnej wszechwiedzy boga, ale dał temu spokój. Jednak, gdyby trzeba było, mógł złapać tego chuderlawego potworka i skrócić mu kark dając przykładną naukę. Ludzie-nietoperze mogli być święci albo przynajmniej uprzywilejowani, ale gdyby ta kreatura zaczęła go znieważać, zagrażało by to zniszczeniem boskiego wizerunku Ulisessa.

Zeszli ze zbocza i po przejściu doliny, dotarli do drewnianego mostu nad przełęczą, szeroką na trzysta stóp. Po drugiej stronie ciągnęły się pola zbóż i innych upraw, a także łąki, na których zielonobłękitnej trawie pasły się czerwonowełniste owce o trzech skręconych rogach. Ilość motyk i kamiennych lub drewnianych sierpów, porzuconych wśród pól, świadczyła, że kobiety i dzieci pracowały do ostatniej chwili.

W rytmie uderzeń bębnow Wufowie przemaszerowali przez bramy. Tutaj Ulisses stanął przed wodzami i kapłanami. Człowiek-nietoperz rzucił się ze zbocza i leciał nad nimi, gdy przekraczali dolinę. Teraz, szybując, wylądował o kilka stóp od Ulissesa, przebierając nogami, zetknąwszy się z ziemią. Cofnął się, kołysząc na pałakowatych nogach, z na pół rozchyłonymi skórzanokościowymi skrzydłami.

Rozmawiali, używając Ghlikha jako łącznika. Później główny wódz, Djiidaumokh, osunął się na kolana, potarł swoje czoło dłonią Ulissesa. Inni wodzowie poszli w jego ślady i Ulisses wraz ze swoją świtą wkroczył do wsi.

Przez kilka dni fetowano i przemawiano, zanim Ulisses wyruszył ponownie. Odwiedził razem dziesięć wiosek Wagaronditów. Ciekawiło go, jaką zapłatę otrzymuje Ghlikh za swoje usługi. On jechał teraz na plecach Wagarondita, jego zakrzywione nogi owijały grubą, włochatą szyję wojownika.

– Moja zapłata! – zamachał beztrósko ręką. – Och, dostaję jeść, mam gdzie spać, a dbają jeszcze o parę innych moich potrzeb. Jestem prostą osobą. Chcę tylko rozmawiać z różnymi ludźmi, konwersować, zaspokajając moją i ich ciekawość. Służba jest moją największą radością.

– Tylko tego pragniesz?

– Czasami przyjmuję kilka bawidełek, jakieś szlachetne kamienie, ładnie wyrzeźbione figurki, lub coś w tym rodzaju. Lecz głównym moim towarem jest informacja.

Ulisses nie skomentował tego, ale czuł, że Ghlikh jeszcze coś kryje.

W drodze powrotnej do pierwszej wsi Wagaronditów wódz Djiidaumokh spytał, co Ulisses ma zamiar zrobić w sprawie Stwora o Długiej Ręce.

– Ludzie z plemienia Nisheymanakh, trzeciej wioski, którą odwiedziliśmy, przysłali posłańca z wiadomością, że ten potwór znowu splądrował jedno z ich pól. Dwóch wojowników, którzy poszli za nim, zabił.

Ulisses westchnął. Boskiej obietnicy nie można odkładać.

– Idźmy na tego stwora od razu – zdecydował.

Zawezwał Ghlikha i spytał:

– Czy Wagarondici używali ciebie do zlokalizowania Stwora o Długiej Ręce?

– Nigdy – odparł Ghlikh.

– Dlaczego nie?

– Zdaje się, że nigdy o tym nie pomyśleli.

– A ty nie pomyślałeś, żeby im powiedzieć, jak możesz się przydać?

– Uważam, że potwór jest dla mnie cenniejszy żywy niż martwy. Jeżeli zginie, będę miał znacznie mniej ciekawych informacji.

– Znajdziesz tego Stwora – rozkazał Ulisses.

Ghlikh zmrużył oczy i zagryzł wargi, ale zgodził się.

Ulisses wiedział z podsłuchanych rozmów, że Stwór musi być jakimś słoniem. Ale jaki słoń! Wysoki w kłębie na dwadzieścia stóp i z czterema kłami; wyższe kły zakrzywione w górę, a niższe skręcone w dół, do tyłu. I jeszcze wielka trąba.

Legendarnymi stały się przebiegłość Stwora, jego umiejętność omijania pułapek i śmiertelnych

zasadzek albo tajemnicze znikanie.

– Jest dużo bardziej inteligentny, niż można się spodziewać po nierozumnej istocie. – Ulisses zwrócił się do Ghlika. Obok nich stała Awina.

– Kto powiedział, że on na przykład nie potrafi mówić? – powiedział Ghlikh.

Ulisses zdziwił się.

– To znaczy, że on umie mówić?

Ghlikh spuścił powieki.

– Tego nie wiem, oczywiście. Chodziło mi o to, że właściwie to nikt nie wie, czy on umie mówić, czy też nie.

– Czy jest tylko jeden taki? – spytał Ulisses.

– Nie wiem. Są tacy, co mówią, że wiele dni marszu na północ jest ich dużo. Ja nie wiem.

– Powinieneś – zarzucił mu Ulisses. – Bywasz tu i tam. Latasz daleko, i nawet jeśli nie byłeś na północy, z pewnością inni ludzie z twego gatunku coś wiedzą.

– Ja nie wiem – powtórzył Ghlikh, a Ulissesowi wydało się, że dostrzegł w jego twarzy ledwo ukrytą kpinę.

Pohamował jednak złość i pytał dalej.

– Powiedz mi, Ghlikh, czy widziałeś kiedyś...? – tutaj przerwał. W mowie Wufów nie było słowa oznaczającego metal. Wtedy przypomniał sobie o swoim nożu, wyciągnął go i rozłożył. Ghlikh otworzył szeroko oczy; ciężko dysząc poprosił o pozwolenie dotknięcia ostrza. Ulisses obserwował, jak długie, szczupłe palce macają stal. Delikatnie przejechał końcem kciuka po ostrzu, posmakował je językiem, pokrytym brodawkami. Przyłożył płasko ostrze do cienkiego jak pergamin policzka. W końcu oddał nóż.

– Plemię Neshgai – kontynuował w odpowiedzi na pytanie Ulis-sesa – to rasa olbrzymów, którzy mieszkają w gigantycznej wsi, gigantycznych domów, zbudowanych z jakiegoś dziwnego metalu. Ich miasto leżało na południowym wybrzeżu tego lądu. Po drugiej stronie Wurutany. Neshgaje chodzili na dwóch nogach i mieli tylko dwa kły. Uszy jednak mieli duże, a długi nos zwisał im do pasa. Wyglądało na to, że wywodzą się od stworzenia, podobnego do ich Potwora.

Ulissesowi cisnęło się tyle pytań, że aż nie wiedział, które zadać najpierw.

– Co sądzisz o Wurutanie? – zapytał.

Jego pytanie było tak ułożone, ponieważ nie chciał, aby Ghlikh dowiedział się, jak mało wie o swoim odwiecznym wrogu.

Ghlikh, zaskoczony, odpowiedział pytaniem.

– Co to znaczy? Co ja sądzę?

– Czym jest dla ciebie Wurutana?

– Dla mnie?

– Tak. Jak byś go nazwał?

– Wielki Pożeracz. Wszechmocny. Ten Który Rośnie.

– Tak, wiem. Ale jak wygląda? Jak ty go widzisz?

Ghlikh musiał chyba zgadnąć, że Ulisses próbuje otrzymać obraz czegoś, czego nie zna. Uśmiechnął się z takim sarkazmem, że Ulisses chciał roztrzaskać tą jego kruchą czaszkę.

– Wurutana jest tak ogromny, iż nie mogę znaleźć słów, by go opisać.

– Ty plotkarzu! – wykrzyknął Ulisses. – Ty zwodnicza gębo! Skrzydlata małpia mordo! Ty nie możesz znaleźć słów?

Ghlikh sposepniał, ale nie odezwał się. Na co Ulisses:

– Bardzo dobrze! W takim razie! Czy są istoty podobne do mnie, gdzieś na tym lądzie?

- O tak, trochę jest.
- Dobrze, gdzie one są?
- Po drugiej stronie Wurutany. Nad morzem. Wiele dni marszu na zachód od Neshgajów.
- Dlaczego mi o nich nie powiedziałaś? – krzyknął Ulisses.

Ghlikh wyglądał na naprawdę zdziwionego.

– A miałem? Nie pytałeś mnie o nich. Po prawdzie, wyglądają tak jak ty, ale nie są bogami. Dla mnie jest to jeszcze jedna rasa istot rozumnych.

W tej sytuacji był to najbardziej naglący powód, by iść na południe. Musi stawić czoła Wurutanie, czy chce czy nie. Jeśli wierzyć Wufom i Ghlikhowi, Wurutana zakrywał ziemię wszędzie, oprócz północy i południowych wybrzeży morskich.

Ghlikh naszkicował kontury lądu w mule, na brzegu strumienia.

Północ oznaczało hasło: nieznanne. Poniżej rozpościerał się w przybliżeniu trójkąt, o szerokiej podstawie. Ze wszystkich stron ląd otaczało morze albo ocean, z wyjątkiem nieznannej północy. Według Ghlikha, krążyły plotki, że tam też jest morze.

Ulisses zastanawiał się, czy ta kraina to wszystko, co zostało ze wschodniej części Stanów Zjednoczonych. Poziom oceanu może być znacznie wyższy, dlatego środkowy zachód i niziny nadmorskie nad Atlantykiem prawdopodobnie zostały zatopione. Ten skrawek ziemi może być wszystkim, co zostało z dawnych Appalachów. Oczywiście, kiedy znajdował się w stanie „skamienienia”, mógł zostać przeniesiony na inne kontynenty i to mogą być pozostałości po Eurazji; mógł także znajdować się na innej planecie, krążącej wokół innej gwiazdy. Jego przypuszczenia nie szły jednak tak daleko.

Gdyby tylko znalazł coś, co zidentyfikowało by to miejsce; ale po tylu milionach lat, wszystko zniknęło bez śladu. Ludzkie kości już niszczały, z wyjątkiem kilku skamieniałych szkieletów. Lecz ilu ludzi miało szansę zamienić się w skamielinę? Stal zniszczyła rdza, plastik rozpadł się, cement skruszał; kamienie piramid i Sfinks, marmurowe posągi Greków i Amerykanów dawno zostały strawione na pył. Nic, co ludzkie nie zachowało się, może z wyjątkiem nielicznych narzędzi z krzemienia, z epoki kamiennej. One mogły przetrwać dłużej niż historia ludzkości, ze swoimi książkami, maszynami, miastami i kośćmi.

Rodziły się łańcuchy górskie, wyrastały i na nowo zapadały się. Kontynenty rozpadały się, a samotne wyspy odpływały w dal. Wysychały oceany. Co było chropowate i wyniosłe, stawało się gładkie i równe. Co gładkie i wyrównane, fałdowało się i wznosiło. Ogromne masy kamieni, trąc o siebie, kruszyły na miazgę pozostałości po człowieku. Biliony ton wody wdzierały się z rykiem do nagle otwartych dolin, zmiatając wszystko lub zakopując w mule.

Nie zostało nic, prócz lądu i morza, wody i ziemi w nowych kształtach. Tylko życie szło naprzód; przybierało nowe formy, chociaż przetrwały także stare.

Ale – gdyby wierzyć Ghlikhowi – ludzkość przetrwała!

Człowiek nie był już panem świata, lecz nadal żył.

Ulisses pójdzie na południe.

Najpierw musi zabić Stwora o Długiej Ręce, by udowodnić swoją boskość.

Wypytał jeszcze człowieka-nietoperza o dalsze szczegóły. Niepokoił się, czasami nawet był zirytowany, jednak nie okazywał gniewu otwarcie. W końcu Ulisses spytał go.

– Więc na północy są wulkany i gorące źródła, od których bije mocny, odurzający zapach?

– Tak – zgodził się Ghlikh.

Ghlikh wiedział więcej o północy, niż miał zamiar wyjawić, ale tym razem Ulisses nie chciał zgłębiać przyczyn jego powściągliwości. Pragnął tylko informacji.

– Jak daleko na północ?

– Dziesięć dni marszu.

Około dwustu mil, obliczył w pamięci Ulisses.

– Poprowadzisz nas tam.

Ghlikh otworzył usta, jakby chciał zaprotestować, jednak szybko je zamknął.

Ulisses zwołał wodzów oraz kapłanów Wufów i Wagaronditów. Powiedział im, co mają robić w czasie jego nieobecności.

Nakaz zbierania ekskrementów i specjalnego obchodzenia się z nimi, a także wyrób węgla drzewnego, zadziwił oficjałów. Obiecał im, że wyjawi powody później.

W dodatku zażądał jak największego oddziału i maksymalnej liczby młodych mężczyzn, by poszli z nim na północ. Po drodze będą szukać Stwora, chociaż głównym zadaniem wyprawy nie jest tropienie bestii.

Wodzowie nie byli uszczęśliwieni jego żądaniami, lecz wprowadzili je w życie. W tydzień później wielka wyprawa, składająca się ze stu dorosłych wojowników, dwustu nieletnich, kilku kapłanów, Awiny oraz Ulissesa wyruszyła na północ. W wyprawie brał udział Ghlikh, choć nie zawsze im towarzyszył. Latał do przodu i badał teren; wielokrotnie wypatrzył zwierzynę, a trzy razy wrogie plemiona. Wrogiem była, zdaje się, pewna odmiana Wagaronditów. Mieli czarne futro i kasztanowe pasy na oczach i policzkach. Pod innymi względami przypominali swoich południowych kuzynów.

Alkunquibowie zebrali duże siły i próbowali zastawić pułapkę na wyprawę Ulissesa. Ghlikh doniósł o ich położeniu, tak więc atakujący stali się ofiarą. Zaskoczenie plus strzały, o których Alkunquibowie nie mieli pojęcia, a także pojawienie się wysokiego Ulissesa, wraz z historią o jego boskości, już im znaną, zamieniły bitwę w masakrę. Ulisses nie prowadził żadnych szarzy, ani kapłani nie wymagali tego od niego. To go cieszyło. Czy bóg może być ranny? Możliwe, że według nich bogowie winni być odporni na rany. Ogólnie rzecz biorąc, Grecy i inne narody uważały swych bogów za nieśmiertelnych, ale podatnych na rany.

Teraz stał z boku i używał swego łuku ze śmiertelnym skutkiem. Dziękował Bogu, że w liceum chodził na łucznictwo i po maturze kontynuował hobby. Strzelał dobrze, a jego łuk był mocniejszy od łuków Wufów. Mimo ich małego wzrostu, byli wytrzymali i silni, ale on ich przerastał. Jego ramiona napinały łuk – „wielki łuk Odyseusza”, pomyślał ten drugi Ulisses – a strzały szły tak dobrze, że zabił dwunastu Alkunquibów i ciężko ranił pięciu.

Przeciwnicy załamali się i uciekli po sześciu minutach walki. Wielu z nich dostało w plecy tomahawkami albo dzidami. Ci, co przetrwali, okazali się jednak dzielni. Po powrocie do wioski, gdzie czekali na nich w przestroni – kobiety, dzieci i starcy, wszyscy mężczyźni zdolni unieść broń, włączając sześciolatków, stanęli przed zamkniętymi bramami. Z okrzykiem na ustach, Wufowie i Wagarondici, złączeni braterstwem, ruszyli na obrońców. Ich atak był tak niezorganizowany, że wycofali się z ciężkimi stratami. Ulisses wykorzystał chwilowy impas, kazał im zostawić Alkunquibów i dalej maszerować.

Żądza krwi była u nich tak wielka, iż nawet ośmielili się z nim kłócić. On obwieścił, że zrobią to, co każe, albo unicestwi ich. Na szczęście nikt nie poznał się na bluffie, a jeśli, to nie mieli odwagi powiedzieć tego głośno.

Przyglądając się Alkunquibom, Ulisses wpadł na pomysł. Potrzebował jak najwięcej tragarzy w podróży powrotnej, a tutaj była przynajmniej setka wyrostków.

Przy pomocy Ghlikha zaaranżował naradę z wrogim wodzem. Rozmowa była krótka i rzeczowa, a wódz w obliczu wizji wyginięcia plemienia, poddał się. W dwa dni później młodzieńcy

Alkunquibów maszerowali wraz z wojenną wyprawą jako zakładnicy i tragarze. Wioska tymczasem wysłała posłańców do innych plemion Alkunquibów, aby nie niepokoiли podróżnych. Dwa szczepy, nie przykładając wagi do rozkazu, zaatakowały; w zamian wpadły w zasadzkę i zostały zdiesiątkowane. Dzięki temu Ulissesowi przybyło jeszcze stu pięćdziesięciu tragarzy i zakładników. Spalił wprawdzie dwie wioski dając nauczkę, ale nie zezwolił na masakrę ich mieszkańców.

Podboje wcale nie radowały Ulissesa. Rozlew krwi przygnębiał go. Minęły miliony lat myśli ludzkiej, czterysta tysięcy lub więcej pokoleń, może dwa razy tyle; a istoty rozumne, potrafiące mówić, panowie zwierząt, jeszcze się niczego nie nauczyły. A może to wiara, że walka, rozlew krwi, są nieuniknione i będą trwać tak długo, jak życie?

Duża grupa ludzi poruszała się naprzód znacznie wolniej. Tylu ludzi nie mogło maszerować szybko. Planowany pięciodniowy marsz zabrał dwadzieścia dni. Nie byli jednak atakowani przez duże siły. Czasami jakieś plemię zasadziło się na skraju lasu, próbując porwać wojowników. To były tylko małe niedogodności. Największy problem stanowiło wyżywienie armii. Obecność tak wielu ludzi odstraszała zwierzynę, dlatego też małe oddziały przetrząsały okolicę na wiele mil dookoła. Te grupy stawały się łatwym celem dla tubylców. Pewnego dnia Ulisses zorganizował polowanie według sugestii Awiny. W jego wyniku zepchnęli stado koni z urwiska. Przez wiele dni dobrze jedli, chociaż musieli odłożyć podróż, by uwędzić mięso.

Ostatecznie dotarli do celu wyznaczonego przez Ulissesa: źródeł i wulkanów. Tutaj znalazł siarkę, tak jak się spodziewał. Była zielonkawa i półprzezroczysta, i można ją było wydobywać kamiennymi narzędziami jego „ludzi”. W przeciągu dwóch tygodni zebrali tyle, ile mogli unieść. Zatem wyprawa ruszyła z powrotem.

Przy osiedlach Alkunquibów Ulisses zorganizował to tak, iż młodzi tragarze zostaną odesłani do domu, wraz z podarunkami, gdy dostarczą ładunki do wsi Wufów.

Kiedy wyprawa wróciła do punktu wyjścia, czekała na Ulissesa duża porcja azotanu potasowego. Wufowie postępowali zgodnie z jego wskazówkami, dotyczącymi specjalnego obchodzenia się z ekskrementami, tak, aby przyspieszyć ich rozkład. Kilka dni później, po uroczystościach i ceremoniach, Ulisses dał kobietom i wojownikom, niepotrzebnym w polu, pracę przy wyrobie czarnego prochu. W rezultacie otrzymali odpowiednią mieszankę azotanu potasu, węgla drzewnego i siarki. Pierwszy pokaz wywołał wśród Wufów, Wagaronditów i Alkunquibów zdziwienie, panikę i strach. Była to pięciofuntowa bomba, którą wysadził w chatce, specjalnie na ten cel przygotowanej.

Ulisses pouczył wszystkich co do niebezpieczeństw nowej broni. Zakazał im także używania prochu, chyba, że za jego pozwoleniem i pod jego nadzorem. Gdyby nie zastosował tych ograniczeń, roztrwoniliby cały zapas w ciągu kilku dni dla zabawy.

Szóstego dnia wystrzelił raketę z dwufuntową głowicą w drewniany dom. Cel wyleciał w powietrze, roztrzaskując się o kamienne zbocze, dając wspaniałe widowisko.

Po pokazie Ulisses pouczył Ghlikha jak nieść jednofuntową bombę i jak ją odbezpieczać. Ghlikh poleciał nad wielką kukłę, zrobioną z drzewa i słomy, według opisu Stwora. Rzucił się w dół, a po chwili w górę, wytracając prędkość; wsadził końcówkę bezpiecznika do otworu w małej drewnianej skrzynce, po czym szybko uwolnił się od bomby, która spadła na grzbiet manekina, ale stoczyła się i eksplodowała dziesięć stóp dalej. Po czterech próbach Ghlikh umiał obliczyć czas dokładnie i bomba wysadziła kukłę.

– Bardzo dobrze – powiedział Ulisses, kiedy Ghlikh, szczerząc zęby niczym diabeł, wylądował przed nim. – Dobrze się spisałeś. Następny krok to znaleźć Stwora. Powinieneś się z tym uporać.

– On może być o wiele dni marszu na północ! Albo na wschód! – bronił się Ghlikh.

– Znajdziesz go.

Człowiek-nietoperz poczłapał zaszępiiony na posiłek. Awina odezwała się:

– Zastanawia mnie, dlaczego nie pomyśleliśmy, aby użyć go do odnalezienia potwora. Trzeba nam było spróbować, ale w końcu nie jesteśmy bogami.

– Nie rozumiem, czemu jest taki niechętny, by wykonać to zadanie – zastanawiał się Ulisses. – Nie ma w tym dla niego niebezpieczeństwa, z wyjątkiem błędnego obliczenia czasu na odpalenie bezpiecznika; ale on już był niechętny, zanim dowiedział się czegokolwiek o bombach.

– Nie wiem – odparła powoli Awina, jak gdyby nie chciała pochopnie oskarżać.

Próbował namówić ją do wyjawienia podejrzeń, jeżeli jakieś miała, ale ona zaprzeczyła. Zaniechał tego; jak każdy kot potrafiła być wykrętna, kiedy tylko chciała.

Trzy tygodnie później udali się na nowo do kraju Alkunquibów. Tydzień temu Stwór napadł na pola najbardziej na północ wysuniętych Wagaronditów. Sztafeta biegaczy przyniosła te wiadomości do Ulissesa, który w ciągu godziny zebrał swoje siły i wymaszerował na północ. Wyprawa składała się z dwudziestu wojowników, dwudziestu tragarzy, Awiny oraz jego samego. Poruszali się wilczym truchtem; sto kroków biegiem, sto kroków marszem. Połykali mile od świtu do zmroku. Co wieczór Ulisses padał w śpiworze i zasypiał jak kamień. Budził się rano, a każdy jego mięsień protestował. Aż do czwartego dnia wstawał z bólem. Wtedy stracił więcej wagi niż na pierwszej wyprawie, nie tak jak mniejsi, lżejsi i wytrzymalsi nie-ludzie, którzy mogli biec przez cały dzień bez wysiłku. On był za duży i zbyt mocno umięśniony. Nie mógł pozwolić na to, aby pokazać im, że ich bóg traci siły, wytrzymywał więc tempo.

Zniszczył już buty, które miał na sobie, kiedy skamieniał; teraz nosił mokasyny. Przez długi czas bolały go od nich stopy, ale ostatecznie przywykł.

Obliczył, że od dnia kiedy się przebudził, schudł około dwudziestu funtów. Ruch jednak działał na niego dobrze. Czuł się znakomicie, a nikomu z Wufów, włączając Awinę, nie ulegał w biegach.

Pewnego ranka, głęboko w kraju Alkunquibów, wyprawa zatrzymała się, gdyż pojawił się przed nimi Ghlikh. Leciał szybko ponad czubkami drzew; nawet z daleka wyraz jego twarzy mówił im, że znalazł Stwora o Długiej Dłoni.

W chwilę później, lotem ślizgowym, spłynął w przesiekę i wylądował obok nich.

Ciężko dysząc, wykrzykiwał:

– Jest tam, z przodu! Po drugiej stronie tego wzgórza!

– Co robi? – zapytał Ulisses.

– Żeruje! Obiera drzewa z liści!

Ulisses tak naprawdę nie spodziewał się, że Ghlikh znajdzie zwierzę. A może źle tłumaczył zachowanie człowieka-nietoperza. Albo też coś spowodowało zmianę jego nastawienia. Jeśli tak, to kto lub co to było?

Ghlikh miał pewne trudności z oderwaniem się od ziemi. Otwarta przestrzeń była zbyt krótka, aby nabrać szybkości, nawet bez ładunku. A dźwigając pięcioletnią bombę nie miał żadnych szans. Nie istniała także możliwość wykorzystania pochyłego zbocza, aby mu pomóc. Wszystkie wzgórza porastały drzewa.

Ulisses zawahał się. Mógł kazać zanieść Ghlikha do miejsca odległego o dwie mile, skąd by wystartował. Ghlikh przyleciałby do nich z powrotem. Nie chciał tutaj na niego czekać, ale musiał tak zrobić, aby nie zaprzepaścić całego zadania. Poza tym, miał dużo czasu. Po co się martwić stratą czasu, kiedy właśnie przetrwał tysiąclecia bez żadnego zdenerwowania?

Rozkazał dwóm Wagaronditom zanieść Ghlikha na otwartą przestrzeń. Następnie powoli i po cichu ruszył z całym oddziałem. Dziesięciu wojowników przygotowało łuki i strzały, pozostali wraz

z tragarzami – rakiety i bomby.

Podchodzili w górę, stromym zboczem, między ogromnymi szpilkowymi drzewami, które pochylały się nad nimi. Zbliżywszy się do szczytu upadli na dłonie i kolana, i zaczęli się czołgać. Poniżej rozpościerała się dolina, porośnięta gęsto drzewami, ale widać było tam też dużo otwartej przestrzeni. Około pięćdziesiąt drzew wyglądało tak, jakby zawładnęła nimi zima. Ich liście pochłonęło zwierzę, a nie pora roku. Było tak ogromne, że Ulisses nie mógł uwierzyć swoim zmysłom. Stojąc, przewyższało niektóre z młodych drzew. Był szary jak każdy słoń, ale na prawym barku miał ogromną, białą plamę. Jego długie, żółte kły wyglądały tak ciężko, że Ulisses wątpił, by zwierzę mogło podnieść łeb. Trąba, odpowiednio dłuższa niż u słonia z czasów Ulissego, poruszała się wężowato wśród gałęzi. Rwąc całe konary, ciągnęła je do ogromnej paszczy i ponownie się wysuwała. Nawet z tak daleka burczenie jego brzucha dochodziło do myśliwych.

Wiatr wiał z północy, tak że zwierzę nie było w stanie wyczuć ich, ani usłyszeć, pod warunkiem, że zachowywali się ostrożnie. Jego wzrok nie musiał być tak słaby, jak u innych słoń, więc Ulisses ostrzegł ich ponownie, aby kryli się jak najlepiej.

Zejsście zboczem do drzew na dnie doliny забраło im godzinę. Wtedy to Ulisses zaczął się niepokoić o Ghlikha. Powinien się był pojawić już dawno, co mogło się zdarzyć? Może zdrajcy spośród Alkunquibów albo członkowie innych plemion północnych byli tam na zwiadach i zabili Ghlikha oraz jego pomocników. Może... ale po co się tym martwić? Gdyby Ghlikh nie pojawił się, nic na to nie można było poradzić. Atak nastąpi bez niego.

Ulisses gestem dłoni nakazał, by wszyscy zostali na miejscach, to znaczy, głównie za drzewami. Wyciągnął drewniane działko, załadowane już uprzednio drewnianą raketą i zaczął się czołgać. Za nim podążała Awina z małą pochodnią, którą właśnie zapaliła. Inne pochodnie mieli zapalić od skrzynek z tłącą się hubką, rozgrzaną do czerwoności, przykrytą wiórami. Pochodnie przyłożono do pudełek, by się zapaliły. W mniemaniu Ulissego był to decydujący moment. Zwierzę, nawet przy słabym wietrze, mogło wyczuć dym lub też zobaczyć, mimo słabego wzroku, grube, ciemne smugi.

Nadal dochodziło do nich burczenie w brzuchu, trzask łamanych gałęzi, przyciąganie ich do paszczy i obrywanie liści. Szare cielsko, niczym wieloryb, falowało w przód i w tył, jak w tańcu. Trąba pracowała zawzięcie i w świecie Stwora o Długiej Dłoni musiał panować spokój.

Na Ulissego padł cień. Podniósł głowę. Ciemna, skrzydlata sylwetka Ghlikha łopotała ponad nim. Ulisses zamachał do niego, by skręcił w prawo. Jeżeli jego cień padł na bestię, która jest prawdopodobnie tak bojaźliwa jak słoń afrykański, to ucieknie w panice, albo przynajmniej wzmoże czujność.

Ghlikh, albo nie widział go, albo nie zrozumiał jego gestu. Poleciał prosto w stronę zwierzęcia na wysokości około pięćdziesięciu stóp. Jedną ręką przyciskał bombę do brzucha, a w drugiej trzymał pochodnię. Za nim ciągnęła się gruba smuga dymu, jakby był demonem ognia.

Ulisses zaklął i pobiegł w kierunku Stwora. Z obu stron wojownicy i tragarze, zapominając o ostrożności w podnieceniu i strachu, rzucili się do bestii. Ich dzieciństwo było wypełnione przerażającymi historiami o tym potworze, a niektórzy widzieli go kiedyś z daleka. Ojców dwóch z nich rozgniotły te ogromne łapy. Jednak oni nie wycofują się, bo zostaną nazwani tchórzami; lepiej zginąć niż popaść w niełaskę. Z drugiej strony, stali się zbyt odważni, zbyt skorzy i w ten sposób zdradzali siebie.

– I mnie także – pomyślał Ulisses.

Na wszystko było już za późno, z wyjątkiem ataku i nadziei na najlepsze. Żeby tylko Ghlikh się nie gorączkował i nie spudłował; chociaż nie trafić w coś tak dużego byłoby dziwne.

Ale Ghlikh chybił. Najpierw utrzymywał kierunek lotu, lecz nagle ostro skręcił i lecąc z

wiatrem, chciał zbliżyć się do zwierza od tyłu. Nie było to zbyt mądre. Po pierwsze, przeleciał dokładnie ponad bestią, rzucając na nią cień. Chociaż zwierzę nie zauważyło tego, to dym, mimo pięćdziesięciu stóp odległości, dotarł do słonia.

Stwór przestał zrywać gałęzie, uniósł trąbę, wciągnął powietrze i zaczął trąbić.

Ghlikh spuścił bombę i krzyknął.

Kolos odpowiedział rykiem i nagle z bezruchu rzucił się do szarzy, nabierając prędkości niewiarygodnie szybko. Zwierzę mogło jeszcze nic nie widzieć. Może było tylko zaskoczone i dlatego biegło na oślep. Bez względu na przyczynę czy stan, kierowało się w stronę Ulissego, co niweczyło przydatność rakiety.

Mimo to, położył działko z ładunkiem na barku i krzyknął do Awiny, by zapaliła bezpiecznik. Nie widział jej, ale ona mówiła do niego ze spokojem, co teraz robi.

W tej chwili bomba Ghlikha detonowała trzydzieści jardów za szarym żebrołakiem. Stwór zatrąbił jeszcze przeraźliwiej i zwiększył prędkość. Zmienił też kierunek i już nie pędził wprost na Ulissego i Awinę. Jeżeli ponownie nie skręci, to minie ich o cztery stopy. Ale wtedy na pewno ich dojrzy i skieruje się tutaj.

Fala gorąca owiała policzki Ulissego, dym zasłonił oczy; to wystrzelona rakietą z sykiem śmignęła obok jego głowy. Leciąca płaskim łukiem w kierunku potwora, który teraz szarżował na nich, ujrzawszy swoje ofiary dwie sekundy wcześniej. Trąbę zawinął wysoko, a czerwone oczy wpatrywały się w nich. Czarna plama rakiety uderzyła żebrołaka w lewy bark, a wybuch ogłuszył Ulissego. W kłębach dymu nie mógł nawet dojrzeć zwierzęcia. Nie czekał, aby zobaczyć wynik strzału, ale wraz z Awiną tuż za sobą, odskoczył na bok. Jeden z tragarzy podbiegał do niego z następną rakieta, gdy przeleciały ponad nimi pociski. Nagle coś uderzyło go w plecy.

Upadł na twarz, otoczony dymem, niczym namiotem. Zakaszłał i wstał. Przez kilka minut był tak ogłuszony, że nie potrafił uświadomić sobie, co się stało. Jakiś podenerwowany strzelec musiał wypalić pod zbyt małym kątem. Rakietą, która omal nie trafiła w niego, uderzyła w drzewo obok.

Ulisses stanął na nogi. Ubranie miał postrzępione i był cały czarny od dymu. Poszukał wzrokiem Awiny i wydał okrzyk ulgi. Stała obok niego, oszołomiona, z zaczerwienionymi oczyma, futro także miała osmalone. Nie było widać żadnych ran.

Obrócił się do Stwora. Niczego nie słyszał, a z tego, co pamiętał, znajdował się tuż za nim.

Bestii już nie było. Leżała na ziemi, kolumny nóg kopały powietrze, a krew tryskała jak ze źródła, z siedmiu wielkich dziur. Jedna z nóg, mimo, że była na pół odstrzelona przy barku, nadal się poruszała.

Lecz nagle, kiedy wojownicy i tragarze z okrzykami tryumfu zbliżali się do niego, z trudem podniósł się i kulejąc, zaszarżował. Dwunożne stworzenia rozpierzchły się w popłochu, lecz bestia złapała trąbę jednego z uciekinierów, uniosła go i rzuciła w gałęzie drzew.

Potem Stwór upadł znowu i skonał w jeziorze błota i krwi.

Minęło sporo czasu, zanim Ulisses odzyskał słuch i uspokoił nerwy. Kiedy przestał się trząść, przyjrzał się zwierzęciu. Jak mówiła Awina, była to chodząca góra. Samo obcięcie kłów i ich przetransportowanie do wioski Wufów będzie wymagało ogromnego nakładu pracy. Jednak wiedział, że gdy Wufowie, Wagarondici i Alkunkuibowie przyjdą z pielgrzymką do wsi i zobaczą te ogromne kły, wbite w ziemię przed świątynią, to poczują, że ich kamienny bóg jest prawdziwy. Poczują także, miał nadzieję, silniejszą więź. Wszyscy trzej zażarci przeciwnicy uczestniczyli w tym polowaniu na odwiecznego wroga, i wszyscy trzej mogą się podzielić chwałą.

W tym tryumfie było jedno „ale” – Ghlikh.

Ulisses zapytał człowieka-nietoperza, co się stało.

– Panie, wybacz! – piszczał nietoperz. – Cały się spościłem z tych nerwów! Ręka mi drgnęła i wypuściłem bombę! Naprawdę przepraszam, ale nic nie mogłem poradzić!

– Czy to nerwy też kazały ci krzyknąć i tym samym ostrzec Stwora?

– Naprawdę, panie! Moim jedynym wytłumaczeniem jest to, że ten gigantyczny potwór sieje strach w sercach wszystkich śmiertelników! Spójrz, jak niewiele brakowało, aby trafiła ciebie rakietą.

– Nic się nie stało – odparł Ulisses.

– Czy teraz, gdy Stwór nie żyje, mogę odejść? – zapytał Ghlikh. – Chciałbym wrócić do domu.

– Który jest gdzie? – wtrącił Ulisses z nadzieją, że zbije go z tropu.

– Jak już mówiłem, mój panie, na południu, wiele, wiele dni marszu.

– Możesz odejść. – Ulisses wyrażając zgodę, zastanawiał się, co też Ghlikh chowa za swoją nie istniejącą pazuchą. Wydawało mu się, że człowiek-nietoperz doniesie o nim, ale komu, nie miał pojęcia. Nie było sensu próbować go zatrzymać.

– Czy zobaczę cię wkrótce?

– Nie wiem, panie – odpowiedział Ghlikh, spoglądając kątem oka, co tak irytowało Ulissesa. – Ale możesz zobaczyć innych z mego narodu.

– Zobaczymy się prędzej, niż się spodziewasz – powiedział Ulisses. To chyba zaskoczyło Ghlikha.

– Co masz na myśli, panie?

– Żegnaj – odparł Ulisses. – I wielkie dzięki za wszystko, co zrobiłeś.

Ghlikh zawahał się, lecz odpowiedział:

– Żegnaj, panie. Było to najbardziej przydatne z moich doświadczeń, i najbardziej pasjonujące w moim życiu.

Poszedł pożegnać się z wodzami trzech plemion i z Awiną. Ulisses przyglądał się mu, dopóki nie odleciał z trzepotem i zniknął za wysokim wzgórzem.

Zwrócił się do Awiny:

– Myślę, że poleciał powiedzieć komuś o wynikach szpiegowania.

– Panie? – zdziwiła się. – Szpiegowania?

– Tak. Jestem pewien, że pracuje dla kogoś, nie dla siebie czy swojego plemienia. Nie mogę obserwować przecież każdego z osobna, ale przeczuwam to.

– Może pracuje dla Wurutany? – zasugerowała.

– Możliwe – zgodził się. – Dowiemy się. Pójdziemy na południe, jak tylko postawimy te kły przed świątynią.

– Czy ja też pójdę? – Jej wielkie syjamskie oczy wpatrywały się w niego, a postawa zdradzała napięcie.

– Z całą pewnością będzie to bardzo niebezpieczne – powiedział. – Ale zdaje się, że nie boisz się niebezpieczeństw. Tak, będę szczęśliwy, jeżeli pójdiesz ze mną. Nikomu jednak nie wydam rozkazu, aby mi towarzyszył. Wezmę tylko ochotników.

– Cieszę się, że mogę iść z moim panem – odpowiedziała, a po chwili dodała. – Czy chcesz zmierzyć się z Wurutaną, czy też poszukać swoich synów i córek?

– Kogo?

– Tych śmiertelnych, o których mówił Ghlikh. Tych istot, które są tak podobne do ciebie, że muszą być twoimi dziećmi.

Uśmiechnął się i rzekł:

– Jesteś bardzo inteligentna i bardzo spostrzegawcza, Awino. Oczywiście, udam się na południe

w obu celach.

– A czy poszukasz towarzyszki wśród tych śmiertelnych, którzy są twoimi dziećmi?

– Nie wiem! – zabrzmiało to ostrzej, niż zamierzał. Dlaczego go to pytanie zaniepokoiło? Oczywiście, że będzie szukał partnerki! I wtedy przyszło mu do głowy, że ona też jest kobietą; dla niej to pytanie jest zupełnie naturalne.

Przez kilka następnych dni Awina chodziła przygnębiona, chyba że wciągał ją z trudem w rozmowę i próbował rozweselić. Wówczas zostawiała smutki, lecz nawet wtedy przyłapywał ją, jak przyglądała mu się z dziwnym wyrazem twarzy.

Dotarli do wsi Wufów, odwiedzivszy kilka wiosek, leżących w pobliżu ich trasy. Ustawili kłty przed bramami świątyni, tak że tworzyły kwadrat, a później położyli na nich dach. Fetowali i świętowali, aż wodzowie zaczęli narzekać, że Wufowie zbankrutują. Co więcej, nie zadbano należycie o zbiory, a intensywne polowania dla wykarmienia wszystkich gości, przetrzebiły zwierzynę na wiele mil dookoła.

Ulisses kazał wyprodukować więcej bomb i kilka rakiet. Kiedy to przygotowano, udał się na wielkie polowanie na południowe równiny. Chciał także złapać kilka dzikich koni i z bliska rzucić okiem na Wurutanę.

Trzon wyprawy powrócił do wioski, ciągnąc na samach ogromne zapasy wędzonego mięsa. Przyprowadzili także sporo złapanych koni wraz ze wskazówkami, by traktować je łagodnie i nie zabijać.

Ulisses pociągnął na południe, razem z czterdziestoma wojownikami i Awiną. Mijali po drodze duże stada słoni, wielkości afrykańskich kuzynów, ale z garbem tłuszczu i znacznie dłuższymi włosami. Napotkali także gromady antylop wielu różnych gatunków i odmian; niektóre z nich przypominały amerykańskie i afrykańskie antylopy z jego czasów.

Wypatrzyli sfory psów o postrzępionych uszach, podobnych do wilków, z białymi i czerwonymi plamami na całym ciele. Były tam stada kotów w gepardzie paski i innych, podobnych do jaguarów, a wielkości lwa. Żyło też na tych terenach wiele strusi, wysokich na dwanaście stóp. Raz Ulisses widział, jak dwa takie ptaki odciągnęły parę jaguarów od konia, którego te koty właśnie upolowały.

Jego ludzie najwidoczniej nie przejmowali się tymi ptaszyskami i innymi zwierzętami, tak jak Kurieiaumeami. Byli to długonodzy ludzie z rudym owłosieniem i białymi twarzami. Bardzo dzicy, jak opowiadała Awina. Nie byli spokrewnieni z Wufami, Wagaronditami czy Alkunquibami. Posługiwali się bólami i dzidami.

Nikt nie napomykał o powrocie, ale im dalej zagłębiali się w terytorium Kurieiaumów, tym bardziej stawali się nerwowi.

Ulisses nalegał, by szli na południe. Jednak po następnych dwóch dniach, nie zbliżywszy się bardziej do ciemnego masywu, zdecydował zawrócić. Jego pośrednie pytania odsłoniły pewien fakt, coś, w co nie mógł uwierzyć. Pod warunkiem, że nie zrozumiał źle ich opisu. Wurutana to było drzewo. Drzewo niepodobne do innych, jakie istniały od zarania istnienia drzew.

Wrócili, nie napotyając żadnych śladów okrutnych Kurieiaumów, i Ulisses od razu rozpoczął przygotowania do wielkiej podróży. Ale liście zaczęły opadać; wiały silne wiatry – zdecydował poczekać do wiosny.

Miesiąc później, wraz z pierwszym śniegiem, Ghlikh i jego żona Ghuakh przylecieli do wsi. Ubrani w lekkie futra, wyglądali jak para skrzydlatych Eskimosów. Ghuakh była jeszcze mniejsza niż Ghlikh, ale znacznie głośniejsza. Tą hałaśliwą, gadatliwą, naprzykrzającą się i wścibską kobietę Ulisses z miejsca znieawidził. Gdyby miała pióra i ptasie pazury, można by ją ze spokojem nazwać harpią.

– Zmęczycie się czekaniem na mnie? – powitał ich Ulisses z uśmiechem.

– Ja, czekaniem? – zdziwił się Ghlikh. – Naprawdę, mój panie, nie wiem, co masz na myśli.

On i jego żona rozpytywali wśród mieszkańców wioski, kiedy skończyły im się wiadomości, plotki i raporty o wędrownkach zwierząt na południe. Nie trudno im było odkryć, że kamienny bóg planuje wymarsz na Wurutanę, gdy zima ustąpi. W międzyczasie w rozmowach z Awiną i innymi, Ulisses dowiedział się, że ludzie-nietoperze rzadko przylatują o tej porze roku. Arcykapłan przypomniał sobie, że żaden ze „skrzydlatych ust” nie przyleciał tak późno od przynajmniej dwudziestu lat lub więcej.

Słyszając to, Ulisses pokiwał głową. Podejrzewał, że wysłano ludzi--nietoperzy, aby dowiedzieli się, co go powstrzymuje. Był pewien, że ta dwójka powróci wiosną znacznie wcześniej niż zazwyczaj. Pożegnał się z nimi pewnego zimowego poranka, i zdecydował, że wyruszy jeszcze rychlej, niż planował.

Tymczasem ujeździł konie i nauczył wojowników, jak na nich jeździć. Zima nie była tak ciężka, jak ta do której przywykł. Geograficznie mogło to być Syracuse, ale klimat zrobił się łagodniejszy. Śnieg padał często, jednak było go niewiele i szybko topniał. Miał dużo miejsca do dosiadanania koni, które trzymał w świątyni. Tej wiosny urodziły się źrebaki, a on poinstruował swoich ludzi, jak mają się z nimi obchodzić. Nalegał, aby traktować zwierzęta łagodnie.

Wiosna ostatecznie oswobodziła zmarzniętą ziemię i równiny zrobiły się grzaskie. Odkładał rozpoczęcie ekspedycji z powodu choroby, która pojawiła się wśród Wufów. W przeciągu kilku tygodni umarły ich dziesiątki, a Awina leżała w gorączce. Spędzał przy niej większość czasu i samodzielnie ją pielęgnował. Często przychodził Aytheera, by dokonać oczyszczenia. Bakteria, wywołująca tę chorobę była nieznaną. Stara teoria owładnięcia przez duchy i zło, przysłane przez czarownice, ponownie się potwierdziła. Ulisses nie przeciwstawiał się temu pogładowi. Bez mikroskopu nie potrafił niczego wyjaśnić, a zresztą choroba mogła okazać się nieuleczalna. Gorączka i towarzyszące cyraki na głowie nie ustępowały; każdego tygodnia jedni umierali, a drudzy zdrowieli. Zdawało się, że nie ma żadnego widocznego powodu, dla którego niektórzy ulegli, a inni przetrwali. Pogrzeby odbywały się nieomal codziennie, aż gorączka przeszła.

Ulisses rozmyślał, jakie to byłoby ironiczne, gdyby padł ofiarą choroby po przetrwaniu tylu milionów lat. Jednak zaraza nie dotknęła go. Było to korzystne, nie tylko z oczywistego powodu; gdyby ucierpiał, mogliby zwątpić w jego boskość. Minał miesiąc, nim gorączka opuściła ich teren. Gdy odeszła, około jedna ósma populacji była już pod ziemią. Choroba nie brała pod uwagę wieku; zabierała niemowlęta, dorosłych i starców.

Czuł się przygnębiony z kilku względów. Po pierwsze zbliżył się do tych ludzi, mimo ich nie-ludzkiego wyglądu i psychiki. Śmierć niektórych szczerze go pogrążyła w smutku, szczególnie, gdy umarł Aytheera. Być może smutek Awiny po stracie ojca dotknął go bardziej, niż sama śmierć starca, jednak był przejęty. Po drugie, Wufom była potrzebna każda pomoc przy wiosennych siewach i polowaniach. Naprawdę nie mogli dostarczyć mu wojowników, których potrzebował na wyprawę.

Jednakże kamienny bóg dał im łuk i strzały oraz konia, jako środek transportu. Byli teraz o wiele bardziej biegli w polowaniu, niż przed jego przebudzeniem. Tak więc, wyprawiali się na wielkie wspólne polowania, z których wracali z mnóstwem mięsa końskiego i antylop. Co więcej, sami wpadli na pomysł hodowania koni na ubój, bez żadnej podpowiedzi ze strony ich boga. W celach hodowlanych podzielili stado na dwie grupy. Jedna z nich miała służyć do transportu, a druga, o krótkich nogach i dużej masie, przeznaczona była na ubój. Zasady genetyki były im znane, gdyż od dłuższego czasu sami hodowali psy i świnię w różnych celach.

O tej porze było już naprawdę zbyt późno, by wyruszyć na równiny, albo też za wcześnie, w

zależności od punktu widzenia. Tak więc Ulisses czekał i czynił przygotowania. Wynajdywał coraz to nowe przeciwności, na które musiał się nastawić, lub którym nie był w stanie stawić czoła. Jego żołnierzom także ciężko było czekać. Im dłużej odkładano ekspedycję, tym opowieści o wiecznie złych poczynaniach Wurutany, stawały się coraz bardziej ponure i przerażające.

Na trzy dni przed wyruszeniem, przyszybowali nie wiadomo skąd Ghlikh i jego żona, Ghuakh.

– Panie, pomyślałem, że mogę być ci pomocnym! – skórzana twarz Ghlikha o wielkich zębach wykrzywiła się, jak u nietoperza lub koszmarne lisa, pomyślał Ulisses.

Ulisses zgodził się, że może być pomocny, lecz do pewnego momentu. Później nie będzie wolno mu ufać. Już od dłuższego czasu zastanawiał się nad wydarzeniem ze Stworem i raportach o ludziach-nietoperzach.

Ghlikh szeroko otworzył oczy, gdy zobaczył cztery wozy, zbudowane przez Ulissesa.

– O panie, dałeś swojemu narodowi wiele nowych pomocnych rzeczy. Z łukami i strzałami, z prochem i końmi, mogliby podbić wszystkich, stąd, na północ.

– Prawda, ale mnie interesuje podbój tylko jednego – odparł Ulisses.

– O, tak, Wurutana!

Ghlikh nie wydawał się zdziwiony, jeżeli w ogóle coś okazywał, to zadowolenie.

Trzeciego dnia rano karawana wyruszyła. Ulisses Śpiewający Niedźwiedź dosiadł największego konia, jakiego udało mu się znaleźć. Przy jego boku jechała na klaczy Awina; dalej za plecami dwóch wojowników podróżowali Ghlikh i Ghuakh. Za nimi podążało czterdziestu wojowników, potem jechały wozy, ciągnięte przez cztery konie, a dalej jeszcze sześćdziesięciu wojowników. Na flankach, z przodu i z tyłu, czuwali zwiadowcy. Kompania składała się w równej części z Wufów, Wagaronditów i Alkunquibów. Ulisses wołał, by walczący pochodzili z jednej rasy, gdyż dosyć już miał zażegnania sporów i przestrzegania przed kłótniami, a także rozlewu krwi wśród starych wrogów. Chciał jednak zachować unię i zabranie tylko jednych, obraziłoby pozostałych.

Z pewnością tworzyli dziwną i kolorową grupę. Już wtedy doszedł do wniosku, że wszystkie trzy plemiona to koty, i że mają wspólnego przodka. Podobieństwo Wagaronditów i Alkunquibów do szopów było powierzchowne.

Pochód wił się równinami, zatrzymując się przed zmrokiem lub jeszcze wcześniej w pobliżu zbiornika wodnego lub potoku. Zabijali dużo zwierzyny i wszyscy jedli do syta. Dzień po dniu ogromny masyw na południu stawał się nieznacznie większy, aż nagle począł rosnać raptownie. Raz zbliżyła się do nich mała wyprawa wojenna Kurieiaumów, równa liczbie najeźdźców. Co więcej, wydawali się zdziwieni faktem, że ci ludzie jechali na koniach. Trzymali się w należytej odległości, próbując dorównać prędkością, jednak drugiego dnia odpadli. Lecz po dwóch dniach stanęła przed nimi armia prawie tysiąca Kurieiaumów, ubranych w pióra i koraliki. Ulissesa to nie zaskoczyło. Dhulkhukh wypatrzył ich już dzień wcześniej.

Ulisses zatrzymał karawanę i przyjrzał się im. Dorównywali mu wzrostem, lecz byli chudzi jak psy myśliwskie. Sierść mieli rudawą, a uszy bardziej skierowane do przodu. Choć twarze ich były ludzkie, tak jak Wufów, to zęby przypominały raczej zęby mięsożernych. Z pewnością nie pochodzili od kotów. Było w nich coś psiego. Wydzielali psi zapach i pocili się językami.

Kdanguwing, wódz Alkunquibów, odezwał się do Ulissesa:

– Panie, zaatakujemy ich?

Pozostali wodzowie rzucili mu groźne spojrzenia za to, że ośmielił się zabrać głos. Ulisses powstrzymał go gestem dłoni i przyjrzał się wrogowi uważniej. Ogromne wojenne bębny dudniły, a oni jakby przytupywali w tańcu, gdy wodzowie przemawiali do nich. Tworzyli półkole, które miało

otoczyć karawanę.

Wydał rozkazy i drużyna wojenna utworzyła klin z nim na czele, a z wozami w środku. Była to formacja, do której zbliżenie się zajmie niezdyscyplinowanym dzikim sporo czasu.

Większość jego wojowników uzbrojona była w łuki i strzały, lecz część posiadała działka. Ci ostatni jednak, dla osiągnięcia należytego skutku musieli zsiąść z koni, jako że obsługujący działko nie mógł sam odpalić rakiety. Ich wagony posiadały platformy, na których ustawiono lufy, na obrotowych kolumnach.

Ulisses wydał rozkaz i formacja ruszyła truchtem w kierunku psowatych. To, że ta liczbowo mniejsza siła śmiała zaatakować na cudzych terenach, sparaliżowało psowatych na kilka minut, ale w końcu, zmuszeni przez wodzów, pobiegli w kierunku żołnierzy Ulissesa. Im bardziej zbliżali się do jeźdźców, tym ich szeregi stawały się mniej zorganizowane. Gdy obie grupy spotkały się, psowate opanował totalny chaos. Każdy człowiek, a raczej człowiek-pies atakował na własną rękę.

Ulisses zatrzymał kawalerię, działowi zsiadli z koni, a łucznicy oddali salwę. Potem nastąpiło jeszcze sześć serii; każda pod komendą sierżantów, którzy obserwowali sygnały Ulissesa. Wspaniale się spisali. Ćwiczenia opłaciły się, dwie setki Kurieiaumów padły od strzał.

Kiedy załamała się ich szarża i zaczęli uciekać, eksplodowały wśród nich rakiety. Chociaż głowice niosły odłamki skalne, głównym efektem była panika, porzucali broń i uciekali. Kawaleria zbliżyła się powoli i stanęła, a inni zbierali strzały oraz odcinali uszy zabitym i rannym na trofea.

Dwie godziny później ludzie-psy, zaatakowali ponownie. Tym razem znowu zostali wycięci w pień.

Był to wielki dzień dla kotów, które zwykle przegrywały w spotkaniach z psowatymi, i to na swoich terenach. Chcieli zemsty, pragnęli spalić wioski, zmasakrować kobiety i dzieci, ale Ulisses tego zabronił.

Po dwóch dniach czarny masyw z przodu zrobił się ciemnozielony. Później ujrzeli go w wielu barwach i odcieniach. Wśród zieleni pojawiły się szare smugi, pogrubiały do przeogromnych pni konarów i korzeni.

Wurutana to drzewo; najpotężniejsze jakie kiedykolwiek istniało. Ulisses przypomniał sobie o Igdrasil, drzewie wszechświata ze skandynawskich mitów. To tutaj mogłoby się z nim równać. Jeśli wierzyć opisom Ghlikha i Ghuakh, jest to drzewo świata. Podobne do figowego, w wielu miejscach wysokie na dziesięć tysięcy stóp, a rozciąga się na tysiące mil kwadratowych. Gałęzie rosną poziomo, aż w końcu opadają i zagłębiają się w ziemi, by wyrosły z nich nowe pnie i gałęzie. Ta masa stanowi jedną całość. Gdzieś, w tej ogromnej ośmiornicy, nadal żyje pierwszy pień.

Zbliżywszy się do gałęzi, do miejsca w którym zatapiała się w glebie, zamarli w przestraszu. Potem objechali dookoła szarą kolumnę, o porowatej korze i ocenili średnicę na pięćset jardów. Kora była mocno popękana i zorana, wyglądała jak skorodowane zbocze.

Wszyscy milczeli. Wurutana był wszechogarniający jak morze, trzęsienia ziemi, powódź, huragan, cyklon lub spadający wielki meteor.

– Patrz! Na Drzewie rosną inne drzewa! – krzyknęła Awina.

W licznych, głębokich rysach zbierał się piach, a wiatr lub ptaki przynosiły nasiona. W szczelinach drzewa zapuszczały korzenie, niektóre z nich sięgały stu stóp.

Ulisses zajrzał w mrok u podstawy Drzewa. Roślinność na górze była tak gęsta, iż do dna docierało bardzo niewiele słońca. Ghlikh powiedział, że łatwiej jest podróżować na górnych tarasach niż pod spodem. Z Drzewa ściekało tyle wody, że na ziemi zrobiły się rozległe mokradła. Były tam także ruchome piaski i trujące rośliny, które nie potrzebowały słońca, a jadowite węże też nie dbały o światło. W ciągu kilku dni karawana zniknęłaby wśród błota i trzęsawisk.

Ulisses nie ufał nietoperzowi, ale temu mógł dać wiarę. Wilgotny, niezdrowy odór bił od korzeni. Czuć było rozkład i coś czyhającego pod wodą, co wessałoby każdego, kto trafiłby tam nierozważnie.

Powiódł wzrokiem wzdłuż najbliższej gałęzi. Kilka mil dalej schodziła na dół pod kątem czterdziestu pięciu stopni z tego zielonego i wielokolorowego kłębowiska.

– Podjedziemy do następnej – powiedział – i rozejrzemy się.

Oczywiście będą musieli pozostawić konie. Szkoda, że to nie były udomowione kozy. Widział te zwierzęta, jak przeskakiwały z bruzdy w korze na następną. Miały pomarańczową sierść, podwójnie skrócone rogi i małą, czarną bródkę.

Żyły tam także inne zwierzęta. Czarne małpy, o żółtych twarzach, z ogonem zwiniętym w pierścionek. Pawianowata małpa z zielonymi pośladkami i szkarłatnym futrem. Mała sarenka z guzowatymi rogami. Zwierzę w typie ostronosa. Coś chrząkającego podobnie do świni. I ptaki, ptaki, ptaki!

Przejechali pół mili, zanim dotarli do następnej gałęzi, czy też korzenia, zagłębiającej się w ziemi. Po niej kanałem, głębokim rowem, spływała do zatoczki woda. Jak mówił Ghlikh na wierzchniej stronie gałęzi zawsze było wiele źródeł, potoków, a nawet małych rzek. Teraz Ulisses uwierzył własnym oczom. Jakąż potężną pompą było to Drzewo! Musiało sięgać korzeniami głęboko w ziemię, przenikało kamienie i wysysało wodę ze skał, otwierało podziemne zbiorniki. Mogło nawet wysssać ocean i zamienić morską wodę w słodką, eliminując sól. Potem wypompowywało ją w różnych miejscach, aż popłynęły źródła, potoki i rzeczki.

– To jest dobre miejsce – powiedział i rozkazał – rozkulbaczyć konie i puścić je wolno.

– Tyle dobrego mięsa – zawołała Awina.

– Wiem, ale nie chcę ich zabijać. Służyły nam. Mają prawo żyć.

– Zostaną pożarte, zanim minie tydzień – poburkiwała Awina, ale wykonała rozkaz.

Podczas rozładunku Ulisses obserwował ludzi-nietoperzy. Siedzieli obok siebie, w cieniu wystającej kory i rozmawiali po cichu. Pozwolono im iść aż dotąd, gdyż byli użyteczni jako zwiadowcy i mówili tak dużo, że dostarczali informacji nawet wtedy, gdy próbowali je ukryć. Ostrzegli wyprawę przed ludźmi-psami; poza tym dali Ulissesowi tyle danych, że mógł ułożyć sobie z nich fragmentaryczne obrazy z miejsc, które są przed nim.

Prawdopodobnie mieli też rozkaz szpiegować najeźdźców i zdradzą wyprawę w najdogodniejszym momencie; a przynajmniej Ulisses musiał mieć na względzie taką możliwość.

Przez kilka minut kroczył tam i z powrotem, aż zdecydował, że pozwoli im towarzyszyć jeszcze przez kilka dni. Drzewo było środowiskiem, którego nikt z nich nie znał, z wyjątkiem dwójki ludzi-nietoperzy. Wyprawa potrzebowała jak najwięcej wskazówek. Chociaż Drzewo nie posiadało wiele otwartej przestrzeni, było jednak jej dosyć, dla tych dwojga. Będą mogli latać naprzód na zwiady. Jedyne szkopał w tym co się stanie, gdy polecą uprzedzić kogoś, że zbliża się Ulisses ze swoją wyprawą?

Musi ryzykować.

Wrócił do stosu zapasów i wybrał to, co mogłoby się im przydać. Wspinaczka po tym drzewie będzie w dużej mierze podobna do pokonywania gór; mogą zabrać tylko niezbędne rzeczy. Ciężkie działka i rakiety wydawały się teraz niezbyt użyteczne. Wahał się przez kilka minut, aż zdecydował się ich pozbyć. Zatrzymał jednak sporo bomb.

Nie chciał, aby ludzie-nietoperze wrócili tutaj i zabrali rakiety; opróżnił je więc i zapalił proch. Powstałe eksplozje wstrząsnęły Drzewem na mile. Minęły długie godziny zanim małpy i ptaki przestały skrzeczeć i świergotać.

Upewniwszy się, że wszystko jest należycie popakowane w tobołki i powiązane rzemieniami, dał znak, aby podążyli za nim. Ruszył w górę strumienia, przeskakując z bruzdy w bruzdę, jak gdyby przechodził strumień po kamieniach. Cieszył się, że zabrał cztery dodatkowe pary mokasynów. Ta porowata kora mogła zetrzeć najtwardszą skórę w mgnieniu oka. Inni mieli podeszwy stóp twarde jak żelazo. Dwoje ludzi-nietoperzy trzeba było jednak nieść. Słabe, pałakowate nogi nie mogły im należycie służyć. Kiedy podsłuchiwał narzekania tragarzy, postanowił, że nietoperze nie powinny być ciężarem dla jego ludzi. Kazał im lecieć naprzód i czekać na resztę. Użył jednak wytłumaczenia, że potrzebni mu są zwiadowcy. Na tym terenie zastawić pułapkę było przerażająco łatwo.

Reszta popołudnia minęła im na mozoleniu się w górę strumienia. Rów, biegnący wzdłuż grzbietu gałęzi, miał około pięćdziesięciu stóp szerokości i dziesięciu stóp głębokości pośrodku. Woda, spadająca pod kątem czterdziestu pięciu stopni, była zbyt silna, by można tam brodzić; ale Ghlikh powiedział, że wyżej, gdzie gałąź jest pozioma, nurt jest wolny, zaś kąpiel możliwa. Żyją tam ryby, żaby, owady i rośliny, i oczywiście stworzenia, które je zjadają. Opodal pojawiają się zwierzęta polujące i na te drapieżniki.

Na pół godziny przed zmierzchem doszli do poziomej części. Tutaj odpoczęli, a Ulisses zbadał sytuację. Panował półmrok, lecz gdy słońce przesunie się dokładnie ponad głowę, znajdą się w zupełnym cieniu. Ponad nimi piętrzyły się gałęzie, tak samo duże lub jeszcze większe; pokrywała je roślinność, także drzewa. Co więcej, przestrzenie między gałęziami, w płaszczyznach poziomych i pionowych, zarosnięte były płataniną lian i pnączy, które wyglądały wystarczająco mocno, by zatrzymać stado słońi.

Ta kurtyna lian i kwiatów kryła dziwne, muszlowate twory, w których żyły zwierzęta podobne do ryjówek. To najwidoczniej one zrobiły sobie gniazda ze śliny, która po wysuszeniu stała się sztywna jak karton. Ghlikh poradził, by się do nich nie zbliżać, do tych małych bestii, gdyż ich ugryzienie jest bolesne i trujące.

Istniały jeszcze inne niebezpieczeństwa, które opisał Ulissesowi. A przynajmniej twierdził, że ujął wszystko.

Ulisses starał się nie pokazać po sobie przerażenia. Ale Awina i inni, którzy usłyszeli Ghlikha zdawali się przygnębieni. Tego wieczoru stanowili ciche towarzystwo, gdy gotowali mięso nad małym, „bezdymnym” ogniskiem. Ulisses nie próbował ich rozweselić; potrzebował spokoju.

Złożył wędkę i wzięwszy kawałek sarniny na przynętę, poszedł na ryby. Złapał żółwia bez skorupy, którego zamierzał wyrzucić, ale postanowił, że spróbuje go na śniadanie. Za drugim zarzuceniem trafiła mu się mała ryba. Po około pięciu minutach połknęła haczyk następną, długości półtorej stopy. Miała mocne przednie płetwy i czułki po bokach. Kiedy w końcu się poddała, odkrył, że może oddychać także powietrzem. Wydawała rechoczące dźwięki i próbowała podrapać go pazurami na końcach płetw. Wsadził ją do kosza, gdzie nadal tak głośno rechotała, że ją wypuścił. Złapie ją albo jej brata rano na śniadanie.

Problem noclegu rozwiązano łatwo, chociaż nie po jego myśli. Było tutaj wystarczająco dużo małych szczelin, więc wszyscy wojownicy mogli się schować, ale z drugiej strony nie będą spali blisko siebie i wróg mógłby się zbliżyć i załatwić ich jednego po drugim, nie zauważony.

Nie mógł na to nic poradzić, jedynie podwoić strażę. Drugą zmianę wziął sam. Potem położył się w szczelinie obok Awiny. Zamknął oczy, lecz zaraz je otworzył. Ciągłe pohukiwanie, krzyki, jęki, rechot, wycie, brzdąkania i piski czyniły sen niemożliwym, targały mu nerwy. Kładł się i siadał, i znowu kładł, wiercił się i szeptał do Awiny, gdy nagle ktoś chwycił go za ramię. Nadeszła jego kolej warty.

Wszedł księżyc, lecz jego światło nie przebijało się do roślinnej jaskini. Promienie

oświetlały jasno równiny, odległe o kilka mil, gdzie w tej chwili Ulisses pragnął być.

Poranek zastał ich z oczyma tak czerwonymi, jak wschodzące słońce. Ulisses napił się trochę wody ze strumienia i pełen zapału poszedł łowić ryby. Złapał pięć płazów, trzy pstrągowa te ryby, jeszcze dwie żaby i jednego żółwia. Dał je Awinie i ona wraz z kilkoma Wufami ugotowała je.

Ulisses rozmawiał wesoło, chociaż nie głośno i kiedy wszyscy zjedli ryby (bardzo im smakowały), poczuli się znacznie lepiej. Jednak gdy zarzucili pakunki na plecy, okazało się, że nadal są zmęczeni. Przechodząc przez nieliczne miejsca, do których sięgało słońce, zagłębiali się w cieniu długich, ciągnących się odcinków, pod baldachimy z gałęzi; milkli. Napotykali miejsca, gdzie roślinność była tak gęsta, że ludzie--nietoperze nie mogli lecieć i trzeba było ich nieść na plecach.

Drugiego dnia byli w lepszej kondycji. Zaznajomili się już z odgłosami nocy i więcej spali. Wszyscy jedli do syta. Nadal łapali ryby, a jeden z Wagaronditów ustrzelił szkarłatnego wielkiego dzika o potrójnych zakręconych kłach. Upiekli go i zjedli. Rosło tam też wiele drzew i krzewów z jagodami, orzechami i innymi owocami. Ghlikh powiedział, że żadne z nich nie są trujące, więc Ulisses kazał mu i jego żonie spróbować, a oni z ponurym uśmiechem posłuchali.

Trzeciego dnia za radą Ghlikha poszli w górę pnia. Według niego, kiedy wdrapią się na wyższe tarasy, będzie im łatwiej iść. Ulisses pomyślał, że takie latające stworzenia jak ludzie-nietoperze będą mogły ich łatwiej wypatrzyć, ale posłuchał jeszcze tym razem.

Oczywiście już przedtem wyprawa była zmuszona podróżować po pniach. Łatwo było się przedostać z jednej gałęzi na drugą, jeśli łączyły je liany i inne rośliny. Zazwyczaj była to jedyna możliwość, ale od czasu do czasu, aby dostać się na inną gałąź, musieli wspinać się dookoła pnia. Było to powolne, ale rozsądne i bezpieczne, jeżeli nikt nie spojrział na dół. Kora przypominała porowate zbocze i wspinaczka była tak łatwa, jak wchodzenie kominem, pozbawionym czwartego boku. Ulisses pokonywał wysokości nie najgorzej, chociaż dłonie i plecy miał podrapane i zakrwawione. Mniejsza waga, i futro nie-ludzi dawały im przewagę.

Dyszając ciężko, Ulisses w końcu wciągnął się na ostatni występ i już siedział na gałęzi. Zaczął się wspinać wczesnym rankiem, kiedy było prawie ciemno. Poniżej panowała właściwie noc; głębie wyglądały jak ponura otchłań. Rozległo się za nimi wycie leoparda, dochodziło z daleka. Tysiąc stóp niżej pohukiwało stado małp. Obliczył, że znajdują się przynajmniej osiem tysięcy stóp ponad ziemią. Jednak nie był to szczyt drzewa. Pień wznosił się jeszcze przynajmniej dwieście stóp.

Po zmroku robiło się tutaj zimno. Gałęzie, konary i pnie powalonych drzew leżały stertami w tych szczelinach, których nie wypełniała ziemia. Tu, na górze, nie było jej tyle, ile na niższych poziomach i więcej było nagiej kory. Słońce zaszło i otoczyły ich chmury. Przemoczeni i drżący przysuwali się blisko ognisk.

Ulisses zwrócił się do Ghlikha, który siedział obok niego przy ogniu.

– Nie jestem pewien, czy twój pomysł był dobry. Wprawdzie jest tu mniej roślin i możemy poruszać się szybko, ale rozchorujemy się od zimna i wilgoci.

We mgle i w migoczącym blasku ogniska człowiek-nietoperz i jego żona wyglądali jak para błądych demonów. Byli otuleni w koce, z których wystawały tylko ich nagie czaszki i skórzane skrzydła. Ghlikh odpowiedział szcękając zębami:

– Jutro, panie, zbudujemy tratwy i popłyniemy w dół strumienia. Wtedy zrozumiesz mądrość mojej porady. Będziemy podróżować o wiele prędzej. Zobaczysz, że niewygody tych nocy są niczym w porównaniu z łatwością podróży.

– Zobaczmy – zakończył Ulisses i wszedł do śpiwora.

Po jego twarzy przesunęła się chmura jak mokry oddech i pokryła ją kropelkami wody, ale ogólnie było mu ciepło. Zamknął oczy, po chwili otworzył, by popatrzeć na Awinę. Była w swoim

śpiworze, ale siedziała oparta o ścianę szarych pęknięć. Jej ogromne oczy wpatrywały się w niego. Mimo, że zacisnęła powieki nadal widział jej oczy, a kiedy zasnęła, śniły mu się.

Obudził się przerażony, z łomoczącym sercem, ciężko dysząc. Krzyk jeszcze dzwonił mu w uszach.

Przez chwilę myślał, że to sen. Lecz usłyszał krzyki innych i szum, jaki robili, walcząc ze śpiworami. Ogień przygasł i postacie, szamoczące się dookoła w ciemności, przypominały małpy na dnie dołu.

Powstał, trzymając gotową włócznię. Gotową, na co? Na jego zapytanie padła seria niezrozumiałych dźwięków; wszyscy byli równie niepewni jak on. Wojowników podzielono na trzy grupy, z których każda zgromadzona była wokół ogniska na dnie szczeliny w kształcie kanionu. Krawędź rowu znajdowała się kilka stóp ponad głową Ulissesa. Nagle we mgle pojawiła się przed nim okrągła postać; usłyszał głos:

– Panie! Dwóch z naszych ludzi nie żyje!

Był to Edjauwando, Wagarondita z innego szczepu. Ulisses podniósł się ze szczeliny, a inni poszli w jego ślady. Edjauwando dodał:

– Zabili ich dzidami.

Ulisses przyjrzał się trupom przy blasku ogniska, podsycanego stertą gałęzi i pędów. Rany na gardłach mogły być zadane dzidami, ale Edjauwando tylko domyślał się narzędzia mordu.

Strażnicy twierdzili, że nic nie widzieli. Ustawiono ich poza szczelinami, gdzie, na swoich posterunkach, siedzieli do połowy w śpiworach, a w połowie owinięci kocami. Mówili, że krzyki doszły ich stamtąd – wskazali chmurę – a nie od strony ofiar.

Ulisses powrócił do swojej szczeliny, najpierw wzmocniwszy strażę.

– Ghlikh, jakie rozumne istoty żyją na tym terenie? Ghlikh łypnął na niego okiem i odpowiedział:

– Dwa rodzaje, panie. Wuggrudzi, olbrzymy i Khrauszmiddumowie, ludzie podobni do Wufów, lecz wyżsi i cętkowani, jak leopards. Ale ani jedni, ani drudzy nie żyją tak wysoko. A przynajmniej niewielu.

– Kimkolwiek są – zastanawiał się Ulisses – nie może ich być dużo. W innym razie, zaatakowałby całą grupę.

– Możliwe – przytaknął Ghlikh. – Z drugiej strony Khrauszmiddumowie lubią bawić się ze swoim wrogiem, jak leopards z kozłem, albo kot z myszą.

Mało spali przez resztę nocy. Ulisses dopiero co zasnęł, gdy ktoś go zbudził, tarmosząc za ramię. Pewien Alkunquib, imieniem Wassundee krzyczał:

– Mój panie! Obudź się! Dwóch moich ludzi nie żyje!

Ulisses poszedł za nim do szczeliny, w której spali Alkunquibowie. Tym razem ofiarami byli strażnicy. Zostali zaduszeni, a ich ciała stoczono na śpiących towarzyszy. Pozostali trzej strażnicy, oddaleni tylko o kilka stóp, nie słyszeli niczego, dopóki ciała nie uderzyły o dno rowu.

– Jeżeli oni dysponują w ogóle jakąś siłą, to stracili dobrą okazję, by zabić nas więcej – mruzczał Ulisses.

Nikt nie zasnęł przez resztę nocy. Wzeszło słońce i rozpędziło chmury. Ulisses rozglądał się dookoła za śladami napastników, jednak nie znalazł niczego. Rozkazał zawinąć martwych w śpiwory i zepchnąć ich z gałęzi. Oczywiście po odprawieniu modłów przez kapłanów.

Według ich religii stosowniej by było, gdyby ciała mogły zostać pogrzebane. Ale na gałęzi każdy kawałek ziemi zgromadzonej w szczelinach zajmowała płatanina korzeni. Zorganizowano więc coś na kształt pogrzebu i ciała stoczyły się na dół. Obróciły się kilkakrotnie, nieznacznie ominęły

potężną gałąź tysiąc stóp niżej, aż zniknęły w gęstwinie lian.

Po cichym śniadaniu Ulisses dał rozkaz wymarszu. Pół dnia prowadził ich wzdłuż gałęzi. Wkrótce po południu zdecydował przenieść się na trochę niższą, która biegła równolegle przez kilka mil. Roślinność na niej była znacznie gęstsza; powód stanowiła rzeczka, która zajmowała jedną trzecią wierzchniej części gałęzi. Zamierzał zbudować tratwę według sugestii Ghlikha.

Przedostali się po prawie poziomym kompleksie lian. Ulisses podzielił wszystkich na trzy grupy. Gdy pierwszy pętał, reszta stała na straży, z łukami i strzałami w pogotowiu. Była to dobra okazja, aby ich wrogowie zaatakowali niespodziewanie, gdyż przepływający się byli zbyt zajęci chwytaniem się lian i sprawdzaniem, czy, z pozoru mocne pnącza, nie okażą się niebezpieczne. Ci, którzy zostali z tyłu, śledzili wzrokiem gęstwinę w poszukiwaniu możliwych zasadzek. Tysiące napastników mogło skryć się w zupełnej bliskości.

Gdy pierwsza partia przedostała się na drugą stronę, zajęła stanowiska, by kryć następną grupę, podczas gdy trzecia pozostała jako tylna straż. Ulisses przeszedł z pierwszą grupą. Przyglądał się, jak następnymi czołgają się po lianach, uginających się pod ciężarem Alkunquibów, zapasów i broni. Zbadał już najbliższą okolicę i upewnił się, że nie ma zasadzki.

Kiedy pierwszy z Alkunquibów znajdował się około dwudziestu stóp od gałęzi, trzecia grupa podniosła krzyk. Ulisses, zdziwiony, zobaczył, że wskazują do góry. Podniósł wzrok i ujrzał spadającą kłodę, wprost na wojownika z plemienia Alkunquibów; kłoda była długa na dziesięć stóp. Nie uderzyła go, ale przebiła płataninę, rwąc liany, winoroślą i pnącza. Wojownik nagle zawisł na końcu liany. Zrazu ci za nim zamarli, lecz po chwili rzucili się nieopatrznie naprzód, a nowe pociski, kłody, gałęzie i grudy ziemi niszczyły pomost.

Pierwszy Alkunquib zwolnił uchwyt i runął z krzykiem w otchłań. Następny dostał w plecy dwustopową kłodą i zniknął. Trzeci skoczył, by uciec przed kawałkiem kory, wielkim jak jego głowa i przeleciał na dół. Czwarty potknął się i wpadł w dziurę, która zasklepiła się za nim, ale pojawił się w chwilę później i dosięgnął bezpiecznej gałęzi.

Teraz kłody spadały bliżej pierwszej grupy, zmuszając ich do cofnięcia się w głąb konaru. Ulisses także musiał się wycofać, ale doszedł do wniosku, że zrzucający pociski znajdują się na gałęzi, bezpośrednio nad nimi; właściwie na jej bokach. Musieli opuścić się trochę na dół, aby prowadzić atak. Byli około sześciuset stóp wyżej, a zatem w zasięgu łuczników z drugiej gałęzi. Tam zostali jeszcze Wagarondici pod wodzą Edjauwando, który zachował zimną krew i wyszczekiwał rozkazy. Strzały leciały salwami w kierunku wyższej gałęzi.

Ich wrogami okazały się koty w leopardzie cętki, z włochatymi kępkami na uszach i kozimi bródkami. Sześciu nadzianych strzałami runęło poprzez liany. Jeden uderzył bokiem Alkunquiba i obaj spadli. Reszta Alkunquibów dotarła na drugą stronę i rzuciła się przez krzaki, by znaleźć się pod gałęzią, gdzie Khrauszmidd urno wie nie mogli ich trafić. Wagarondici zaprzestali ognia i Ulisses krzyknął do nich poprzez dwustopową przestrzeń. Upewniwszy się, że ludzie-leopardy wspięli się wyżej dla uniknięcia strzał, rozkazał Wagaronditom przejść. Przedostali się, jak mogli najszybciej, lecz zanim ostatni bezpiecznie dotarł, ponownie zostali zbombardowani. Tym razem kłody i grudy nie trafiły w cel.

Ulisses w końcu znalazł parę ludzi-nietoperzy, jak kulili się ze strachu pod wielkim krzakiem o dużych szkarłatnych liściach. To oni przeszli pierwsi, rzuciwszy się z pnia, trzepocząc skrzydłami. Żałował, że nie wysłał ich na wyższą gałąź na zwiady. Odtąd będzie tak robić. Właściwie to teraz miał dla nich zajęcie.

– Chcę byście latali tak długo, aż odkryjecie, gdzie mieszkają Khraauszmiddumowie – powiedział.

Skóra Ghlikha zrobiła się jeszcze bardziej szara.

– Dlaczego? Co planujesz?

– Zmiażdżę ich – uniósł się Ulisses. – Nie możemy pozwolić, żeby zabijali nas po dwóch, po trzech.

Żadne z nich nie chciało wyjść na otwartą przestrzeń, ale Ulisses zagroził, że obetnie im skrzydła i zostawi ich tutaj, jeżeli nie wykonają rozkazu. Później postanowił, że zatrzyma Ghaukh jako zakładniczkę, a jej mąż poleci. Nie użył słowa „zakładnik”, ani nie powiedział, dlaczego na zwiady wysyła tylko jedno z nich, ale zrozumieli go. Ghlikh niechętnie wybił się z wybrzuszenia w korze na kształt klifu i poszybował spiesznie na dół, łopocząc skrzydłami, zaczął potem podchodzić spiralnie do góry. Nie pojawiły się żadne pociski ze strony wroga.

W międzyczasie, czekając, Ulisses kazał zbudować swoim ludziom sześć dużych tratw przy użyciu kamiennych siekier. Po około godzinie człowiek-nietoperz, pikując, wylądował na sąsiednim kompleksie lian. Podpełzł do gałęzi i zdał raport, iż widział wielu ludzi-leopardów, lecz ani śladu ich wioski.

Wówczas Ulisses kazał nietoperzowi polecieć w dół rzeki i rozejrzeć się. Nie chciał, by zaskoczono ich na tratwach; szczególnie się do tego nadawały. Ghaukh zostanie z nim. Ghlikh nic nie powiedział, wystartował i nie było go przez pół godziny. Nic nie zobaczył w gęstej roślinności.

Przebogaty świat roślinny nie był jedynym obfitym przejawem życia. Żyły tu setki różnokolorowych motyli o wzorzystych skrzydłach i grzbietach. Nad wodą z furkotem przeleciała ważka, której skrzydła miały rozpiętość czterech stóp; muskała wodę od czasu do czasu, by złapać pająki wodne, ślizgające się po powierzchni na pontonowych stopach. Zaszleścił liść i Ulisses spostrzegł karalucha wielkości jego dłoni. Obok przeleciała powoli skrzydlata jaszczurka; wystające żebra po obu stronach zarastała błona. Nagle, na drugim brzegu przemknęła wydra i zanurkowała. Tym razem nie polowała, lecz umykała przed polującym. Za nią spieszyl ptak wysoki na trzy stopy, mniejsza odmiana strusia z nizin. Zanurkował za uciekinierem i żadne nie pojawiło się ponownie.

Ulisses przysiadł na chwilę zamyślony, a inni stali na straży albo pokładli się na mszystej roślinności, porastającej gałąź. Potok wypływał z ogromnego otworu w miejscu zejścia się pnia z konarem. Według Ghlikha, drzewo pompowało i wylewało wodę w różnych miejscach, podobnych do tego. Woda płynęła kanałem, który wznosił się niedostrzegalnie, a gdy gałąź nagle załamywała się, spadał kaskadami; albo, częściej, gdy gałąź biegła poziomo, dodatkowe źródła zasilały rzekę po drodze, która czasami nawet nieznacznie płynęła pod górę.

Rzeka prawdopodobnie płynęła przez wiele dni. Ghlikh obliczył, że trzydzieści pięć, chociaż nie był pewien. Ich gałąź, jak i pozostałe, wiła się zygzakami. Były nawet gałęzie, które tworzyły pętle.

W końcu Ulisses podniósł się. Awina, która przy nim leżała, także wstała. Wydał rozkaz i wszedł na pierwszą tratwę. Część Wufów wsiadła razem z nim i odepchnęli się od brzegu długimi tyczkami, wyciętymi z bambusowatej rośliny.

Na tym odcinku prąd płynął leniwie – pięć mil na godzinę. Pośrodku kanału woda była głęboka na dwadzieścia stóp, a przejrzysta na sześć. Głębiej robiła się ciemna. Ghlikh twierdził, że to przez rośliny, rosnące na dnie, które czasami wydzielają brązowy płyn. Nie wiedział, jakim celom służy brązowa ciecz, ale wątpliwe, by odgrywała jakąś rolę w ekologii Drzewa. Nie wiedział też, dlaczego płyn nie dochodzi do powierzchni i tym samym nie zabarwia całego potoku.

W strumieniu żyły ryby. Było ich kilkanaście gatunków i wielkości, a największa miała dwie i pół stopy długości; przypominała dorsza w czerwono-czarne cętki. Prawdopodobnie żywiła się roślinami. Mniejsza, o wiele bardziej aktywna ryba, o wydłużonej dolnej szczęce, zerowała na

wodnych pająkach, a także polowała na żaby, ale te przeważnie zdołały jej uciec albo stawały do walki. Nie posiadały zębów, lecz przyczepiały się do boku ryby i drapały ją po oczach. Raz, taki szczupak odgryzł żabie tylną nogę. Wówczas inne żaby przywarły do zranionego zwierzęcia i rozerwały je na kawałki.

Flisacy prowadzili tratwy blisko brzegów, by móc dosięgnąć dna lub nawet samych brzegów i odpychać się tyczkami. Pracowali równo, w takt basowych komend wodzów, pchali tratwę pomrukując, a przełożeni liczyli. Inni stali z przygotowanymi strzałami na cięciwach.

Woda sięgała prawie do górnej krawędzi koryta, porośniętej gęsto roślinami, które czasami dotykały powierzchni. Ukośnie rosnące drzewa pochylały się nad strumieniem. Roilo się na nich od ptaków, małp i innych stworzeń. Tutaj żyjące małpy miały grubsze futro niż ich koledzy z niższych poziomów.

Gdyby nie obawa przed ludźmi-leopardami, Ulisses cieszyłby się tą wyprawą. Przyjemnie byłoby po prostu usiąść i dać się nieść falom strumienia jak Huck Finn, strumienia, którego Mark Twain nawet sobie nie wyobrażał.

To jednak było niemożliwe. Wszyscy musieli mieć się na baczności, być gotowi do działania w mgnieniu oka. Poza tym spodziewał się, że lada moment zza gęstej zieleni i szkarłatnych roślin, może wylecieć włócznia.

Minęły dwie, pełne napięcia godziny i tratwy wypłynęły na rozlewisko, prawie tak duże, że można je było nazwać jeziorem. Ulisses już widział, jak inne gałęzie rozszerzały się, lecz nigdy tam nie był. Woda zrobiła się głębsza; a jezioro miało czterysta stóp szerokości. By je pokonać, tratwy musiały dać się ponieść prądowi, który stał się bardzo powolny, albo trzymać się blisko brzegów, gdzie dno było dość płytkie i można było odpychać się drągami. Ulisses wybrał pierwszą możliwość; zostaną na środku, gdzie będą mogli przynajmniej chwilę odpocząć poza zasięgiem oszczepów Khrauszmidumów.

W chwilę później pożałował wyboru. Z gęstwiny na brzegu wynurzyło się stado zwierząt, które z daleka wyglądały jak hipopotamy. Prychając i dmuchając, zanurzyły się w wodzie. Zbliżyły się do tratwy, ale najwidoczniej bez jakiegokolwiek zamiaru.

Z odległości dziesięciu stóp wydawało się, że są to olbrzymie gryzonie, które (jak widać) przystosowały się do życia w wodzie. Nos i oczy znajdowały się na wierzchniej stronie głowy, a uszy posiadały fałdy skóry. Straciły całą sierść, z wyjątkiem końskiej grzywy na masywnych karkach.

W tym momencie, jak na sygnał w teatrze, pojawiły się na jeziorze trzy duże kanu. Dwie za nimi, a jedna u ujścia jeziora. Wszystkie łodzie zrobione były z pomalowanego drzewa, na dziobach miały wyrzeźbione głowy węży. Każda mieściła dziewiętnastu ludzi-leopardów – osiemnastu wioślarzy i wodza, usytuowanego na dziobie.

Kilka sekund później Ulisses dojrzał kilkanaście olbrzymich stworów, wpełzających do wody spośród zarośli na brzegu. Wyglądały jak krótkie, beznogie krokodyle.

Ulisses otworzył wodoodporną skórzaną torbę i wyciągnął bombę. Piaumiiwu, wojownik, którego zadaniem było trzymać w ustach przez cały czas zapalone cygaro, chyba, że ogień był pod ręką, podał mu je. Ulisses odmuchał na koniec, aż ogień pojaśniał i wówczas przytknął go do bezpiecznika. Zatrzeszczało i zaczął się snuć gruby, czarny dym, który wiatr zaniósł w kierunku dwóch zbliżających się kanu. Ulisses trzymał bombę tak długo, aż bezpiecznik prawie znikł i wtedy rzucił ją między hiposzczury.

Bomba eksplodowała, zanim uderzyła w wodę. Zwierzęta zanurkowały, większość z nich wypłynęła od razu, a jeden wynurzył się z drugiej strony tratwy Ulissesa. Zakotłował wodę w jeziorze, zalewając po kostki ludzi na tratwie, parsknął i ponownie zanurkował; tym razem wyszedł

pod ostatnią z tratw, która się wywróciła. Kilku Wagaronditów z krzykiem wpadło do wody, wraz z częścią zapasów i bomb. Wtedy potwór zanurkował jeszcze raz, a gdy powtórnie wypłynął, w powietrzu wybuchła druga bomba Ulissesa.

Ludzie-leopardy krzyczeli pełni żądz walki, lecz z pierwszym wybuchem zamarli. Zaprzestali także wiosłowania i nie kwapili się go podjąć, mimo że ich wodzowie wydawali komendy. A wina zdążyła podać kilka następnych bomb, a najlepsi miotacze zapalili swoje ładunki. Cztery bomby eksplodowały jednocześnie, jedna wylądowała w pobliżu wielkich hiposzczurów. Trzy upadły blisko dwóch wojennych kanu, lecz eksplozje jedynie przstraszyły Khrauszmiddumów. Zmieniwszy kurs, zaczęli uciekać, chcąc prawdopodobnie pozostać poza zasięgiem bomb, ale na tyle blisko, by rzucić dzidą.

Wtedy do akcji wkroczyli łucznicy; kilku wioślarzy oraz jeden z wodzów padli od strzał. W tej samej chwili trzech łuczniczy Ulissesa zostali przebici włóczniami, rzuconymi z brzegu.

Jak z katapulty wynurzył się z wody hiposzczur i ogromnymi przednimi łapami uniósł bok wojennej kanu. Obrócił ją, a cały ładunek z krzykiem wpadł do wody.

Dookoła rozgorzała kipiela. Ulisses zobaczył, jak jeden z beznogich krokodyli przetacza się na powierzchni z nogą człowieka-leoparda w krótkich szczękach. Gady żerowały także wśród jego własnych ludzi, których zrzucił z tratwy hiposzczur.

Tyle się działo, że Ulisses nie mógł nad wszystkim zapanować. Skoncentrował się na brzegach, skąd groziło największe niebezpieczeństwo. Przeciwnicy dawali się zauważyć tylko wtedy, gdy rzucali oszczepami spomiędzy prześwitów w gęszczy. Ulisses kazał łucznikom skierować ogień na gęstą, zieloną ścianę na brzegu. Później przyciągnął uwagę wodzów z innych tratw i im także polecił strzelać w gęstwinię. Wodzowie przekazali rozkazy, jak tylko wyciągnięto wojowników z wody.

Trzecią wojenną kanu, tą, która pojawiła się przy ujściu, komenderował wódz, odważny aż do granic głupoty. Stał na dziobie łodzi, potrząsając włócznią i zachęcał swoich wioślarzy do większego wysiłku. Najwidoczniej miał zamiar staranować pierwszą tratwę lub najechać na nią i wtargnąć na pokład.

Wufowie trafili go strzałą w udo i ranili sześciu wioślarzy, ale on ukląkł za węzowymi głowami i ponaglał swoich ludzi. Kanu szła naprzód trochę wolniej, jednak zbyt szybko, jak dla Ulissesa. Zapalił bombę i cisnął w tej samej chwili, w której kilku wioślarzy odłożyło wiosła i wstało, by rzucić włócznie. Kanu cięła wodę na tym samym kursie co tratwa. Nic już nie mogło jej zatrzymać.

Bomba Ulissesa wysadziła przednią część łodzi wraz z wojownikami. Woda wtargnęła do środka i zalała resztę kadłuba, który zanurzył się ukośnie i momentalnie zniknął tuż przed tratwą.

Ładunek eksplodował tak blisko, że ogłuszył i oślepił wszystkich na tratwie. Ulisses ze łzawiącymi oczyma, dostrzegł co się działo w chwilę później. Na wodzie unosiła się załoga roztrzaskanej skorupy; ogłuszeni lub martwi zaczęli się pogrążyć w wodzie, gdzie dobrały się do nich użębione paszczyki.

Na brzegu ludzie-leopardy nadal zbierali obfite żniwo. Ulisses odpalił jeszcze jedną bombę i rzucił. Spadła do wody, eksplodując tuż po upadku. Wielka fontanna zalała brzeg, ale nie mogła nikomu zaszkodzić. Jednak posiała panikę wśród oszczepników. Gdy ustał ogień, Ulisses kazał skierować tratwy do brzegu. Pozostanie na jeziorze było zbyt niebezpieczne. W wodzie kotłowało się od beznogich krokodyli, nie wiedział skąd się one wszystkie brały. Poza tym ludzie atakowały jeszcze hiposzczury.

Pozostałe dwie łodzie, wypełnione już nieżywymi lub umierającymi leopardami, dryfowały z prądem. Strzały godziły śmiertelnie. Dzięki odwadze, a także dyscyplinie jego ludzi utrzymali skuteczną linię obrony.

Teraz wszyscy skierowali uwagę w stronę listowia i jęków wydawanych przez ukrytych rannych. Gdy tratwy uderzyły o brzeg, Ulisses i jego ludzie wyskoczyli dźwigając kołczany i torby i pokonali szybko kilka jardów, dzielących ich od dżungli. Tutaj zatrzymali się, aby ustawić szyki.

Ulisses wysłał kilku mężczyzn z powrotem na tratwy, z rozkazem sprowadzenia ich wzdłuż brzegów do przeciwległego krańca jeziora. Policzył ludzi; dwudziestu nie żyło. Została ich setka, w tym dziesięciu rannych. A podróż dopiero się zaczęła.

Pomaszerowali brzegiem, nie napotykając żadnych trudności. Na krańcu jeziora złapali dryfujące tratwy, wsiedli na nie ponownie i podjęli podróż w dół strumienia. Odtąd koryto zaczęło się zwężać, a prąd nabierał prędkości. Po pewnym czasie nachylenie gałęzi musiało się zwiększyć, gdyż posuwali się piętnaście mil na godzinę.

Ulisses zapytał Ghlikha, czy bezpiecznie jest kontynuować podróż na tratwach. Nietoperz zapewnił go, że tak; przez następne dziesięć mil. Potem powinni przybić do brzegu, ponieważ dalej rzeczka zamienia się w wodospad, ciągnący się przez następne trzy mile.

Ulisses podziękował mu, mimo że nie lubił nawet rozmawiać z tą parą ludzi-nietoperzy. Podczas bitwy drżeli ze strachu za plecami łuczników, trzymając się nawzajem w ramionach. Ulisses uznał, że nie ma prawa spodziewać się, iż wezmą udział w walce. To nie była ich wojna. Jednak nie mógł pozbyć się podejrzeń, że Ghlikh na pewno dojrzał zasadzkę. Leciał nisko nad rzeką i musiał widzieć łódź wojenną Khrauszmiddumów. Lecz skoro wprowadził ich do pułapki, to dlaczego został z nimi? Groziło mu takie samo niebezpieczeństwo, jak pozostałym.

Tratwy nadal płynęły z tą samą prędkością. Po pewnym czasie usłyszeli odległy huk wodospadu. Ulisses pozwolił, by pędziły jeszcze przez trzy minuty i rzucił rozkaz opuszczenia ich. Według instrukcji, wojownicy stojący na brzegu tratwy skakali pierwsi. Dwóch z nich wpadło do wody, gdy tratwy uderzyły o brzeg. Jeden człowiek znalazł się między brzegiem a tratwą i został zmiażdżony; drugiego porwał prąd.

Ci, którzy pozostali na tratwie, rzucili na brzeg wszystkie zapasy, z wyjątkiem bomb. Ulisses nie ufał stabilności prochu w nagłym zetknięciu się z ziemią. Bomby rzucono w ręce tych, którzy stali na brzegu.

On przedostał się ostatni. Przyglądał się, jak sześć tratw obija się o porośnięte mchem brzegi. Dalej koryto skręcało i tratwy schowały się w gęstwinie liści. Kilka mil dalej wyprawa dotarła do wodospadów. Rzeka z furją przedzierała się wąskim korytem, aż wygięła się łukiem ponad pnem drzewa i spadła w otchłań. Ulisses obliczył, że do ziemi jest osiem tysięcy stóp, co czyniło ten wodospad wyższym od najwyższego z jego czasów – Wodospadu Angel w Wenezueli.

Wyprawa przeniosła się na inną gałąź, którą płynął tylko mały strumień, szeroki na dziesięć stóp, a głęboki na trzy. Poruszali się brzegiem, choć gdyby brodzili korytem, mogliby iść szybciej. Jednak wodę zamieszkiwały przepięknie kolorowe, bardzo jadowite węże oraz beznogie krokodyle. Ulisses postanowił nazywać je snoligosterami, tak, jak podobne do nich zwierzę z legend o Paulu Bunyanie.

Przed zmrokiem dokonali jeszcze jednego przejścia kompleksem lian. Posuwali się wzdłuż gałęzi, aż Ghlikh dojrzał ogromną dziurę w złączeniu konara z pnem.

– W Drzewie jest wiele takich dziur, całkiem dużych – powiedział – zazwyczaj tam, gdzie z pnia wyrasta gałąź.

– Nie widziałem żadnej przedtem – odpowiedział Ulisses.

– Nie wiedziałeś, gdzie patrzeć – uśmiechnął się Ghlikh.

Ulisses milczał przez chwilę. Nie mógł pozbyć się podejrzeń co do tego stwora. Może był wobec niego niesprawiedliwy, a Ghlikhowi zależało chyba bardziej niż jemu na znalezieniu

wygodnego i łatwego do obrony miejsca. Z drugiej strony taka dziupla była dla wroga dobrym punktem do zorganizowania pułapki. A gdyby ludzie-leopardy przyszli za nimi aż tutaj i otoczyli ich teraz?

W końcu postanowił, że tu zostaną, potrzebne było miejsce, gdzie znaleźliby odpoczynek. Także ranni wymagali opieki, i gdyby teraz pociągnęli dalej, trzeba by ich było nieść.

– Bardzo dobrze – zawyrokował. – Dziś na noc rozbijemy obóz w tej dziurze.

Nie przyznał się, że planuje pozostać tu przez kilka dni. Nie chciał, aby Ghlikh wiedział o czymkolwiek, co planuje.

Żadnych mieszkańców nie trzeba było wyrzucać, chociaż połamane kości i świeże odchody, świadczyły o tym, że właściciel – duże zwierzę – może wkrótce wrócić. Kazał usunąć ekskrementy i spuścić je do przepaści. Wyprawa weszła do środka. Wejście miało szerokość dwudziestu stóp, a wysokie było na siedem. Pieczara posiadała półkolistą sklepienie; po przekątnej mierzyła czterdzieści stóp. Ściany były tak gładkie i wypolerowane, że wyglądały jak wyrzeźbione ludzką ręką. Ghlikh zapewnił go, że jest to naturalny twór.

Przyniesiono zwalone drzewa i zablokowano nimi wejście. Wojownicy zapalili ognisko, a wiatr nawiał do środka trochę dymu, lecz nie przeszkadzało to zbytnio.

Ulisses usiadł, opierając się plecami o błyszczącą ścianę. Po chwili dosiadła się do niego Awina. Wylizła sobie ramiona, nogi i brzuch, a potem nałożyła czyszczącą ślinę na dłonie i natarła twarz i uszy. Zdziwiająco działała ta ślina. W kilka minut jej futro, od którego bił odór potu i krwi, pozbawione zostało przykrego zapachu.

Ulisses podziwiał rezultaty tego mycia, ale nie lubił się temu przyglądać, czynności były zbyt zwierzęce.

– Wojownicy są zniechęceni – odezwała się Awina po kilku minutach ciszy.

– Naprawdę? – zdziwił się. – Wydają się spokojni i zmęczeni.

– To też. Ale są w ponurym nastroju. Szerzą między sobą zwątpienie. Mówią, że oczywiście jesteś wielkim bogiem, kamiennym bogiem, ale jesteśmy tutaj na ciele samego Wurutany. Jakiż ty mały jesteś w porównaniu z nim. Nie byłeś w stanie zachować nas wszystkich przy życiu. Jesteśmy dopiero tak krótko na tej wyprawie, a straciliśmy już tak wielu.

– Postawiłem sprawę jasno, zanim wyruszyliśmy. Mówiłem, że niektórzy mogą zginąć – odparł Ulisses.

– Nie powiedziałeś, że wszyscy umrą.

– Nie umarli wszyscy.

– Jeszcze nie.

Wówczas, widząc jak marszczy brwi, dodała:

– Ja tego nie twierdzę, panie! To oni! I to nie wszyscy, absolutnie. Ale starczy, że nawet ci co mówią, sięją strach. Niektórzy wspominają o Wuggrudach.

Zabrzmiało to ostatnie słowo jak Uggorto; tak wymawiała te trudne dla niej kombinacje dźwięków.

– Wuggrudzi? Ach tak, Ghlikh o nich wspominał. Są to, zdaje się, giganci, którzy zjadają innych. Ogromne, woniejące stwory. Powiedz mi, Awino, czy ty, lub ktoś inny widział Wugguruda?

Awina skierowała na niego granatowe oczy. Polizła czarne usta, jakby jej nagle wyschły.

– Nie, panie. Nikt z nas ich nie widział. Nasi przodkowie znali ich, gdy żyliśmy bliżej Wurutany. I Ghlikh ich widział.

– Więc to Ghlikh opowiadał?

Wstał, przeciągnął się i usiadł. Chciał już przejść się po pieczarze, ale przypomniał sobie, że to

śmiertelnicy przychodzą do boga, a nie odwrotnie. Zwołał

– Ghlikh! Biegiem do mnie, marsz!

Mały człowieczek wstał z trudem i poczłapał poprzez pieczarę. Stał przed Ułissesem i zapytał:

– O co chodzi, mój panie?

– Dlaczego rozpowszechniasz historie o Wuggrudach? Czy próbujesz zniechęcić moich wojowników?

Twarz Ghlikha była bez wyrazu. Odpowiedział:

– Nigdy bym tego nie zrobił, panie. Nie, nie rozpowszechniałem tych historii. Prawdę mówiąc, zaledwie odpowiadałem na pytania wojowników, dotyczące Wuggrudów.

– Czy są tak monstrualni, jak mówią o nich opowieści?

Ghlikh uśmiechnął się:

– Nikt nie może być aż tak potworny, mój panie, ale są dość straszni.

– Czy znajdujemy się na ich terenach?

– Jeśli jest się na Wurutanie, to jest się na ich terenie.

– Chciałbym, abyśmy paru spotkali i wpakowali im kilka strzał. Wtedy strach opuściłby moich ludzi.

– Jeżeli chodzi o Wuggrudów – mówił Ghlikh. – To zobaczymy ich prędzej czy później, ale wtedy to już będzie koniec.

– Teraz mnie próbujesz przestraszyć.

Ghlikh uniósł brwi:

– Ja, panie? Próbuję przestraszyć boga? Nie ja, panie!

Po czym dodał:

– To Wurutana, a nie Wuggrudzi wpędzili twych wojowników w paniczny strach.

– Oni są dzielni!

Pomyślał: powiem im, że nic się nie da zrobić z Wurutana. To tylko drzewo. Przeogromne, ale jest drzewem, bezmyślną rośliną, która nic im nie robi. A inni, Khrauszmiddumowie i Wuggrudzi, to tylko robaki na drzewie.

Poczekaj z tym do rana; teraz są zbyt zmęczeni i ospali. Po nocnym odpoczynku i dobrym śniadaniu powie im, że mogą odpoczywać przez kilka dni. I wygłosi podnoszącą na duchu przemowę.

Przeszedł dookoła, by upewnić się, czy jest dość drzewa i czy wyznaczono strażę. Potem usiadł i kiedy rozmyślał nad przemową, zasnął.

Wpierw wydawało mu się, że ktoś go budzi na zmianę warty. Potem uświadomił sobie, że siedzi z rękami związanymi do tyłu.

Ktoś odezwał się w nie znanym mu języku. Był to najniższy bas, jaki kiedykolwiek słyszał. Spojrzał w górę, pod sklepieniem błyskały pochodnie. Zostali pojmani przez olbrzymów, istoty wysokie na siedem, a nawet osiem stóp. Mieli bardzo krótkie nogi, wydłużone tułowia i długie, grube ramiona. Byli nadzy, podobnie jak ludzie, z wyjątkiem pasa sierści na brzuchu i łądźwiach. Skóra ich była tak blada jak u Skandynawów, a włosy mieli rudawe lub brązowe. Posiadali ludzkie twarze, ale z wysuniętą szczęką i ciemnym, mokrym i okrągłym nosem. Ostro zakończone uszy, osadzone były na głowie wysoko. Czują się od nich pot, padlinę i odchody.

Trzymali ogromne, wybrzuszone maczugi, drewniane młotki, o długich trzonkach i włócznie z ostrzami, zahartowanymi w ogniu.

Gigant – musiał być to Wuggruda – odezwał się ponownie. Zęby miał szeroko rozstawione i ostre.

Rozległ się piskliwy dźwięk. Minęło kilka sekund, zanim pojął, że to cienki głos Ghlikha, i że przemawia do Wuggruda w tegoż języku.

Ulisses poczuł taki gniew, że mógłby rozerwać więzy na nadgarstkach, ale trzymały mocno.

– Ty plugawy zdrajco! Powinienem być cię zabić! – krzyczał.

Ghlikh odwrócił się i powiedział z uśmiechem:

– Tak, powinieneś, mój panie!

Splunął na Ulissesa i kopnął go w zębra. Kopnięcie bardziej zabolalo jego delikatną stopę niż samego Ulissesa. Wuggrud warknął coś, aż Ghlikh odskoczył.

Olbrzym schylił się, ogromną łapą złapał Ulissesa za szyję i posadził go. Uścisk zdławił go. Kiedy powróciły zmysły, zobaczył, że wszyscy jego ludzie są związani. Nie, nie wszyscy. Około dziesięciu leżało martwych, ze zmiażdżonymi czaszkami.

Tylna ściana dziupli była odsunięta, odsłaniając tunel. Wewnątrz płonęły pochodnie, przytwierdzone do ścian.

Więc to tak ich złapali. Tylko w jaki sposób taka mała grupa, mogła pokonać tak liczną, nawet jeśli byli to giganci-ludożercy? Co się stało ze strażnikami? Dlaczego odgłosy walki nie obudziły go?

Przykucnął przed nim Ghlikh.

– Dostałem od Wuggrudów proszek. Wsypałem go wam do wody. Wszystkim. Działa powoli i łagodnie, ale jest bardzo silny.

Rzeczywiście był łagodny. Woda wydawała się czysta, nie bolała go głowa, ani nie miał zgagi.

Rozejrzał się. Awina siedziała obok niego, też ze związanymi rękami. Wściekał się na samą myśl, że coś jej mogli zrobić.

Już miał zamiar zapytać Ghlikha, dlaczego zabito tamtych dziesięciu, ale powstrzymał się. Jeden z Wuggrudów pochylił się nad Alkunquibem i jednym skręcającym ruchem swoich wielkich rąk oderwał mu nogę. Zaczął rozszarpywać ciało, urywając duże kawały; jadł, głośno mlaszcząc, przeżuując i łykając.

Ulissesowi zebrało się na wymioty. Żałował, że nie mógł tego zrobić. Awina odwróciła głowę. Ghlikh i Ghuakh stali w kącie i nie wywarło to na nich większego wrażenia.

Ludożerców – to jest dla nich najlepsze określenie – było w pieczarze dziesięciu i każdy kogoś rozszarpywał. Potem odrzucali kości i ścierali wierzchem dłoni krew z ust i brody. Nie zjedzone cząstki pozostawiali na piersiach. Ich wódz rozkrzyczał się głośno na Ghlikha, który coś mu powiedział, wskazując Ulissesa. Wódz wytknął brudny, zakrwawiony kciuk w kierunku Ulissesa. Jeden z olbrzymów podszedł do niego i postawił na nogi, unosząc go za kark. Palce olbrzyma wbiły mu się tak mocno w szyję, że omal z żył nie wytrysnęła krew. Gigant znalazł się za nim i popychał go końcem włóczni w kierunku wejścia do tunelu.

Ulisses próbował dać Awinie znak głową, że jeszcze nie wszystko stracone, ale nadal trzymała głowę odwróconą. Wszedł do tunelu, gdzie pobrzmiwało tylko szuranie gigantycznych stóp i trzask pochodni. Tunel skręcał łagodnie w prawo, prostował się, prowadził w lewo, i ponownie prosto, aż nagle znaleźli się w ogromnej pieczarze, w samym sercu pnia.

Do ścian, dookoła, przymocowane były pochodnie. Dym unosił się do spowitego w ciemnościach sklepienia i znikał prawdopodobnie w porach pnia. Czuć się dało także nieznaczny ruch powietrza, skierowany do sufitu. Dominował fetor, zapach odpadków i ekskrementów był tak silny, że wydawał się ciałem stałym. Utknął mu w gardle i groził uduszeniem.

Przebywało tu, w całym pomieszczeniu, około dziesięciu kobiet i trzydzieścioro dzieci i młodzieży. Dorosłe kobiety były prawie tak samo duże jak mężczyźni; lecz znacznie tłustsze. Miały ogromne i obwisłe piersi, biodra, uda i brzuchy. Widząc mięso w rękach olbrzyma, wydały z siebie

okrzyk. Samce rzuciły im poszarpane resztki, a kobiety i dzieci zaczęły jeść.

Pomieszczenie dzieliło się na dwie części. Mniejsza znajdowała się na drugim końcu, w wysokiej niszy, gdzie w ścianie umocowany był pionowo dyskowaty przedmiot. Dostęp do niego umożliwiały wycięte w drzewie stopnie. Ulisses wspinał się po nich, kiedy ostry drewniany koniec włóczni wbił mu się w plecy. Za nim szedł Ghlikh i wódz.

Dysk był właściwie membraną, naciągniętą na pęd żywego drzewa w kształcie obręczy. Obok leżały dwie pałeczki o lekko zaokrąglonych końcach. Ghlikh podniósł je i zaczął stukać w membranę. Ulisses słuchał i liczył. Uderzenia tworzyły rodzaj kodu, tego był pewien. Być może prymitywny Morse.

Ghlikh skończył. Membrana zawibrowała, jej powierzchnia zmieniła kształt i dobiegły dźwięki. Pulsacje. Kropki i kreski.

Ghlikh stał z przechyloną na bok głową, strzygąc wielkimi uszami. Gdy membrana przestała wibrować, ponownie zastukał. Po chwili przerwał, aby przysłuchać się dalszym pulsacjom o nierównej długości. Ulisses rozróżniał całe struktury, części: kropka-kropka-kreska-kropka, kreska, kreska-kropka-kreska-kropka i tak dalej, ale oczywiście nie miał pojęcia o ich znaczeniu.

Membranę można było porównać do membrany usznej lub diafragmy w telefonie. Za nią może się znajdować końcówka długiego, roślinnego nerwokabla; a na drugim końcu, Bóg tylko wie gdzie, kryje się istota, która nadaje i odbiera sygnały przy innej membranie.

Ulisses zastanawiał się, dlaczego sprowadzili go tutaj. Zrozumiał w minutę później, kiedy Ghlikh zaczął zadawać mu pytania.

– Jak zamierzasz podbić Wurutanę?

Ulisses nie odpowiedział, a gdy Ghlikh zwrócił się do wodza, który ryknął coś do olbrzyma, Ulisses podskoczył, kiedy ugodziła go włócznia. Powstrzymał się od krzyku, zagryzając wargi. Naprawdę nie udzielanie odpowiedzi nie miało większego sensu. Musiał coś wymyślić na temat Wurutany.

– Nie mam najmniejszego pojęcia, jak podbić Wurutanę – odezwał się. – Przyszedłem tu, aby dowiedzieć się, kim jest Wurutana.

Ghlikh dodał z uśmiechem:

– Zapomniałeś, że wybierałeś się na południowe wybrzeże, aby sprawdzić, czy żyje tam twoja rasa.

Postukał w membranę, a potem wysłuchał odpowiedzi.

– Wurutana postanowił, aby zabrać cię do miasta moich ludzi. Wuggrudowie będą cię tam eskortować.

Przemówił do wodza, który zdawał się protestować. Jednak mały Ghlikh przemawiał stanowczo, a nawet potrzęsnał pięścią i krzyknął na niego. Olbrzym ponuro zgodził się i Ulissesa wyprowadzono z pieczary. Gdy tylko znaleźli się w tunelu, łatwiej mu przyszło oddychać. Zapytał:

– Ghlikh, co z Awiną? Co z moimi ludźmi?

– Och, pójdą i posłużą jako zapasy żywności dla Wuggrudów, oczywiście.

Powiedział coś do olbrzyma, który zaniósł się śmiechem.

– Wyruszymy do świcie. Nie wszyscy twoi ludzie zostaną zabici. To znaczy, nie od razu. Zabierzemy paru i zarzniemy w razie potrzeby.

Ulisses zawahał się. Chciał prosić, by Awina szła z nimi. Myśl, że może musiałby patrzeć, jak roztrzaskują jej czaszkę, rozrywają jej ciało i pożerają, przypawiła go o mdłości. Łatwiej by mu było, gdyby została tutaj i oszczędzono by mu tego widoku. Jednak zawsze istniała możliwość ucieczki, wprawdzie teraz wydawała się minimalna. Jeżeli zostawi ją tutaj, to nie ma żadnej szansy.

Z nim może przeżyć.

Lecz Ghlikh nienawidził go, mógł postąpić dokładnie odwrotnie, niż pragnął Ulisses. Prosząc go o zabranie Awiny, sprawiłby, że zostałaby tutaj. Albo, co gorsza, Ghlikh, znając uczucia Ulissesa do niej, mógłby rozkazać zabić ją na jego oczach.

Musi to wykorzystać. Nie mógł jej tak zostawić.

– Ghlikh – rozpoczął. – Zdaje się, że masz tu duży autorytet, jako reprezentant Wurutany, kimkolwiek on jest. Czy możesz załatwić, by zabrano z nami Awinę?

Ghlikh uśmiechnął się i nic nie mówił przez dłuższy czas. Tuż przed dojściem do końca tunelu rzucił:

– Zobaczymy.

Chciał męczyć Ulissesa, trzymając go w niepewności. Niech tak będzie. Ulisses może czekać. Nic więcej nie mógł zrobić.

Kiedy wrócili do pomieszczenia o kolistym sklepieniu, Ghlikh rozkazał, by posadzono Ulissesa obok Awiny. Mówiąc to, krzywił się w uśmiechu. Ulisses dobrze wiedział, że rozkoszuje się myślą o ich rozmowie w obliczu śmierci.

Gdy tylko znalazł się przy niej, powiedział cicho:

– Przy pierwszej okazji wyciągnij mi z kieszeni nóż.

Widział, jak po drugiej stronie sali Ghlikh rozmawia ze swoją żoną, która spojrzała na nich i uśmiechnęła się złośliwie.

– Przysunę się – powiedział – i będę udawać, że mówię do ciebie. Wsadź mi rękę do kieszeni, weź nóż i otwórz go. Wiesz jak. Potem przetnij więzy.

Udało mu się przysunąć i przytulił się do niej, otwierał usta tak, aby wyglądało, że szepcze. Czuć było od niej pot i strach; cała drżała.

– Nawet jeśli nas nie zobaczą i uwolnię ci ręce, to co możemy zrobić przeciwko nim? – wskazała głową olbrzymów.

– Zobaczymy – odparł.

Podszedł do nich jeden z gigantów i Ulisses zamarł, ale Wuggrud obrócił się plecami i usiadł przed nimi. Lepszej osłony Ulisses nie mógł sobie wymarzyć. Ogromna głowa olbrzyma opadła na piersi i rozległo się chrapanie, głośnie, niczym grzmot. Do snu ułożyli się także pozostali z wyjątkiem tego, który stał w wejściu. On jednak nie zwracał szczególnej uwagi na więźniów. Wszyscy byli związani i tacy mali, a on zagradzał im wyjście.

Ulisses jednak obawiał się Ghlikha i Ghuakh. W każdej chwili jedno z nich mogło sobie przypomnieć o nożu, przyjść i zabrać go. Teraz nie widział ich, co znaczyło, że oni go także nie widzą. Ghlikhowi mogło to się nie podobać; chciałby napawać się cierpieniami Ulissesa.

Ghlikh nie przyszedł. Możliwe, że on i jego żona także postanowili się zdrzemnąć przed ciężką podróżą. Ulisses miał gorącą nadzieję, że śpią.

Dopóki nikt na nich nie patrzył, Awina mogła działać szybko. Skręciła się tak, że plecami była zwrócona do Ulissesa i wtedy po omacku sięgnęła do jego kieszeni. W tej sytuacji jej kocia zręczność i drobne dłonie stały się pomocne. Palcami ujęła koniec noża i wyciągnęła go powoli. Nagle upuściła go i oboje zamarli, gdy nóż lekko stuknął. Olbrzymowi zarzęziło w gardle, uniósł głowę, chrapanie ustało. Ulissesowi omal nie stanęło serce, ale głowa ponownie opadła i znów dało się słyszeć chrapanie i warkot.

Awina nacisnęła guzik i wyskoczyło ostrze. Minęło dziesięć minut niezgrabnego piłowania, zanim więzy puściły. Ulisses rozmasował nadgarstki i ćwiczył dłonie, aby przywrócić obieg krwi, po czym, mając na oku strażnika, który prezentował im swój zwierzęcy profil, przeciął supły Awinie.

Następny krok był decydujący. Gdyby zobaczył ich strażnik, albo gdyby para ludzi-nietoperzy nie spała, mogliby podnieść alarm. W tym momencie dwójka słabych więźniów dużo by nie działała przeciwko obudzonym gigantom.

Szepnął Awinie, aby posuwała się wzdłuż ściany. On będzie podążał za nią, aż do miejsca, w którym śpiący olbrzym jeszcze ich zasłania przed strażnikiem. W międzyczasie miała przeciąć węzły siedzącemu najbliżej Wufowi. Potem on uwolni następnego, i tak dalej. Po oswobodzeniu dziesięciu, nóż ma wrócić do Ulissesa. Próba oswobodzenia wszystkich zajęłaby zbyt wiele czasu i byłaby zbyt ryzykowna.

Awina przekazała nóż dalej wraz z poleceniami. Ani Ulisses, ani Awina nie widzieli ludzi-nietoperzy, ale Wuf obok niej, powiedział, że siedzą blisko ściany, z głowami między kolanami. Wyglądało na to, że śpią.

Pochodnie już prawie zgasły, a ognisko przy wyjściu wypaliło się już dawno. Niedługo świt rozjaśni nieznacznie wejście, a potem wewnątrz. Strażnik może w każdej chwili obudzić następnego, aby przejął wartę. Albo może ma rozkazy, aby obudzić wszystkich.

Awina podała mu do ręki nóż i wyszeptwała:

– Mówią, że są gotowi.

Wyjrzał zza pleców śpiącego olbrzyma. Strażnik drapał się po plecach końcem kija i patrzył na zewnątrz. Łuki, strzały, włócznie i noże, bomby oraz zapasy pojmanych leżały przed wyjściem. Broń olbrzymów była pod ręką.

Podniósł się ostrożnie i powoli, starając się, aby Wuggruda zasłaniał go, gdyby strażnik się obrócił. Zbliżył rękę, uzbrojoną w ostrze, do szyi olbrzyma i rozciął mu tętnicę. Wytrysnęła krew, chrapanie przeszło w charkot; gigant rozchylił kolana, a głowa spadła mu między nogi. Ulisses porwał włócznie i z zakrwawionym nożem w zębach podbiegł do wartownika.

Miał nadzieję, że pozostali chwytają za włócznie i maczugi swoich oprawców i używają ich ze śmiertelnym skutkiem.

Jeden z olbrzymów krzyknął przy uderzeniu.

Strażnik upuścił kij i odwrócił się na pięcie, aby spojrzeć do środka.

Ulisses wbił mu w brzuch włócznie, ale nie weszła głęboko. Zahartowany w ogniu grot nie był wystarczająco ostry, a brzuch Wuggruda chroniło wiele cali tłuszczu i masywne mięśnie. Ważył chyba pięćset pięćdziesiąt funtów, może więcej. Przyjął cios dzidą, dając jedynie krok w tył. Złapał drzewce i ruszył na Ulissesa. Mężczyzna przywarł do dzidy i rzucił się do tyłu. Nic nie mógł zrobić, jedynie poruszać się razem z Wuggrudem.

Wtedy strażnik rycząc wściekle, stanął, pochwyił włócznie i wyrwał ją tak raptownie, że Ulisses wywrócił się. Olbrzym z raną tryskającą krwią, zgiał się wpół, podniósł dzidę i wycelował w Ulissesa. Dysponując taką siłą mógł nadziać byka na słup telegraficzny.

Ulisses skoczył naprzód, wepchnął nóż w tłuszcz i mięśnie, pociągnął w górę. W tej samej chwili czarnobiałe futro skoczyło z tyłu na olbrzyma i kamienny nóż utknął w jego prawym oku.

Gigant upuścił włócznie i zatoczył się. Ulisses mocno trzymał nóż, który wyszedł z brzucha. Doscoczył jeszcze raz, bo olbrzym sięgał w górę, by złapać Awinę. Ulisses przeciął pachwinę olbrzyma; wbił nóż, obrócił ostrze i wyjął. Potwór sięgnął do rany i Ulisses przejechał nożem po wierzchu dłoni.

Brzęknął łuk i olbrzym padł ze strzałą wbłą w szyję. Awina przetoczyła się, aby jej nie zmiażdżył. Zdażyła zeskoczyć, kiedy prawie ją miał.

Ulisses odwrócił się. Krzyki, ryk i wycie nagle ucichły. Wszyscy olbrzymi leżeli martwi. Większość z nich zginęła podczas snu. Trzech zbudziło się na czas, by walczyć i zabili trzech Wufów.

Zataczając się, Ulisses podszedł do wyjścia i zobaczył, jak Ghaukh skacze z krawędzi konaru, a Ghlikh zaraz za nią.

Z krzykiem ruszył za nimi, wyrwał łuk i strzałę Wufowi, który zastrzelił olbrzyma i wybiegł. Ghlikh zeskoczył z dużego występu i teraz spadał, trzepocząc skrzydłami. Ulisses nasadził strzałę na cięciwę, wycelował i strzelił. Drzewiec rozdarł mocno cienką błonę prawego skrzydła.

Ghlikh spadał, krzycząc, ale znowu zaczął pracować skrzydłami i poszybował kontrolowanym lotem, w kierunku wielkiej gałęzi na innym pniu. Tutaj czekała na niego Ghaukh. Ulisses przyglądał się przez kilka minut, jak żona bada dziurę w skrzydle. Ich usta otwierały się i zamykały bez przerwy.

Wrócił do jaskini i podał nóż jednemu z wojowników, aby rozciął pęta innym. Kiedy wszyscy byli już na nogach, w pełnym uzbrojeniu, powiedział im, że muszą iść do wewnętrznej pieczary. Pałali rządzą zemsty. W drugiej pieczarze zabili wszystkich Wuggrudów w ciągu kilku sekund. Zastrzelili dorosłe kobiety, które mogły być równie niebezpieczne jak mężczyźni, a potem zadźgali włóczniami młodzież i dzieci.

Następnie Ulisses wszedł do niszy i zabębnił w membranę. Tym razem odpowiedź była szybka, zrozumiała i prawie śmiertelna. Z tysiąc-a, dotąd niewidzialnych szczelin w ścianach, podłódze i suficie uderzyły w nich strumienie rozpylonej pod wysokim ciśnieniem wody, zwalając ich z nóg i przetaczając. Z trudem wstawali, ale powalono ich na nowo; koziółkowali, aż dostali się do tunelu, który był do połowy zatopiony. Krztusząc się i kaszląc, potrąceni przez ciała martwych Wuggrudów, wyśliznęli się do zewnętrznego pomieszczenia, a potem do wyjścia. Tutaj, nagle podwyższony poziom wody omal ich nie zmiotł z gałęzi.

Po chwili strumień zmałał, a potem zniknął. Ostrożnie Ulisses wrócił do pieczary, oczyszczonej z wszystkich ciał i zapasów. Większość ładunków, na szczęście złożono z dala od powodzi.

Wejście do tunelu było zalepione lepłą substancją, niczym plastrem miodu.

Ulisses policzył ludzi, sprawdził zapasy i amunicję. Połowa nadal miała swoje łuki i kołczany, pełne strzał. Zostało im dziesięć bomb. Ocalało osiemdziesięciu czterech wojowników, nie licząc jego i Awiny. Stanowili teraz wymęczoną, pobitą i przemoczoną kompanię. Cięciwy i pióra na strzałach były mokre, a więc na razie bezużyteczne. Bezpieczniki bomb także przemokły, i możliwe, że proch też. Poza tym mieli mało żywności.

Aufaieu, który był teraz dowódcą Wufów, zwrócił się do Ulissesa:

– Panie, jesteśmy gotowi... – przerwał, a po chwili dodał -... aby pójść z tobą z powrotem do naszych wiosek.

Ulisses próbował spojrzeć mu w oczy, ale Aufaieu unikał jego wzroku.

– Ja idę dalej – odpowiedział Ulisses. – Idę na południowe wybrzeże i tam się przekonam, czy istnieją śmiertelni, podobni do mnie.

Aufaieu nie wspomniał, że bóg powinien to wiedzieć, tylko zapytał:

– A co z Wurutaną, panie?

– Tym razem nic nie można z Wurutaną zrobić.

Co on, czy kto inny mógł poradzić? Wurutaną to po prostu drzewo i ktokolwiek sprawował władzę nad ludźmi-nietoperzami, Wuggrudami i leopardami, był nie do odnalezienia, w każdym razie, nie teraz. Drzewo było zbyt ogromne; kontrolująca istota mogła kryć się wszędzie, ale Ulisses złapie kiedyś człowieka-nietoperza i wydusi z niego informację o siedzibie króla Wurutany.

Przynajmniej tak przypuszczał. Teraz zastanawiał się, dlaczego miałby poszukiwać ukrytego władcy. Dopóki nie przeszkadza tym z nizin, spoza Drzewa i mieszka sobie w Drzewie, niech robi co chce. Ulisses zaszedł aż tak daleko, ponieważ nie wiedział czym-kim jest Wurutaną, po drugie Wufowie i inne plemiona myślały, że jest dla nich niebezpieczny. Kamienny Bóg musiał na to coś

poradzić.

Z samym Drzewem nic nie można było zrobić. Będzie rosnać, aż zakryje cały ląd. Wufowie i inni mogą się zaadaptować, nauczyć na nim żyć; albo zbudują łodzie i poszukają nowych lądów.

– Tym razem nic nie można z Wurutaną zrobić – powtórzył. – Co zrobimy? Co ja zrobię? Pójdę dalej i zbadam ziemie wzdłuż morza, aż na południe. Jeżeli chcecie mnie opuścić, możecie; niepotrzebni mi tchórze.

Nie chciał używać takich słów. Ci ludzie nie byli tchórzami. Nie obwiniął ich za brak odwagi w sercu i chęć poddania. On też czuł to samo, ale nie zamierzał się poddawać.

Nagle odezwała się Awina:

– Tak, to tchórze! Wracajcie do swoich wsi, do klanów, które zhańbiliście! Kobiety i dzieci będą z was drwić i pluć na was! Pochowają was w ziemi dla tchórzów! Nie będzie dla was miejsca wśród odważnych! Duchy naszych przodków pluć na was będą!

Aufaietu drgnął, jakby smagnęła go biczem. Warknął na nią bezgłośnie, a jego granatowe oczy zapłonęły. Straszne jest, kiedy mówi tak mężczyzna, ale kobieta! Szczególnie kobieta, która przeszła przez dokładnie takie same niebezpieczeństwa jak mężczyźni.

– Wyruszę natychmiast – zdecydował Ulisses, wskazując południe. – Idę w tę stronę. I już nie wracam. Możecie iść za mną, albo nie. To moje ostatnie słowo.

Aufaietu ogarnęła panika. Przerażała go myśl o powrocie bez Kamiennego Boga, jego przewodnictwa i pociechy. Zaszli tak daleko, tylko dlatego, że on wyciągał ich z opresji. Gdyby wrócili bez niego, musieliby wyjaśniać ludziom, dlaczego opuścili boga.

Ulisses zarzucił na ramię torbę z odrobiną żywności i dwiema bombami; powiedział tylko:

– Chodź, Awina.

Wyszedł przez otwór i ruszył mozolnie dookoła pnia. Kiedy przeszedł na drugą stronę, gdzie wyrastała inna przeogromna gałąź, stanął. Słyszał za sobą głosy.

– Awina! Czy idą?

Uśmiechnęła się.

– Idą.

– Dobrze, ruszajmy więc!

Zatrzymał się około stu jardów dalej, gdzie woda wylewała się z zagłębienia w gałęzi i spływała głębokim rowkiem. Pięćdziesiąt jardów niżej rów zamieniał się w szerokie koryto, a strumień zaczynał swój wielomilowy bieg. Czekał, aż inni wespną się po występach kory. Kiedy wszyscy pokonali wspinaczkę, przemówił do nich.

– Dziękuję wam za lojalność. Nie mogę wam obiecać nic, nic lepszego od tego, co mieliście dotąd.

Niektórzy milczeli, inni szeptali:

– Niech tak będzie, panie.

– Teraz – ciągnął Ulisses. – Znowu zbudujemy tratwy, ale dorobimy barierki, aby żadne beznogie potwory, ani wielkie szcury wodne nie porywały nas.

Kiedy jedna trzecia mężczyzn cięła rośliny podobne do bambusów i liany do związywania, inna grupa stała na straży. Reszta poszła na polowanie. Zanim tratwy były gotowe do wodowania, myśliwi wrócili z trzema kozami, trzema małpami, snoligosterem i dużym strusiowatym ptakiem. Rozpalili ogniska, oprawili zdobycz i zaczęli ją piec. Kiedy zapach mięsa wypełnił im nozdrza, w sercach poczuli radość. Już po chwili śmiali się i żartowali. Wtedy wrócili Ulisses i Awina, niosąc osiem ryb.

Gdy Awina przygotowywała ryby, Ulisses zastanawiał się nad ostatnimi wydarzeniami i nad

tym, co powinien zrobić. Chociaż nie widział ludzi-nietoperzy od czasu ich ucieczki, to wiedział, że nic ich nie powstrzyma od śledzenia go. Musieli tylko trzymać się poza zasięgiem strzał; a kiedy znajdą więcej ludzi-leopardów lub Wuggrudów, którzy pochodzili – był o tym przekonany – od niedźwiedzi, mogli zorganizować wyprawę wojenną.

Co gorsza, istnieje chyba więcej pieczar z membranami. Może tu być cała sieć, łącząca wewnętrznie Drzewo z władzą centralną. Prawdopodobnie ten władca dowodzi także ludźmi-nietoperzami. Mimo wszystko, przeczucie podpowiadało mu, że Wurutaną nie jest ktoś z ludzi-nietoperzy.

Gdyby dostał się na południowe wybrzeże, mogło by się okazać, że Ghlikh go okłamał. Mógł opowiedzieć mu tę historyjkę o ludziach tam żyjących jako dodatkową przynętę, by zwabić go na Drzewo.

Zakończył rozmyślenia konkluzją, że powinien iść do przodu, ufać losowi, umiejętnościom, odwadze swojej i swoich ludzi. Jeśli przypadkiem natknie się na miasto ludzi-nietoperzy, napadnie na nie, o ile będzie w stanie. Nawet jeżeli oni nie są władcami tylko sługami Wurutany, to posiadają cenne informacje.

Nie widział słońca przez pnie, gałęzie i gęste listowie nad głową i po bokach, najsilniejsze natężenie światła dochodziło z pierwszej kwarty nieba. Wydał rozkaz odbicia i usadowili się na czterech tratwach. Pokonali dziesięć mil bez żadnych wypadków. Kiedy słońce wchodziło w ostatnią kwartę, zobaczyli Ghlikha, lecącego równoległe do ich kursu.

Leciał około sześćdziesięciu jardów na lewo i dość wysoko, tak że widać go było ponad wierzchołkami drzew: Zaczai szybciej machać skrzydłami, kiedy zobaczył, że jest obserwowany. Zniknął za ścianą zieleni. Kilka minut później dojrzeli go, siedzącego na gałęzi gigantycznej sekwoi, która rosła na wielkim konarze.

Niektórzy z wojowników chcieli zaraz do niego strzelać, ale Ulisses powiedział, by nie tracili strzał. Zastanawiał się, gdzie jest Ghuakh; domyślał się, że mogła polecieć naprzód, powiadomić Khrauszmid-dumów albo Wuggrudów. A może udała się do miasta Dhulhukikhów z zamiarem sprowadzenia ich na najeźdźców.

Tratwy minęły drzewo, na którym siedział Ghlikh. Obserwował ich, aż rzeka skręciła i zniknęli z pola widzenia. Po chwili zobaczyli go opodal; znowu zniknął. Wrócił jednak i przysiadł na gałęzi innej sekwoi. Był dość blisko i Ulisses widział dziurę od strzały w skrzydle.

Ghlikh pozostał na gałęzi, aż tratwy minęły następny niewielki zakręt. W chwili gdy zniknęli, Ulisses wyskoczył z tratwy i zaczął się przedzierać przez gęstwinię. Przez cały czas miał nadzieję, że zdąży przedostać się w tamto miejsce, zanim Ghlikh odfrunie. W końcu Ghlikh nie musiał się spieszyć. Grupa, którą obserwował, nie mogła się za bardzo oddalić.

Chcąc dostać się tam szybko, musiał robić więcej hałasu, niż chciał. Gdyby był Tarzanem, mógłby skakać z gałęzi na gałąź; spróbuje, jak będzie miał więcej czasu. Tym razem jednak nie, przedzierał się więc na siłę przez liście, miażdżył łodygi i krzewy o niezliczonych, twardych gałęziach, przeciskał się między cierniami i lianami, rosnącymi między drzewami. Niósł swój łuk, trzymając go przed lub ponad sobą.

W końcu położył kołczan na ziemi i wziął do ręki dwie strzały. Dwukrotnie spłoszył sarnę, tak małą jak psy rasy Chihuahua, a raz uskoczył przed syczącym wężem z trójkątną głową, w czarne, pomarańczowe i żółte szewrony na grzbiecie.

Znalazł się na krawędzi w momencie, kiedy Ghlikh zeskakiwał z drzewa. Rozpostarł skrzydła i zaczął nimi poruszać. Zleciał na dół, a potem wzniósł się, zbliżając się do gałęzi odległej o dwadzieścia stóp od miejsca, gdzie za krzakiem ukrył się Ulisses. Ten stał, wycelował w Ghlikha i

wypuścił strzałę. Przebiła prawe ucho nietoperza i poleciała dalej.

Ghlikh krzyknął i przechylił się na bok. Ulisses przesunął się do samej krawędzi gałęzi i nałożył na cięciwę nową strzałę. Ghlikh przestał już krzyczeć i kontrolował upadek. Znajdował się przed Ulissem, około pięćdziesięciu stóp niżej; tym razem Ulisses mierzył nieco bliżej celu.

Strzała przeszła prawe skrzydło i ramię. Drzewiec musiał rozorać ranę na prawym ramieniu, gdyż przeleciał na wylot. Ghlikh jednak został ranny i spadał, ciągnąc za sobą skrzydła w ponurą otchłań. Ulisses próbował śledzić go przez całą drogę, lecz zgubił go w mroku i gęstym listowiu.

Człowiek-nietoperz, mógł jednak dojść do siebie i wylądować bezpiecznie. Ulisses westchnął i wrócił na tratwę. Przynajmniej przestraszył go.

– Zatrzymajcie za następnym zakrętem – rozkazał, wskoczywszy na tratwę. Opowiedział im, co się stało. Chociaż byli rozczarowani, że nie zabił Ghlikha, spodobał im się opis jego przerażenia. Wskoczyli za Ulissem i wciągnęli tratwy w gąszcz, gdzie poprzecinali wiążące liany i ułożyli żerdzie pod krzewami. Potem przeszli na drugą stronę gałęzi i tutaj zaczęło się trudne, chociaż nie niemożliwe, schodzenie w dół. Kiedy zeszli do miejsca, gdzie musieliby poruszać się w płaszczyźnie pionowej, zmienili kierunek i szli w poziomie. Przed zmierzchem znaleźli się w jednym z licznych na bokach gałęzi zagłębien. Bardzo często zamieszkiwały je zwierzęta. Małpy, duże i małe, pawiany, koty o rozmiarach od domowego do ocelota w tygrysie pręgi. Jednak nie walczył z nimi o kryjówkę.

– Zostaniemy, aż skończy nam się mięso i woda – powiedział Ulisses. – Jeżeli Ghlikha nie zabiłem, albo przynajmniej nie raniłem ciężko, to pojawi się tutaj; ale nas nie znajdzie. A gdyby nawet, to zarobi strzałę w brzuch.

Przymus chowania się nie odpowiadał Ulissesowi, ale gdyby mógł pozbyć się ludzi-nietoperzy i ich sług, stan bezczynności i napięcia, leżenie w ciasnej jamie będą tego warte.

Następnego ranka ucieszył się z tego, że się ukryli. Obudziła go Awina, mówiąc, że słyszą obce głosy. Wiele głosów, gdzieś blisko. Podczołgał się do wyjścia i nasłuchiwał. Dochodzące z oddali wysokie, cienkie głosy należały do Dhulhulikhow. Nawoływali siebie, lecąc ponad dżunglą, lub przedzierając się przez gąszcz. Mimo małych rozmiarów przeprawa przez dżunglę sprawiała im wiele kłopotu; łatwo zahaczali skrzydłami, a cienka błona darła się.

– Pozostaniemy tutaj cały dzień – zdecydował Ulisses – ale jeżeli będą tu jeszcze wieczorem, wyjdziemy i złapiemy jednego.

Wycofali się jak najgłębiej do jamy i dobrze zrobili, gdyż godzinę później ujrzeli skrzydło przelatującego nietoperza. Leciał szybko, ale najwidoczniej przyglądał się szczelinom i pieczarom na gałęzi.

Kiedy Dhulhulicy oddalili się, Ulisses zbliżył się do krawędzi wejścia i gestem nakazał wodzowi Wufów, aby podszedł z drugiej strony. Jak się spodziewał, nietoperz postanowił wrócić i lepiej się przyjrzeć. Mała szkarada wylądowała w przejściu bez zastanowienia, spadając szybko musiał jeszcze przebiec kawałek, zanim się zatrzymał. Postąpił niemądrze. Zdaje się, że myślał, iż tu naprawdę nikogo nie ma. Prawdopodobnie wypełniał rozkazy i potraktował to rutynowo.

Jeśli tak, to przeżył największy szok w swoim życiu. Zanim oczy przyzwyczyły się do ciemności, złapano go z tyłu i z przodu. Ogromna ręka zdusiła mu usta, a kant twardej dłoni zadał cios w chudą szyję.

Ulisses kazał związać nieprzytomnego człowieka-nietoperza i zakneblować mu usta. Kiedy otworzył oczy, powiedział mu w języku Ayrata, co ma robić, jeśli chce żyć. Nietoperz kiwnął głową, że posłucha; wyjęto mu knebel, ale do gardła przyłożono nóż.

Nazywał się Khyuks i należał do specjalnych sił bojowych.

Kto ich tu sprowadził?

Na to Khyuks nie odpowiedział. Wtedy Ulisses skrzył trochę delikatną stopę, a Aufaietu zatykał mu dłonią usta. Khyuks nadal nie dawał odpowiedzi, więc Ulisses zrobił mu kilka dziur w skrzydle. Po jeszcze kilku zabiegach, Khyuks zaczął mówić. To Ghuakh, żona Ghlikha, ona ich powiadomiła.

Skoro tak, to miasto ludzi-nietoperzy nie mogło leżeć daleko stąd, pomyślał Ulisses. Miał szczęście.

– Nie... – zaprzeczył Khyuks. – To jest tylko mała osada. Forpoczta.

– Ilu Dhulhukikhów jest w tym oddziale?

– Około pięćdziesięciu.

Ulisses w żaden sposób nie mógł teraz tego sprawdzić.

– Jak planują walczyć z najeźdźcami?

Zadawszy to pytanie, przyglądał się drewnianym lotkom ze statecznikami i kamiennym ostrzem, które wisiały na pasie Khyuksa.

– Dhulhulicy atakują z góry lotkami, a na ziemi walczą Khrauszmiddumowie.

W tej chwili wylądował następny nietoperz. Podleciał, wytracając prędkość przed wejściem i wylądował zaledwie kilka stóp w głębi. Alkunquibowie czekający po bokach, runęli na niego, ale człowieczek odskoczył do tyłu i uciekł im. Jednak jeden z Wufów posłał za nim strzałę i ten, trafiony, spadł bezgłośnie. Wszyscy przykucnęli wewnątrz dziury w oczekiwaniu na alarmujący krzyk.

– Doliczą się później – powiedział Ulisses. – Zaczną szukać brakujących żołnierzy, możecie być pewni.

– Co zrobimy? – zapytała Awina.

– Jeżeli nie rozpoczną poszukiwań do zmierzchu, wtedy wyjdziemy stąd. Wrócimy na górę, do dżungli. Gdyby nas znaleźli, zanim się ściemni, czeka nas piekielna walka.

Nie dodał, że ludzie-nietoperze mogą ich po prostu zagłodzić na śmierć.

Khyuks odpowiedział na niektóre pytania, na inne nie. Był taki delikatny, że nie potrafił znieść zbyt wiele bólu. Gdy ból był silny, mdlał. Kiedy go docucono i ponownie torturowano, znowu mdlał.

Nie zdradził im, gdzie jest miasto Dhulhulikhów. Wyznał wprawdzie, że w mieście żyje duch Wurutany, ale nie wyjaśnił, co to takiego – duch. Upierał się, że nie wie. Nigdy nie widział Wurutany. Tylko wodzowie Dhulhulikhów widzieli. A przynajmniej tak sądził. Nigdy nie słyszał, aby któryś z wodzów mówił, że widział Wurutanę.

Wurutana to bóg Dhulhulikhów, a także ludzi-leopardów i niedźwiedzi; chociaż prości Wuggrudzi mają też wiele innych bogów.

Ulissesa ciekawił zasięg władzy Wurutany. Spytał, czy Khrauszmiddumowie i Wuggrudzi walczyli kiedyś między sobą.

– O tak – odpowiedział Khyuks. – Każde plemię walczy ze swoim sąsiadem, ale nikt nie walczy z nami. Wszyscy słuchają głosu Wurutany.

– A ile jest wszystkich Dhulhulikhów?

Khyuks nie wiedział. Upierał się, mdlejąc nawet kilkakrotnie, że nie wie. Był świadom, że jest ich wielu. Bardzo dużo. W końcu byli faworytami Wurutany.

– Czy na południowym wybrzeżu żyją ludzie podobni do Ulissesa?

Khyuks nie wiedział, ale słyszał, że są. Wybrzeże jest wiele dni lotu stąd i tylko nieliczni ludzie-nietoperze latają tak daleko.

Ostatecznie nadszedł zmierzch i Khyuks ponownie stracił przytomność. Nietoperze przestały już przelatywać w pobliżu ich kryjówek. Ulisses pomyślał, że muszą chyba prowadzić poszukiwania w dole strumienia. Do tego czasu na pewno odkryli, iż dwóch ludzi brakuje. Nie wiedzieli jednak, kiedy i gdzie zginęli. Poza tym w takich okolicznościach niemożliwym było cokolwiek znaleźć.

Kiedy, według niego, było już dosyć ciemno, dał rozkaz wymarszu. Zakneblowanego Khyuksa przywiązano Ulissesowi do pleców. Dał mu słowo, że go nie zabiją, jeśli będzie im dostarczać informacje. Wprawdzie Khyuks nie odpowiadał na wszystkie pytania, ale na większość. Ulisses podziwiał odwagę i wytrzymałość tego człowieczka. Wiedział, że być sentymentalnym w stosunku do wroga to niebezpieczne, ale nie chciał zabijać zuchwałego stwora. Co więcej, może się przydać później.

Wrócili do miejsca, gdzie ukryli kłody i tyczki do budowy tratw. Złożyli je ponownie i wyprawa ruszyła ciemnym potokiem. Światło księżycy nie przedzierało się zbyt głęboko. Od czasu do czasu pojedynczy promień dochodził aleją wśród gałęzi i liści. Raz, wąski promień oświetlił wielkie, ciemne, okrągłe obiekty przed nimi. Dało się słyszeć parsknięcie i jedno ze stworzeń wystrzeliło w górę strumień wody. Zwierzęta, znikając, kotłowały się w potoku. Tratwy posuwały się przez odmęty, a ich pasażerowie czekali w napięciu, aż wielkie hiposzczury pojawią się przy burtach, albo, co gorsza, pod tratwami, ale płynęli bez przeszkód.

Kilkakrotnie Ulisses zauważył, jak pozornie nie kończące się sznury beznogich krokodyli ześlizgują się z brzegu do czarnosrebrnej wody. Czekał, aż krótka szczeka o niezliczonych zębach wtargnie na pokład i zaciśnie się na czyjejs lub jego nodze; albo potężny ogon spadnie z ciemności i zmiażdżywszy kości, zrzuci je do wody.

Pokonywali mile bez wypadku. Ptaki i nieznane zwierzęta krzyczały niesamowicie. Nagle prąd przyspieszył i płynęli tak prędko, że nie musieli odpychać się tyczkami od dna. Trzeba jednak było odpychać się od brzegów, aby w nie nie uderzyć.

Wielki konar bardziej się pochylił, chociaż nie zauważyliby tego w ciemności. Gdyby nie szybszy prąd, myśleliby, że płyną poziomo.

Ulissesa cieszyło tempo, ale zarazem obawiał się. Ukląkł przy związanym Khyuksie i spryskał mu twarz wodą z potoku. Nieprzytomny człowiek-nietoperz otworzył oczy.

– Pić – zachrypiał.

Ulisses zaczerpnął tykwą więcej wody i uniósł głowę Khyuksa, aby ten mógł się napić.

– Zdaje się, że woda przyspiesza przed jakimś wodospadem. Wiesz coś na ten temat?

– Nie – posępnie wycedził Khyuks. – Nic nie wiem o żadnym wodospadzie.

– Co to znaczy? – spytał Ulisses. – Czy nie znasz tych terenów, czy też nie ma żadnego wodospadu na końcu potoku.

– Nie latałem nad tą częścią gałęzi w czasie poszukiwań – wyjaśnił Khyuks.

– No cóż, dowiemy się o istnieniu katarakty w inny. Zamierzam się stąd wydostać jak najszybciej. Zostaniemy na tratwach do ostatniego momentu. Będzie to trochę trudne, ale mam nadzieję, że możliwe.

Nie wdawał się w szczegóły. Khyuks nie był pogrążony w bólu na tyle, aby nie wyobrazić sobie, co się może stać. Każdy będzie się troszczyć o siebie, a Khyuks ze związanymi rękami i nogami, będzie uzależniony od czyjejs pomocy. Może nie starczyć czasu, by ktoś przeniósł go lub rzucił na brzeg, nawet gdyby mieli dobre chęci.

Po chwili Khyuks przemówił ponownie. Widać było, jak siebie nienawidzi. Chciał milczeć i przyjąć na siebie wszystko, co nadejdzie, ale nie potrafił stanąć w obliczu śmierci na końcu gałęzi. Może, Ulisses, śmierć w wodzie była dla niego szczególnie przerażająca.

– Sądząc po prądzie – mówił powoli – musimy być około trzech mil od miejsca, gdzie jest pierwsza katarakta.

Ulisses rozważył możliwość, że Khyuks mógł kłamać, aby ich wszystkich wciągnąć w pułapkę i skazać na śmierć w odmętach spadającej wody, poświęcając własne życie.

– Popłyniemy jeszcze jakąś milę – powiedział Ulisses. – Wtedy wysiądziemy.

Było dość jasno, tak że widział twarz Khyuksa. Raz po raz robiło się widniej, gdy promienie księżycy przebiły się przez wolne wśród liści, gałęzi i pni. Twarz człowieka-nietoperza była nieodgadniona i nieczytelna jak kawałek skóry.

W tej chwili krzyk podniósł Ulissesa na nogi, a po karku przeszły mu ciarki. Obrócił się i zobaczył, jak Awina wskazuje coś odległego o pięćdziesiąt jardów. Ze szczeliny, wypełnionej ziemią, wyrastało ogromne drzewo. Miało tylko pięćdziesiąt stóp wysokości, ale w poziomie rozrastało się do osiemdziesięciu stóp po każdej pnia. Krzyk doszedł z jednej z gałęzi. Chwilę później znalazł jego źródło. Z grzybiastej korony zeskoczyła cała masa ciemnych kształtów w otchłań pod gałęzią, na której rosło to drzewo. Rozpościerały skórzane skrzydła i znikwały za gęstwiną. Po minucie pojawił z nich, lecąc w stronę tratw. W mgnieniu oka było ich dużo więcej.

Ulisses mógł zrobić tylko jedno. Gdyby jego ludzie zostali na tratwach, z łatwością zaatakowano by ich z góry. Gorzej, musieliby opuszczać tratwy w czasie ataku i w warunkach trudnych do obrony.

Wykrzyknął rozkaz i ci z zewnętrznej strony tratwy odepchnęli żerdziami od dna. Tratwy skierowały się do brzegu. Pierwsi wojownicy przeskoczyli, chwytając się krzaków. W międzyczasie Ulisses zaczął przerzucać najcięższe ze skrzyń. Miał nadzieję, że uderzenie nie podziąła na proch. Skrzynie spadły w zarośla bez reakcji.

Potem uniósł Khyuksa i cisnął go z takim wysiłkiem, że aż zanurzył się bok tratwy. Mały stwór, wrzeszcząc, uderzył w gąszcz. Wagarondita Wulka podniósł go.

W tym momencie pierwszy z ludzi-nietoperzy runął w dół. Pikował na tratwę, trzymając w wątych rękach małą włócznię. Nie zdążył w ogóle do niej dotrzeć; w pierś głucho wbiła mu się strzała i spadł z głośnym pluskiem. Z brzegu naprzeciwko zsunęło się do wody wielkie, beznogie cielsko.

Ulisses strzelił raz, zobaczył, że strzała przeszła przez ramię jednego z ludzi-nietoperzy. Potem odwrócił się i skoczył na brzeg, nie przyglądając się już upadkowi trafionego. W prawej ręce trzymał łuk, a lewą uczepił się gałęzi. Jego dłoń zacisnęła się na cierniach, krzyknął z bólu, ale nie puścił.

Coś upadło obok jego prawej stopy, pocisk, rzucony lub puszczonej przez jednego z latających ludzi. Wówczas przekoziółkował przez krzak, nie dbając o zniszczenie kołczanu czy łuku. Znalazłszy się za krzakiem, odczołgał się przez gąszcz, aż zakrył go wielki krzew. Krzyknął do wodzów i Awiny, wszyscy odpowiedzieli. Zgodnie z jego dalszymi rozkazami przedarli się przez gąszcz i znaleźli się przy nim. Tymczasem ludzie-nietoperze przelatywali ponad dżunglą, rzucając włóczniami i lotkami; strzelali także z małych łuków. Nikt nie został trafiony i po chwili bombardowania na ślepo, zaprzestali tej praktyki. Tracili zbyt wiele broni.

W tym samym czasie łucznicy stracili pięciu latających. Ludzie-nietoperze wycofali się na drzewo na naradę.

Mimo odwrotu przewaga była po ich stronie. Wróg mógł poruszać się tylko w jednym kierunku, potem musi wspiąć się lub zejść po pniu i przedostać się na inną gałąź. Gdyby to zrobili, ludzie-nietoperze odkryliby ich i mogliby wszystkich wybić, nie ponosząc w swoich szeregach nawet małych szkód.

Gdyby najeźdźcy pozostali w ukryciu, w gąszczu gałęzi, to odkładaliby to, co i tak nieuniknione. Ludzie-nietoperze mogli przysłać większe siły i z czasem wypłoszyć wszystkich, a nawet gdyby skrzydlaci ludzie nie podjęli otwartej walki, mogliby ich zagłodzić, gdyż w tych warunkach polowanie było niemożliwe.

Ulisses próbował policzyć swoich wrogów, kiedy tamci śmigali ponad nim w ciemnościach,

skąpo oświetlanych przez księżyc. Obliczył, że było ich około stu. Teraz zostało tylko sześciu wartowników, jednak poza skutecznym zasięgiem strzał.

Ulisses przykucnął pod krzakiem i próbował zastanowić się nad sytuacją. Kiedy tak myślał, doszedł do niego bardzo słaby i odległy pomruk. Nakazał ciszę i w ciągu minuty prawie upewnił się, co to za szum. Musiał to być, zmieniony przez odległość, ryk wodospadu.

Wydał rozkazy najbliższej osobie, Awinie, która przekazała je dalej. Wszystko się opóźniło, gdyż większość nie była skora do opuszczenia bezpiecznego miejsca. Dawało im wspaniałe schronienie, ale Ulisses znał swoich „ludzi” i ich myśli. Krzyknął na nich i powiedział, co się wkrótce stanie, jeżeli się nie ruszą. Kiedy im wszystko wyjaśnił, postępowali szybko. Nie troskali się zbytnio o przyszłość; dość mieli kłopotów z obecną sytuacją.

Koniec gałęzi, a raczej miejsce w którym raptownie skręcała pionowo pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, odległy był o dwie mile. Wyprawa posuwała się powoli z powodu gęstej roślinności; mieli także rozkazy, aby iść cicho i wolno.

Ulisses dojrzał białą-czarną pianę na ćwierć mili przed dojściem do niej. Wspiął się na wysokie drzewo, aby mieć lepszy widok, jednocześnie starając się, aby przelatujący wysoko od czasu do czasu ludzie--nietoperze., nie dostrzegli go. Podniosły się mgły, zakrywając gałąź, tak jak myślał. W górze, na drzewie, dżungla już nie tłumiała ryku spadającej wody.

Miał schodzić, kiedy spostrzegł Dhulhulikha, przelatującego opodal. Przyłgnął do drzewa, chcąc wyglądać jak zgrubienie kory. Księżyc nie oświetlał go bezpośrednio, chociaż przez liście przebijało się dość promieni, czyniąc ciemność bardziej srebrną. Nietoperz przeleciał, trzepocząc skrzydłami powoli, tak że prawie zawisł w powietrzu. Zawrócił w kierunku drzewa, lecąc poprzez przestrzenie czerni i bladej żółci. Promienie księżycy odbijały się od łysej czaszki i ginęły na skrzydłach, ciemniejszych od reszty ciała. Zszedł w dół, aż do wierzchołków krzewów i wzbił się w górę, bił skrzydłami, aby nie spaść. Zanim wylądował na gałęzi drzewa po drugiej stronie zawisł w powietrzu; lądował łagodnie niczym sowa.

Nie posiadał szponów, którymi mógłby trzymać się gałęzi, więc złapał mniejszą gałązkę, aby nie spaść. Złożywszy skrzydła, obrócił się plecami do Ulissesa. Miał na sobie pas z kamiennym nożem, a w rękę krótką, cienką włócznię. Na sznurze wokół szyi wisiał skręcony instrument. Ulisses zgadł, że jest to róg. Stwór siedział tu i wypatrywał wroga. Gdyby ich ujrzął, zaważwałby pobratymców przy pomocy rogu;

Z dołu nie dochodził żaden dźwięk na tyle głośny, by wznieść się ponad huk wodospadu. Jego ludzie widzieli człowieka-nietoperza i czekali na rozwój wydarzeń. Dżungla wyglądała na niezamieszkałą.

Ulisses opuścił swoje stanowisko i zaczął posuwać się wokół pnia. Łuk i kołczan zostały na dole. Na szczęście leżały po przeciwnej stronie, w cieniu. Ulisses miał przy sobie jedynie nóż sprężynowy, który trzymał w zębach. Mimo że wodospad głużył wszelkie odgłosy, nie był na tyle głośny, aby nietoperz o dobrym słuchu nie usłyszał szelestu liści czy trzasku gałązki.

Człowiek-nietoperz nadal siedział odwrócony plecami do Ulissesa, na tej samej gałęzi po której się ten zbliżał. Wysuwał jedną stopę i dołączał drugą, i tak dalej. Potem stanął i wyjął nóż z ust. Człowiek--nietoperz rozpostarł do połowy skrzydła, zatrzepotał nimi lekko, po czym je na powrót złożył. Wtedy Ulisses zobaczył dziurę w błonie prawego skrzydła. Rozpoznał sylwetkę głowy i zarys barków. To był Ghlikh.

Zrezygnował z zamiaru zabicia. Ghlikha mógł wykorzystać.

Zabić byłoby łatwiej niż pojmać. Musiał postarać się, aby jednocześnie uderzyć Ghlikha i od razu powstrzymać od upadku.

Chociaż Ghlikh ważył tylko około czterdziestu pięciu funtów, to spadając z wysokości trzydziestu stóp prawdopodobnie by się zabił. Ulisses musiał także uważać, aby nie zaatakować za szybko, bo mógłby spaść razem z nim.

Zbliżał się bardzo powoli, ze strachem, że mały człowiek wyczuje ugięcie gałęzi pod jego stu czterdziestu pięcioma funtami. Ghlikh jednak nie siedział na cienkiej części gałęzi. Był w połowie. Ulisses uderzył go w bok szyi nie za mocno, by nie złamać kruchych, prawdopodobnie pneumatycznych kości. Bezgłośnie, Ghlikh przewrócił się i upadł do przodu. Ulisses musiał złapać go drugą ręką za skrzydło. Zawołał do ukrytych w krzakach, a gdy wyszli, zrzucił nieprzytomnego człowieka wprost w czekające ramiona. Zanim zszedł, Ghlikha już związano i zakneblowano. Kilka minut później otworzył oczy. Ulisses stał w świetle księżyca, więc Ghlikh widział, kto go pojmał. Rozszerzył oczy ze zdumienia i szarpnął się. Nadal się wił, kiedy przytroczono go do pleców Ulissego jak plecak. Ulisses rozkazał Wulce, aby go jeszcze raz uderzył i Wagarondita z radością posłuchał.

Ostatnie pół mili pokonali w najszybszym możliwym tempie. Mgły zakryły Ulissego nie tylko przed wzrokiem nietoperzy, ale także jego własnych ludzi. W ciemnościach i chmurach, unoszących się w otchłani, widział zaledwie na dwie stopy, przed i poniżej siebie. Jego ciało pokryły krople wody i zrobiło mu się zimno. Kora, palce rąk i stóp stały się śliskie.

Nie pozostało nic, tylko iść w dół. Gdyby był sam, lub z ludźmi, którzy nie uważali go za boga, nie wchodziłby w mgłę. Ale nie mógł unikać swoich powinności, ani łamać słowa.

– Mgła to nasza osłona – powiedział – ale jak wszystkie osłony, wszystkie tarcze, ma swoje minusy. Płaci się za nią cenę. Chowa nas przed wrogami, ale kryje niebezpieczeństwa. Będzie ślisko i będziemy ślepi.

Szli teraz bardzo wolno, szukając po omacku występu poniżej. Rękami uczepił się kory, jedna stopa tkwiła do połowy w szczelinie, a druga szukała oparcia. W końcu znalazł występ, wtedy opuścił się, upewniwszy się najpierw, czy chwyt jest bezpieczny. Ta czynność powtarzała się nieskończoną ilość razy, aż ciemności poczęły blednąć i widział trochę więcej niż przedtem.

Pod nim rozpościerała się masywna gałąź. Wszedł na nią ostrożnie, sprawdzając palcami każdy niewidoczny cal kory. Po lewej stronie ryczał wodospad, a woda zawzięcie dobierała mu się do lewej stopy. Nagle cały podskoczył, kiedy go coś dotknęło; obrócił się gwałtownie, z nożem w rękę. W mroku dojrzał niską, wiotką, czarno-białą postać Awiny. Zbliżyła się. Jej duże oczy stanowiły dwie ciemne otchłanie. Schował nóż, a ona przywarła do niego na chwilę. Futro miała mokre, lecz wkrótce ich ciała zaczęły się ogrzewać. Przejechał dłonią po wierzchu jej okrągłej głowy, dotknął mokrych, jedwabistych uszu, a potem pogładził ją po plecach. Jej futro było jak u utopionego szczura, a nie to cudownie puszyste, jakie znał.

Z mgły wyłoniły się inne postacie. Odsunął się od Awiny. Liczył ich. Byli wszyscy. Ghlikh zaczął się wiercić. W czasie zejścia zastygł w bezruchu, niczym worek mięsa. Teraz myślał, że jest bezpieczny i próbował rozruszać zdrętwiałe ciało. Ulisses kazał go sobie zdjąć z pleców i uwolnić mu nogi z więzów. Człowieczek podskakiwał na wątych kończynach o wielkich stopach, a dwóch Wagaronditów stało gotowych do zadania mu ciosu, gdyby próbował uciec.

Ulisses ostrożnie wyszedł z mgły. Szczyt wodospadu wznosił się pięćset stóp wyżej. Nie widać było ludzi-nietoperzy. Krawędź gałęzi w górnej części znaczyły tylko krzewy i pochylone drzewa. Odwrócił się i zobaczył, że gałąź ciągnie się poziomo i dalej niknie z pola widzenia. Nic nie stało na przeszkodzie, by zbudowali nowe tratwy i kontynuowali podróż potokiem. Muszą jednak schować się w dżungli, aż znowu zapadnie noc. Muszą spać w dzień, chociaż trzeba będzie poświęcić trochę czasu na polowania. Zapasy żywności kończyły się.

Późnym wieczorem, już wyspani, ale konający z głodu, zorganizowali cztery grupy myśliwskie. Godzinę później mieli beznogiego krokodyla, hiposzczura, dwa wielkie czerwone kozły i trzy duże małpy.

Dobrze zjedli tego wieczoru i wszyscy poczuli się lepiej. Pościnali kłody, powiązali je i spuścili na rzeczkę. Przed świtem dotarli do następnego przełomu i następnej katarakty na wielkiej gałęzi. Zeszli na dół, lecz trzymali się poza mgłą i o świcie znaleźli się na dnie przy potoku. Przespawszy się, po polowaniu, zbudowali nowe tratwy. Dno trzeciego wodospadu okazało się być u podstawy Drzewa, czy – jak mówiła Awina pod stopami Wurutany.

Szerokie pnie, gałęzie i różnorodna roślinność, rosnąca aż do wysokości dziesięciu tysięcy stóp tworzyły gęstwinę, która dopuszczała jedynie nieliczne promienie słoneczne. W południe panował tutaj głęboki półmrok, a rano i po południu prawie noc jak burza z kruczych piór, wypełniała przestrzeń pomiędzy gigantycznymi kolumnami i łukami zatopionymi w bagnie. Ziemia pod Drzewem chłoneła wodę katarakt, deszcze – to, czego nie zużyły gałęzie i kolosalne liście Drzewa i rośliny na nim żyjące. U podstawy Drzewa powstawały mokradła, ogromne, niewypowiedziane, posępne bagna. Głębokość wody wahała się od jednego cala do kilku stóp; dosyć, aby się człowiek utopił. Z tej wody, z tego błota wyrastało wiele dziwnych, cuchnących roślin, szarych i plamistych.

Półmrok nadawał im koszmarnie formy. Ogromne fragmenty kory, niektóre wielkości domku wczasowego, odpadały od Drzewa, uderzając po drodze w gałęzie i pnie, ścinając inne duże gnijące występy kory. Drzewo, jak wielki Wąż ze skandynawskiej mitologii, zmieniało skórę. Kora nieustannie gniła, a potem pękała i spadała na gałęzie, by tu dalej gnić, albo spadała dalej jak zimna, czarna gwiazda i z pluskiem uderzała w wodę i błoto moczarów. Tam, zanurzona do połowy gniła, a owady i robactwo, władające tym ponurym światem, miało w niej swój dom.

Były to długie i cienkie robaki o trupim kolorze i owłosionych głowach, żuki, koloru granatu, uzbrojone w potężne żuchwy, długonogie, jasnoszkarłatne i ciemne jak noc węże z rogami na trójkątnych głowach, wielonogie gąsienice o giętkich tułowiach, wyposażonych w tuzin wyrostków, które w momencie przerażenia emitowały trujący gaz, czemu towarzyszyła głośnie eksplozja i jeszcze całe zastępy obrzydliwych stworzeń. Ogromne fragmenty kory, leżące wszędzie w ciemnościach jak głazy po wycofaniu się lodowca, pełne były robaczywego, jadowitego życia.

Wokół tych poszczerbionych odpadów rosły wysokie, smukłe, bezlistne rośliny, które wydawały zielonożółte owoce w kształcie serc. Wyrastały ze szczelin w rogowych łupinach. Rósł tam także gruby, szlamowaty chwast. Wyrastał na stopę lub dwie ponad mulistą wodę czy wodnisty muł. Ponad nim czasami zatrzepotał szerokimi skrzydłami owad, cały o cielistym kolorze dopiero co zmarłego człowieka. Głowę miał białą, z dwoma okrągłymi znamionami i wcięciami pod nimi, tak że wyglądała jak trupia czaszka. Przelatywał bezgłośnie, dotykając czasami kogoś z członków wyprawy, który wtedy odskakiwał. Jednak wszelkie hałasy i ruch tłumiono. Ludzie rozmawiali bardzo cicho, często szeptali i w ogóle nie śmiali się. Stopy tonęły w wodzie i mule, wyciągali je powoli, jakby w pokorze, towarzyszące temu plaśnięcia także były ciche i delikatne. Ludzie zbili się ciasno i nikt nie chciał zejść w krzaki lub za wysokie, szaroniebieskie, blade łodygi, by ulżyć swoim potrzebom.

Początkowo Ulisses miał zamiar trzymać się blisko mokradła. Chociaż wędrowka była powolna i ciężka, to miejsce to wydawało się dogodniejsze od terenów leżących powyżej, gdzie żyło zbyt wiele myślących wrogów. Ale jeden dzień i jedna noc wśród Stóp Wurutany wystarczyły jemu i jego ludziom. Następnego ranka omal nie poderwał się na równe nogi, kiedy krwista żaba skoczyła z odłamku kory wprost na jego piersi, a stamtąd do głębokiej po kostki wody. Wtedy pomyślał, że więcej nie ścierpi. Próbowali też spać na odłamku kory wielkości małej, wiejskiej chaty, ale przez całą noc niepokoiły ich stworzenia wypełzające z dziur w korze i tajemnicze głosy zwierząt

mokradeł.

Postanowił poprowadzić ich z powrotem w górę najbliższą zachęcającą gałęzią. Musieli iść skrajem obszaru wypełnionego ruchomymi piaskami, więc dopiero po południu dotarli do chropowatych kolumn, które zanurzały się w bagnie. Płynęła tutaj rzeka, która wyglądała na trującą. Woda była karminowa.

Ulisses zbadał ją i odkrył, że kolor pochodzi od milionów stworzeń, tak małych, że pojedynczy osobnik był prawie niewidoczny. Ghlikh, który do tej chwili nie miał zamiaru mówić, odezwał się. Powiedział, że te zwierzęta mają tarło raz na rok. Nie wiedział skąd pochodzą, ani gdzie płyną. Wody rzek i stawów pozostają czerwone przez tydzień, a potem robią się czyste. W międzyczasie służą rybom, ptakom i zwierzętom w dżungli za pożywienie. Poradził sporządzić z tego zupę.

Ulisses skorzystał z tej propozycji, ale kazał wpierw Ghlikhowi napić się zupy. Kiedy minęło kilka godzin bez żadnych negatywnych skutków, Ulisses wypił sam pełną tykwę i uznał potrawę za bardzo sytą i smaczną. Przez następnych kilka dni, płynąc na tratwach, żywili się głównie czerpanymi z wody karminowymi żyjątkami. Bez potrzeby stawania na polowanie, podróż postępowała dużo szybciej. Pokonali w przybliżeniu pięćdziesiąt mil, schodząc trzema kataraktami, zanim dotarli do najniższego poziomu rzeki. Do tego czasu karminowy plankton zniknął.

Kiedy się na powrót wspięli, Ulisses kierując się na poły zachcianką, a na poły ciekawością, poprowadził ich jak mogli dojść najwyżej. Wspinaczka po chropowatym i pooranym boku pnia zajęła im trzy dni. W nocy spali na wystęпах kory, które musiały być na tyle duże, by pomieścić całą gromadę. Trzeciego dnia wspinali się poprzez chmury i przedarli się przez nie dopiero wieczorem. Rano chmury zniknęły i ujrzeli otchłań. Znajdowali się na wysokości przynajmniej kilkudziesięciu tysięcy stóp. Pień wznosił się jeszcze przez dwieście lub trzysta stóp, ale nie było sensu wspinać się wyżej. Do tego poziomu wyrastały gałęzie. Ten konar był ich prawdziwym błogosławieństwem. Wydawał się ciągnąć w nieskończoność, schodząc łagodnie w dół.

Ze spojenia gałęzi z pniem tryskało źródło, do niego dołączały inne źródła, tworząc rzeczkę, która milę dalej stawała się żeglowna.

Co milę schodziła w dół pionowa odnoga, sięgająca dna – o ile mogli tak sądzić – albo łączyła się z inną gałęzią poniżej.

Aby ludzie-nietoperze nie próbowali odlecieć, Ulisses wybił im dziury w membranach skrzydeł, potem związał skrzydła cienką nicią z jelit. Zmusił ich do samodzielnej wspinaczki po pniu, gdyż ich ciężar był zbyt duży do dźwigania na tak długim podejściu. Szli w środku linii, pełzającej chropowatym zboczem z kory, co uniemożliwiało im ucieczkę. Byli tak lescy, że potrafili wspinać się znacznie szybciej niż zwinni Wufowie.

Ulisses zarządził obozowisko. Odpoczną przez kilka dni, polując i chodząc na zwiady w okolicy. Miał nadzieję, że znajdzie inną dziuplę w pniu i poeksperymentuje z membraną. Od czasu wydarzenia z Wuggrudami szukał innych dziur. Był pewien, że istnieją ich tysiące, ale nie widział żadnej. Jak twierdzili ludzie-nietoperze, były wszędzie. Frustrowało go, że wiedział o nich, a jednocześnie nie mógł ich znaleźć. Był przekonany, że każda pieczara jest strzeżona przez niedźwiedziowatych Wuggrudów albo podobnych do leopardów Khrauszmidumów. Naprawdę nie stać go było na jeszcze jedno spotkanie z nimi, gdyby mieli zdziesiątkować jego ludzi. Gdyby tylko znalazł membranę; zdążył już poznać kod. Posługiwał się językiem handlowym, a przypominał Morse'a – używano długich i krótkich impulsów.

Wydobył to z Ghlikha w nocy, kiedy wszyscy powinni odpoczywać po trudach dnia. Khyuks nieugięcie odmawiał wydania kodu. Właściwie, to nawet nie przyznał, że taki istnieje, ale Ghlikh był inny. Jego próg bólu był niższy, czy też charakter miał inny. Albo też był bardziej inteligentny od

Khyuksa, lub świadom, że czasami musi coś zdradzić. Dlaczego więc nie mówić od razu?

Khyuks przeklinał Ghlikha, wyzywał go od zdrajców, tchórzy, flaków i że nie ma kręgosłupa. Ghlikh na to, że jeżeli się nie zamknie, to zabije go przy pierwszej sposobności.

Minio że Ghlikh wyjawiał kod, nie wskazał, albo nie mógł wskazać, miejsca centralnej bazy. Zaklinał się, że trzeba wznieść się znacznie ponad Drzewo, aby ujrzeć pewne znaki nawigacyjne, które wiodą do ich bazy. Tymi znakami są wysokie drzewa, a ich liście układają się w pewien wzór, zaś odczytać go można jedynie z wysokości dwóch tysięcy stóp. Nawet gdyby znajdowali się pod jednym z takich drzew, to z dołu nic nie potrafił rozpoznać.

Ulisses rozczarowany, machnął na to ręką. Nie miał w planach atakowania ich bazy teraz, nawet gdyby znał jej położenie. Przydałaby mu się jednak ta informacja, bo po zebraniu odpowiednich sił, mógłby uderzyć. Tak czy inaczej, dowie się.

Siedział oparty plecami o dość duży, luźny kawał kory, dziesięć stóp przed nim płonęło ognisko. Była już prawie noc, poniżej panowała kompletna ciemność. Niebo jeszcze błękitne, a odległe chmury przechodziły w róż, jasną zieleń i ciemniejszą szarość. Krzyki i wycie polujących zwierząt i ich ofiar unosiły się w oddali jak zapomniane nocne mary. Dwójka ludzi-nietoperzy znajdowała się blisko niego, siedzieli bez słowa, nawet nie patrząc na siebie. Wufowie, Wagarondici i Alkunquibowie zgromadzili się wokół sześciu dużych ognisk. Strażników rozstawiono na gałęzi, a także poza zasięgiem wzroku na jej bokach. Czuć było wszędzie smakowity zapach pieczonego mięsa i ryb, aż ślina ciekła. Wyprawa myśliwska wyruszyła wcześniej i powróciła z trzema czworonożnymi kozłami o kasztanowatej sierści i dziesięcioma wielkimi rybami (zabrali je kotu, wielkości kuguara, w szaroczarne cętki, który właśnie je upolował), przynieśli też torby pełne różnego rodzaju owoców i trzy ogromne, mocno owłosione małpy.

Myśliwi zameldowali, że roślinność na szczycie gałęzi składa się głównie z jodeł, krzewów owocowych, trawy po kolana, rosnącej w szczelinach, wypełnionych ziemią i mchu do kostek. W rzece przeobfitość ryb, ale bez snoligosterów i hiposzczurów. Głównymi drapieżcami były: czarnoszara puma, mały niedźwiedź i kilka gatunków wydr. Pozostałe zwierzęta to kozły i małpy.

Tego wieczoru dobrze zjedli, a spali tak blisko ognia, jak tylko można, aby się od niego nie zająć. Na tej wysokości po zachodzie słońca robiło się przenikliwie zimno.

Rano na śniadanie zjedli resztki z kolacji i zabrali się do budowy tratw. Ścięli kilka jodeł, wysokości zaledwie dwudziestu stóp i zrobili tratwy. Wyruszyli w pogodnym nastroju i pełni nadziei.

Po raz pierwszy nie byli rozczarowani, ani zawiedzeni. Rzeka niosła ich wolnym tempem przez około trzydzieści mil, a potem skończyła się na rozszerzeniu gałęzi. Nie spadała z hukiem kataraktą pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, lecz po prostu rozlewała się szeroko i spływała po bokach, hamowana lekkim wzniesieniem gałęzi. Podróżnicy zeszli z tratw i zanieśli kłody wzniesieniem, biegnącym pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Na wierzchołku znaleźli inny potok, który wkrótce zamieniał się w nową rzekę. Złożyli tratwy i pozwolili ponieść się prądowi. Ten sposób podróżowania powtórzył się dziesięciokrotnie. W końcu gałąź przeszła w najdłuższy odcinek, to już znali dobrze. Ciągnęła się przez około sześćdziesiąt mil, schodząc tak umiarkowanie, że wody wpływały wprost w mokradła. Ulisses obliczył, że na tej gałęzi musieli przebyć około dwustu pięćdziesięciu mil. Ghlikh powiedział, że mieli szczęście znajdując ją. Mało było takich.

Wspięli się, uciekając od zimnego, mokrego i cuchnącego bagna, aż znaleźli obiecującą gałąź na wysokości około sześciu tysięcy stóp. Dziesięć dni później dotarli do wodospadu, którego podstawa znajdowała się aż pięć tysięcy stóp niżej. I tutaj Drzewo się kończyło.

Ulisses poczuł się jak we śnie, kręciło mu się w głowie. Tak przywykł do tego świata, będącego

jednym gigantycznym drzewem o wielu poziomach, poplątanych, krętych gałęzi, pni, z pozoru sięgających nieba, że myślał, iż Drzewo jest całym światem.

Teraz rozpościerała się przed nimi równina na przestrzeni pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu mil, a za nią wylaniały się szczyty gór. Po drugiej stronie łańcucha górskiego, jeśli wierzyć Ghlikhowi, było morze.

Awina stała tak blisko Ulissesa, że jej owłosione biodro ocierało się o niego. Długi, czarny ogon chodził z boku na bok, a jego koniec czasami łaskotał mu nogi.

– Wurutana oszczędził nas – powiedziała. – Nie wiem dlaczego, ale ma swoje powody.

Ulisses zdenerwował się.

– Dlaczego nie pomyślisz, że to nasz sukces, że zawdzięczamy to mojej boskiej władzy?

Awina wzdygnęła się i spojrzała na niego z ukosa. Jej oczy były ogromne jak zawsze, ale źrenice zwęziły się do szparek.

– Wybacz, panie – przeprosiła. – Wiele tobie zawdzięczamy, bez ciebie zginęlibyśmy. Jednak jesteś małym bogiem w porównaniu z Wurutana.

– Wielkość wcale nie musi oznaczać wyższości – odparł.

Był zły, nie dlatego, że zaprzeczała lub nie doceniała jego boskości. Z pewnością nie był do tego stopnia zarozumiały. Domagał się tylko właściwej oceny, ludzkiej oceny, nawet jeżeli musiał odgrywać boga.

Chciał, aby doceniła go Awina. Bardziej niż kto inny. Ale dlaczego miałby tego pragnąć? Dlaczego ta piękna, lecz dziwna istota, to myślące, ale nie-ludzkie stworzenie, miało być dla niego takie ważne?

Z drugiej strony, myślał – dlaczego nie? Od pierwszego dnia była jego ostoją, nauczyła go języka, służyła na wiele sposobów, dawała wsparcie moralne. I była bardzo atrakcyjna, w fizycznym znaczeniu. Tyle czasu minęło, odkąd widział ludzką istotę, że przywykł już do nie-ludzi. Awina była bardzo piękną samicą (omal nie pomyślał – kobietą).

Mimo że podobała mu się, często czuł do niej odrazę. To zdarzało się, kiedy zbliżała się za bardzo. Wtedy on odsuwał się, a ona spoglądała na niego, nie rozumiejąc. Czy znała jego myśli? Czy poprawnie interpretowała jego odruch?

Miał nadzieję, że nie. Bo gdyby tak, to była na tyle inteligentna i wrażliwa, by domyśleć się, że unikanie fizycznego kontaktu było z jego strony obroną. Wiedziałyby, tak jak i on wiedział, dlaczego musi się bronić.

Krzyknął do Wulki i innych wodzów:

– Idziemy! Na dół, za mną, z Drzewa! Wkrótce będziemy na stałym lądzie.

Zejście szło dość dobrze, chociaż musiał opierać się pokusie pośpiechu. Szaroczarny ogrom Drzewa wydawał się jeszcze bardziej przerażający teraz, kiedy byli bliscy uwolnienia się od niego, niż gdy byli w jego wnętrzu. Nic się nie wydarzyło, ani Wuggrudzi, ani Khrauszmiddumowie nie pojawili się na ostateczny atak.

Jednak, kiedy znajdą się na równinie, latający ludzie odkryją ich z łatwością. Najlepiej by było pozostać w cieniu Drzewa aż do nocy, i wtedy wyruszyć.

Na szczęście grunt przy podstawie wielkiego Drzewa nie był podmokły. Kiedy opuścili gałąź, po której płynęła rzeka, od razu znaleźli suche podłoże. Rozbili obóz po północnej stronie gałęzi, która wbijała się w ziemię pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Ulisses przyglądał się równinie, pokrytej wysoką do goleni zielonobrazową trawą, pocętkowaną kępami drzew, podobnych do akacji. Widział wielkie stada zwierząt żywiących się trawą i liśćmi: koni, antylop, bizonów, żyrafopodobnych stworzeń, słoni, wywodzących się, jak przypuszczał, od tapira, gigantycznych

królików o ciężkich łapach i długonogich świń z niebieskawymi wygiętymi kłami. Żyły tu także drapieżniki: wysoki na dwanaście stóp struś, leopard podobny do geparda i stada lwów, z włosami jeżozwierzy.

Tej nocy wyprawa oddaliła się od Drzewa. Nie posunęli się jednak daleko, ponieważ dużo czasu przeznaczali na polowania. O świcie urządzili małe ogniska pośród kępy akacji i upiekli mięso. Potem zasnęli w cieniu drzew, wystawiwszy najpierw wartę.

Trzeciego dnia dotarli do łańcucha gór. Ghlikha nie trzeba było nawet straszyć torturami. Ochoczo pospieszył z informacją o przejściu. Maszerowali więc przez dwa dni wzdłuż łańcucha, aż znaleźli przełęcz. Przedostanie się przez góry zajęło im dwa dni. Już po zmierzchu obeszli ramię góry i nagle w oddali ujrzeli błyszczące morze.

Wkrótce zaszło słońce i niebo zrobiło się czarne. Ulisses, nie wiedząc dlaczego, czuł się szczęśliwy. Może dlatego, że góra zasłaniała widok Drzewa, a noc kryła wszystko, co przypominało mu, że nie jest w swoim czasie i na Ziemi, na której się urodził. Co prawda, gwiazdy tworzyły nieznane konstelacje, ale mógł to zignorować. Ale co z Księżycem: był za duży i zbyt niebieskozielony, w białe plamy.

Wstali skoro świt, zjedli śniadanie i ruszyli zboczem góry na dół. O zmroku dotarli do podstawy, a następnego dnia rano skierowali się poprzez dość płaski teren w stronę morza. Początkowo okolica była mocno zalesiona, ale nazajutrz dotarli do otwartej przestrzeni z polami, domami, szopami i zagrodami.

Domy, kwadratowe budynki, czasami dwukondygnacyjne, zbudowane były w większości z kłód, ale także z granitowych bloków, topornie ociosanych i spojonych zaprawą. Szopy były częściowo z kamienia. Ulisses przeszukał kilka i odkrył, że prawie wszystkie są zajęte wyłącznie przez dzikie zwierzęta. Znalazł tam mnóstwo drewnianych i kamiennych figurek i trochę malowideł. Wszystko prymitywne, dość jednak było postaci ludzkich, aby przekonać się, że twórcami byli ludzie.

Powiedział „byli”, ponieważ nie dostrzegł ani śladu człowieka, żywego czy umarłego.

Kilka razy natknął się na spalony dom lub szopę. Nie potrafił powiedzieć, czy to z powodu wojny czy katastrofy.

Nigdzie nie widział nawet ludzkiej kości.

– Co się tutaj stało? – zwrócił się do Ghlikha.

Ghlikh spojrzał na niego z dołu. Wzruszył kościstymi ramionami i rozpostarł skrzydła na tyle, na ile mu pozwalały pęta.

– Nie wiem, panie. Ostatni raz, kiedy byłem tu sześć lat temu, żyli tutaj Vroomawie. Poza sporadycznymi najezdami Vignoomów i Neshgajów, prowadzili spokojne życie. Może dowiemy się, co tutaj się stało, kiedy dotrzemy do głównej wioski. Hmm, gdyby wolno mi było polecieć naprzód, szybko bym się dowiedział...

Przekrzywił głowę i uśmiechnął się boleśnie. Nie mógł, oczywiście, traktować poważnie swojej propozycji, a Ulisses nawet tego nie skomentował. Przechodzili akurat obok pierwszego cmentarza i Ulisses zatrzymał kolumnę. Wszedł na cmentarz i przyglądał się nagrobkom. Były to grube słupy, wycięte z jakiegoś czerwonego, twardego drzewa, a na nich zatknięto czaszki różnych ptaków i zwierząt. Żadnych innych znaków identyfikacyjnych ani nazwisk na grobach nie było, a Ghlikh i Khyuks nie wiedzieli, co czaszki mają oznaczać.

Kolumna podjęła marsz wąską wiejską drogą. Gospodarstw zaczęło przybywać, ale wszystkie były wyludnione.

– Sądząc ze stanu rozpadu budynków i wybujających chwastów dookoła, powiedziałbym, że opuszczono je około roku temu – stwierdził Ulisses.

Ghlikh powiedział mu, że Vroomawie byli jedynymi ludzkimi istotami o jakich wiedział, z wyjątkiem tych, oczywiście, którzy byli niewolnikami Neshgajów. Właściwie to Vroomawie mogli się wywodzić od zbiegłych niewolników Neshgajów. Z drugiej strony, to Neshgajowie mogli pojmać swych niewolników wśród Vroomawów. Plemię żyło na obszarze stu mil kwadratowych, a jego liczba wynosiła około czterdziestu pięciu tysięcy. Były trzy główne wsie, każda z pięcioma tysiącami mieszkańców, a reszta żyła na farmach lub polowała. Handlowali trochę z Dhulhulikhami i z Pauzaydurami. Ci ostatni, według Ghlikha, żyli w morzu, w morzu, nie nad morzem. Jeżeli wierzyć Ghlikhowi, są to swego rodzaju morświny-centaury.

Ulisses dopytywał się o historię ludzi, ale Ghlikh zapewnił go o swojej niewiedzy na ten temat.

Wie mniej o tym świecie, niż wtedy, kiedy otworzył oczy w płonącym gmachu Wufów, myślał Ulisses. Żyło tutaj wiele rodzajów myślących istot, których istnienia nie potrafiła wytłumaczyć teoria ewolucji, a teraz ci ludzie, którzy nagle i tajemniczo zniknęli. Przez tak wiele dni odczuwał dreszcze na myśl ujrzenia ludzkiej twarzy, usłyszenia głosu czy dotknięcia skóry. A oni zniknęli.

Piaszczysta droga wiała się wśród pól, aż w końcu zawiodła ich do otoczonej palisadą wsi nad brzegiem morza. Była tam przystań z najróżniejszymi typami statków, z których większość, od wydrażonych czółen do jednomasztowych łodzi wikingów, leżała rozbita na brzegu. Najwidoczniej sztorm zerwał je z kotwicy i rzucił na plażę.

Wieś wyglądała, jakby wszyscy zdecydowali się wstać od południowego posiłku i wyjść. Czwartą część domów strawił ogień, ale to można było przypisać nieuwadze przy paleniskach.

Tylko jedna rzecz mąciła obraz nie przymuszonego opuszczenia osady przez całą ludność, był to wysoki, drewniany pał, na środku głównego placu. Jego szczyt wieńczyła rzeźbiona w drewnie głowa. Bezwłosa, z ogromnymi – niczym wachlarze – nieludzkimi uszami, dochodził do tego długi wężowaty nos i otwarte usta. z których wystawały kły słonia, długie na cztery cale. Głowę pomalowano na szaro.

– Neshgaje! – wykrzyknął Ghlikh. – To jest głowa Neshgajów! Zostawiają ją wszędzie, jako znak podboju.

– Skoro zdobyli ten kraj przemocą, to gdzie są oznaki siły? – spytał Ulisses. – Gdzie są szkielety?

– Neshgaje oczywiście posprzątali po sobie – odparł nietoperz – to bardzo czysty naród. Lubią porządek i czystość.

Ulisses rozejrzał się za dowodem masowego grzebania i znalazł kilka dużych grobów. Rozkopał jeden i ujrzał stos około stu szkieletów. Wszystkie były ludzkie.

– Neshgaje zabierają swoich zmarłych do kraju – wyjaśnił Ghlikh. – Wszystkich grzebią w jednym miejscu, bardzo uświęconym.

– Jak długo żyli tu Vroomawie? Tyle na pewno o nich wiesz?

– Och, jakieś dwadzieścia pokoleń, zdaje się – odpowiedział, krzywiąc twarz.

– To by wynosiło około czterysta lat – przeliczył Ulisses.

Dlaczego nie przebudził się z kamienia sto lat wcześniej, myślał. Wtedy znalazłby swój własny gatunek, osiedliłby się wśród niego i miał dzieci. Z jego znajomością techniki ci ludzie nie ulegliby Neshgajom. Prawdopodobnie stało by się na odwrót.

Oczywiście już teraz by nie żył, tylko leżał pod sterczącym palem, z czaszką jakiegoś zwierzęcia. **TU LEŻY ULISSES ŚPIEWAJĄCY NIEDŹWIEDŹ A.D. 10 000.**

Skoro grób ma być jego nieuniknionym końcem, to po co czymkolwiek się w ogóle zajmować? Dlaczego nie wrócić do wioski Wufów i nie osiąść wśród ludu, który go czci? A partnerka, której tak bardzo pragnął?

Po godzinie otrząsnął się z czarnych myśli. Sens życia polega na nie wierzeniu w swoją śmierć, postępowaniu tak, jak gdyby życie miało trwać wiecznie. Natomiast życie musi traktować małe sprawy jako wielkie. Jak na ironię, jedynym sposobem pozostania przy zdrowych zmysłach było ignorowanie tego obłądnego świata i zachowywanie się tak, jakby był zupełnie zwyczajny.

Zbadał domy i świątynie, po czym zszedł na plażę. Na kotwicy unosił się statek, nie za bardzo zniszczony. Był nieco sponiewierany i należało wymienić kilka desek, ale można to było załatwić przy użyciu materiałów z magazynów w dokach. Wyjaśnił swoim ludziom, co chce, aby było zrobione. Kiwali głowami, jakby zrozumieli, ale wyglądali na wątpiących, może przestraszonych.

Przyszło mu do głowy, że nie mają pojęcia o żeglowaniu. Rzeczywiście, dla wszystkich z wyjątkiem jego i ludzi-nietoperzy był to pierwszy kontakt z morzem.

– Na początku żeglowanie wyda się wam trochę dziwne i może będziecie się bać – powiedział – ale nauczycie się. Spodoba wam się nawet, kiedy już dowiecie się, co wolno na morzu, a co nie.

Nadal wyglądali na niepewnych, lecz pospieszyli wykonać jego rozkazy. Przejrzał dostępne maszty i żagle. Wszystkie łodzie posiadały kwadratowy takielunek. Najwidoczniej Vroomawie nie znali ożaglowania sztakslowego. To znaczy, że nie wiedzieli nic o halsowaniu czy żeglowaniu ostro pod wiatr. Tego nie rozumiał. To prawda, że człowiek wypłynął na morze na wiele tysięcy lat, zanim wymyślił żagle, by móc łatwiej pływać, ale skoro już raz wymyślono sztaksel, to powinien pozostać w ludzkiej pamięci. A jednak tak się nie stało, co znaczyło, że nastąpiła długotrwała przerwa w ciągu ludzkiej wiedzy.

Wybrał duży dom mieszkalny i wprowadził do niego Awinę i wodzów, reszcie kazał zamieszkać w trzech oddzielnych domach. Straże ustawiono przy głównej bramie i nakazano bić w wielkie bębny, gdyby zobaczyli coś podejrzanego.

Trzy tygodnie później statek był gotów. Zepchnięto go z suchego doku i Ulisses zabrał całą drużynę w dziewiczy rejs. Poinstruowani wcześniej żeglarze, próbowali teraz wprowadzić w czyn swoją mglistą wiedzę. Kilkakrotnie omal nie wyrócili łodzi dnem do góry, ale po tygodniu upartej nauki byli gotowi do długiej podróży wzdłuż wybrzeża.

Ulisses obok skonstruowania i zainstalowania ożaglowania sztakslowego, zrobił i założył także ster. Vroomawie wykorzystywali do sterowania duże wiosła lub żerdzie.

Łódź ochrzcił imieniem „NOWA NADZIEJA” i pewnego pogodnego poranka wyruszyli do krainy Neshgajów.

Wybrzeże było płaskie, z wieloma dobrymi plażami i nielicznymi klifami gdzieniegdzie. Płytką wodą przy brzegu już dwie mile w głąb morza stawała się wolna od mielizn i dużych skał. Drzewa, ogromne dęby, jawory, jodły, sosny i kilka nie znanych mu gatunków schodziły aż do wody. Wiele było zwierząt: saren, antylop, wielkich koni, o długich szyjach, które nazwał żyrafokońmi, kiedy myślał po angielsku (co rzadko mu się zdarzało), bizonów, dużych zwierząt, podobnych do wilków, fok i morświnów.

Zapytał, dlaczego nie ma tutaj innych myślących oprócz Neshgajów i Vroomawów.

– Mogę się tylko domyślać – odparł mały, skrzydlaty człowiek. – Zdaje się, że wszystkie myślące ludy z wybrzeża wybrały życie z Drzewem.

Ulisses zauważył to „z”. Dlaczego nie „na”. Ghlikh rozgadał się, jakby to było zaproszenie.

– Życie z Drzewem jest łatwiejsze – ciągnął Ghlikh. – Tam można się ukryć przed wrogami. Żywności jest pod dostatkiem, no i jest łatwo osiągalna.

– A snoligostery i hiposzczury pożerają nieuważnych rybaków – dodał Ulisses. – Skoro Drzewo obfituje w dziką zwierzynę, mnoży się tam także od jej dzikich pożeraczy, którzy nie czują awersji do zjadania ludzi. Jeżeli plemię łatwo może się ukryć, to i można je łatwo podejść. Ta bujna roślinność

ma wady i zalety.

Ghlikh wzruszył ramionami i uśmiechnął się z wyższością.

– Prawda, ale dobrze, że niektórzy giną od czasu do czasu. W innym przypadku plemiona rozrosłyby się do takich rozmiarów, że zabrakło by miejsca i żywności. Jedni cierpią dla dobra większości. Co więcej, między ludźmi Drzewa nie ma wojen. Nie tak jak wy, ludzie z nizin, to rozumiecie. Drzewo liczy swoje plemiona i kiedy jedno ma zbyt wiele osobników, wówczas powiadamia jego sąsiadów, że może z nim wojować. Drzewo informuje także plemię, które ma zostać zaatakowane. Wtedy młodzi wojownicy obu plemion spotykają się i walczą. Czasami, tylko w krótkich okresach, dozwolone są ataki na osady. Pozwala się zabijać kobiety i dzieci, ale to nie zdarza się zbyt często. A jeżeli już, to przyjmowane jest z zadowoleniem. Te małe wojny dają życiu podniecie i... wartość.

– Zastanawia mnie, dlaczego Vroomawie i Neshgaje nie poszli żyć z Drzewem? – myślał Ulisses.

– Neshgaje uważają siebie za lepszych od Drzewa! – Ghlikh rozżółcił się. – Te nieruchawe, tłustobrzuche długie nosy były kiedyś dzikie, tak jak Wuggrudzi i Khrauszmiddumowie, ale odkopali miasto Shabawzing i znaleźli tam wiele rzeczy, które umożliwiły im przejście z dziczy w cywilizację w ciągu trzech pokoleń. Poza tym, są tak wielcy i niezdarni, że nie potrafią żyć wygodnie na Drzewie, ani wspinać się wysoko.

– A Vroomawie?

– Żyli z Drzewem, niegdyś, ale odeszli, mimo rozkazów Drzewa, aby pozostali na swoim miejscu. To są bardzo uparci, kłopotliwi i nieznośni ludzie, o czym się przekonasz, jeżeli się na nich natkniesz. Przenieśli się na wybrzeże i tam zbudowali swoje domy. Niektórzy mówią, że wpięrow sprzymierzyli się z Neshgajami, którzy ich zdradziecko wzięli w niewolę. A potem część Vroomawów uciekła i przyszła tutaj, zapoczątkować swój lud. Planowali wymaszerować pewnego dnia przeciw swym dawnym panom, ale jak widać, Neshgaje uderzyli pierwsi.

Ghlikh wydawał się być bardzo zadowolony z losu ludzi.

Dodał:

– Następny ruch należy do Neshgajów, ale ich śmierć przyjdzie z Drzewa; ono nigdy nie zapomina, ani nie wybacza. Neshgaje są teraz nękani atakami Fishnoomów, braci Wuggrudów i Glassimów, braci Khrauszmiddumów. Drzewo wysłało ich ze swego łona, by sponiewierać Neshgajów i ostatecznie ich wytępić.

Po czym dodał jeszcze bardziej zajadle:

– I ten sam los spotka ludzi z północnych nizin, jeżeli nie przyjdą mieszkać z Drzewem. Ostatecznie Drzewo zarośnie równiny i cały ląd, z wyjątkiem wąskiego pasa na wybrzeżu. Drzewo nie ścierpi żadnych istot myślących na wybrzeżu. Zabije je w taki czy inny sposób.

– Drzewo? – spytał Ulisses. – Czy Dhulhulicy, którzy używają Drzewa, by kierować dowolnie innymi? Podają się za sługusów Drzewa, a są w rzeczywistości jego panami.

– Co? – Ghlikh potrząsnął głową. – Ty naprawdę w to wierzysz? Musisz być szalony!

Jednak z trudem krył uśmiech i Ulisses zastanawiał się, czy przypadkiem nie trafił w sedno.

Jeżeli jego teoria jest czymś więcej niż samą teorią, to wiele się wyjaśniło. Jednak sporo rzeczy nadal pozostało niezrozumiałych. Jak powstało Drzewo? Nie mógł uwierzyć, że naturalnie przeobraziło się z roślin jego czasów.

Do tego dochodziła tajemnica powstania nie spokrewnionych typów istot myślących.

Łódź żeglowała wzdłuż wybrzeża, a kiedy niebo było zachmurzone i brakowało światła dla bezpiecznej nawigacji, zarzucali kotwicę przy brzegu. Gdy świecił księżyc, płynęli przez całą noc.

Od czasu do czasu Ghlikh i Khyuks zdradzali pewne informacje o Neshgajach. Zazwyczaj siedzieli skuleni, okryci kocami na platformie przed masztem, skrzydłami zamiatali podłogę, a głowy mieli skierowane do siebie. Mimo że nienawidzili się nawzajem, rozmawiali. Byli zbyt samotni i przestraszeni, żeby nie szukać pociechy w rodzinnej mowie.

Ulisses nie wiedział, co z nimi zrobić. Dali już mu większość informacji, jakich potrzebował. Z pewnością mógłby się dowiedzieć więcej, gdyby tylko znał właściwe pytania. Martwił się, że uciekną kiedyś i sprowadzą całą hordę swoich pobratymców. Każdy mijający dzień przybliżał możliwość ich uciezki.

Nie chciał ich zabijać, chociaż było to jedyne logiczne rozwiązanie. Jeszcze nie zdradzili położenia ich głównego miasta. Tylko z powietrza, z góry, jak twierdzili, mogli odnaleźć drogę powrotną do domu.

To uzasadnienie przekonało go. Może kiedyś będą w stanie wskazać mu miejsce ich bazy. Nawet gdyby musieli to zrobić z góry. Oczywiście tutaj nikt nie słyszał o balonach albo sterowcach, więc ludzie-nietoperze cieszyli się, że ich sekret jest bezpieczny.

Szóstego dnia Ulisses ujrzał po raz pierwszy człowieka. Skierował statek na pełne morze, gdyż stanęła im na drodze ogromna skała. Gdy statek zbliżył się do skały na dwieście jardów, zobaczył dziwne zwierzęta na półce skalnej, kilka stóp ponad powierzchnią wody. Podpłynął do skały, jak tylko to było możliwe najbliżej. Mierniczy wyśpiewywał głębokości, a on i załoga wpatrywali się w cztery stwory, wygrzewające się na występie. Wyglądem przypominali raczej legendarnych trytonów niż morświno-centaurów, opisanych przez Ghlikha. Od piersi w dół wyglądali jak ryba, a raczej morświn, gdyż płetwy mieli poziome, a nie pionowe. Skóra dolnej części ciała posiadała taki sam połysk brązu jak górna. Genitalia, zarówno samców, jak i samic kryły fałdy skórne. Ciało od piersi w górę było całkiem ludzkie, a palce, w przeciwieństwie do tego, czego się spodziewał, nie były zrosnięte błoną. Nosy mieli cienkie i Ghlikh twierdził, że przy pomocy pracy mięśni mogą nozdrza mocno zamknąć; gałki oczne zasłaniali sztywną, przezroczystą powłoką, która wysuwała się spod powiek. Włosy na głowie, bardzo krótkie i gładkie, wyglądały z daleka bardziej jak focze futro. Dwóch miało włosy czarne, jeden popielatoblond, a inny kasztanowe.

Ulisses pomachał do nich z uśmiechem. Na mostek wszedł Ghlikh.

– Bardzo dobrze, dla ludzi morza trzeba być życzliwym, jeżeli chcą, to mogą z łodzi wyrwać dno.

– Z kim utrzymują kontakt?

– Czasami handlują z Neshgajami lub ludźmi. Przynoszą dziwne morskie kamienie, ryby albo różne skarby z zatopionych statków i wymieniają to na wino lub piwo.

Ulisses zastanawiał się, czy mogliby zostać jego sprzymierzeńcami w wojnie z Neshgajami. To znaczy, gdyby to było konieczne. Ghlikh nie sądził, że stanęliby po czyjejś stronie, chyba, że ktoś obraziłby ich śmiertelnie. Lecz nawet butni Neshgaje traktowali ich z szacunkiem i obdarowywali czasami prezentami. Neshgaje posiadali ogromną flotę i nie chcieliby zobaczyć jej na dnie morza.

Skała i przedziwni mieszkańcy zostali w tyle. Odezwał się Ghlikh.

– Jeszcze jeden dzień w tym tempie i znajdziecie się na wodach, którymi władają Neshgaje. Co wtedy?

– Zobaczmy – odparł Ulisses. – Biegle mówisz ich językiem?

– Bardzo biegle. Co więcej, wielu z nich mówi Ayratą.

– Mam nadzieję, że za bardzo się nie zdziwią, kiedy zobaczą mnie i moją załogę. Nie chciałbym, aby zaatakowali z przestachu.

Następnego dnia, godzinę po wschodzie słońca minęli olbrzymi znak, wykuty w skale. Było to

wielkie X we wnętrzu złamanego koła; symbol Nesh, eponimicznego boga, odziedziczonego po przodkach Neshgajów, mówił Ghlikh. Ta rzeźba, widziana z morza na wiele mil, oznacza zachodnie granice ich kraju.

– Wkrótce ujrzycie dogodną przystań – powiedział Ghlikh. – Miasto i koszary. Kilka statków kupieckich i parę szybkich okrętów wojennych.

– Statki kupieckie? – spytał Ulisses, ignorując groźbę w głosie nietoperza. – Z kim oni handlują?

– Głównie między sobą, ale ich największe statki wypływają daleko, aż na północ i handlują z ludami na wybrzeżu.

Ulisses czuł podniecenie nie tyle z powodu niebezpiecznego spotkania nieznanego, ale nowego pomysłu. Może Neshgaje nie muszą być jego wrogami, może będą przyjaźni i pomogą mu. Z pewnością mają wspólny interes w pokonaniu Drzewa, czy tego, kto się za nim kryje. I może będą pracować z ludźmi, a nie zmuszać ich do pracy. Kto wie, jakimi kłamstwami nakarmili go ludzie-nietoperze?

Morze wdzierало się w ląd. Po lewej stronie zobaczył falochron, zbudowany z wielkich, kamiennych bloków, ciągnący się przez wiele mil. To nie był zwykły falochron, tylko wysoki mur, chroniący miasto i port przed wrogimi statkami. Na szczycie klifowego zbocza widział duże, szare budynki, a po chwili, kiedy minął pierwsze z wejść, ujrzął jeszcze mnóstwo statków i miasto położone na zboczu wzgórza.

Przeptywając obok wieży, wzniesionej na falochronie, za wąskimi szparkami okien dojrzeli jakieś postacie. Nagle coś zaryczało, odwrócił się i zobaczył gigantyczną sylwetkę na szczycie wieży. Osobnik trzymał przy ustach przeogromną trąbę. Ponad instrumentem wznosiła się jeszcze jedna trąba – słonia. Wydawało się, że to właśnie z niej, a nie z instrumentu, dochodzi ryk.

Ulisses pomyślał, że lepiej by było, gdyby to on wyszedł na spotkanie. Z pewnością nie uwierzą, że taki mały statek wpływa do portu, aby zaatakować. Skierował go w szerokie bramy falochronu, między dwie wieże. Pomachał do osób na wieży i ze zdziwieniem zobaczył, że są to ludzie. Mieli na głowach skórzane hełmy i trzymali tarcze, które – jak przypuszczał – były z drewna. Potrząsali włóczniami o kamiennych grotach albo mierzyli do niego z łuków. Za nimi górowały szaroskóre postacie Neshgajów. Przypuszczalnie giganci pełnili funkcje oficerów.

Z wież nie dano ognia. Musieli myśleć tak jak on przedtem, że jedna mała łódź nie może wpłynąć z wrogimi zamiarami.

W chwilę później, nie był już tak pewny siebie. Długa, płaska galera poruszała się szybko w jego kierunku. Wypełniona była wieloma żołnierzami, z których dwie trzecie stanowili ludzie. Kierowano nią przy użyciu steru, żagli nie miały. Nie było także wioślarzy.

Otworzył ze zdziwienia oczy, poczuł mdłości, jakby właśnie wsadził głowę pod gilotynę. Nie słyszał o niczym, ani niczego nie widział, co wskazywałoby na to, że Neshgaje mają tak rozwiniętą technologię.

Kiedy galera zatoczyła koło i zbliżyła się, by ich eskortować, nie dochodził żaden dźwięk, z wyjątkiem syku wody, ciętej ostrym dziobem i plusku fal po bokach kadłuba. Jeżeli łódź miała w środku silnik spalinowy, miała także wspaniałe urządzenia redukcji szumów.

– Co ją porusza? – spytał Ghlikha.

– Nie wiem, panie.

Jego nacisk na „panie” oznaczał, że według niego, dni boskości Ulissesa dobiegają końca. Ale nie wydawał się z tego szczególnie zadowolony. Może ludziom-nietoperzom także groziło uwięzienie?

Wpatrywał się w okręt. Jak pogodzić tak wspaniałe napęd z prymitywną bronią załogi?

Wzruszył ramionami – dowie się we właściwym czasie. Jeżeli nie, to ma ważniejsze sprawy na głowie. Cierpliwość zawsze była jego zaletą i wzmocnił ją jeszcze od chwili przebudzenia. Może ten, niewyobrażalnie długi okres „kamienności”, przysposobił jego psychikę do bierności, jaką posiada stała materia.

Łódź opuściła żagiel, a wiosłarze wiosłowali do tyłu, by zwolnić tempo, podnieśli wiosła, gdy zaczęli zbliżać się do doku, gdzie kierował ich dowódca galery. Ludzie, odziani jedynie w kilty, przyjęli liny, rzucone przez futrzaną załogę i pociągnęli łódź pełną worków, wyglądających niczym z gumy. Galera wślizgnęła się chwilę później, przełączwszy na tylny bieg niewidzialne i bezgłośnie silniki i zatrzymała się o cal przed poprzedzającą łodzią, nie roztrzaskując jej.

Wtedy Ulisses przyjrzał się Neshgajom z bliska. Mieli dziesięć lub więcej stóp wysokości, krótkie, ciężkie nogi-kolumny i wielkie płaskie stopy. Tułowia były długie – zdaje się, że mieli wiele kłopotów z kręgosłupem – a ramiona mocno umięśnione. Każda dłoń posiadała cztery palce.

Głowy przypominały bardzo tę, którą widział wyrzeźbioną w wiosce Vroomawów. Uszy mieli ogromne, lecz znacznie mniejsze w proporcjach do głowy niż u słonia. Na czołach wyrastały guzy, w okolicy skroni. Nie mieli brwi, lecz niezmiernie długie rzęsy. Oczy – brązowe, zielone lub niebieskie. Chuda pomarszczona trąba, wisząc, sięgała im do piersi. Usta mieli szerokie, o wywróconych wargach – właściwie negroidalne. Pod kątem prostym do powierzchni twarzy wystawały małe kły. Szczęki wyposażone były tylko w cztery trzonowce, i to w znacznym stopniu wpływało na ich wymowę. Ayrata -język handlowy w ich wykonaniu miał zniekształcone brzmienie i był tak niewyraźny, że stał się prawie nowym językiem, ale kiedy ucho wsłuchiwało się, stawał się zrozumiały. Jednak ludzie mieli kłopoty z imitowaniem zgłosek Neshgajów, więc ich Ayrata stanowiła kompromis między mową innych, poprawnie uzębionych ludzi, a mową Neshgajów. Na szczęście Neshgajowie potrafili zrozumieć tę szczególną Ayratę swych niewolników.

Kolor skóry różnicował się od bardzo jasnoszarego, do brązowoszarego.

Na głowach nosili czubate skórzane hełmy, z czterema klapami, podobne do myśliwskiej czapki Sherlocka Holmesa, pomyślał Ulisses. Na szyjach zawieszali duże paciorki i różnego rodzaju kamienie na rzemieniach. Ciężkie, kościane napierśniki, pomalowane na czerwono, czarno i zielono, zakrywały ich stosunkowo wąską klatkę piersiową. Jedynym ubiorem powszechnym wśród ludzi jak i Neshgajów był kilt. Nogi oficerów opasywały zielone owijacze, a ich ogromne stopy chroniły sandały. Niektórzy nosili płaszcze z ciężkiego materiału, z wielkimi, białymi piórami, wystającymi ze szwów.

Dla Ulissesa stworzenia te łączyły w sobie odrażającą wrogość z emanacją siły i mądrości. Wynikało to z jego własnego stosunku do słoni. Wówczas skojarzył, że Neshgaje mogą być potomkami trąbowców, ale nie są słoniami, nie bardziej, niż on małpą. Chociaż ich gigantyczne rozmiary i niewątpliwie ogromna siła stanowiły zalety, także kryły pewne wady. Wszystko ma swoje minusy.

Osobno, na przedzie doku, stał wspaniały Neshgaj. To on przemówił do Ulissesa, podczas gdy inni słuchali z respektem. Zatrąbił przenikliwie swoim długim nosem. Był to salut, jak się Ulisses dowiedział, a potem wygłosił krótką przemowę. Mimo iż Ulisses wiedział, że tamten posługuje się Ayratą, mało mógł zrozumieć z tych dziwnych dźwięków. Poprosił Ghlikha o tłumaczenie, ostrzegając go, aby nie kłamał.

– A co mi zrobisz, panie? – Ghlikh łypnął okiem z nieukrywaną nienawiścią.

– Mogę cię zabić, tu i teraz – odpowiedział Ulisses. – Jeszcze się nie ciesz.

Ghlikh parsknął i powtórzył bardziej zrozumiałą Ayratą, co ich przedstawiciel, Gooshgoozh powiedział.

Chodziło o to, aby Ulisses poddał się wraz ze swoją żoną. Zostanie odprowadzony do miasta, do samego głównego budynku administracji, domu władcy i jego naczelnego adiutanta, Shegnifa, tam zostanie przesłuchany. Gdyby Ulisses nie poddał się od razu, Gooshgoozh rozkaże zaatakować ich.

– Czy to jest stolica? – Ulisses wskazał ręką miasto na wzgórzu. Było to największe siedlisko, jakie dotąd widział, lecz nawet tutaj nie mogło żyć więcej niż trzydzieści tysięcy Neshgajów i ludzi.

– Nie – zaprzeczył Ghlikh. – Rruuzhghish leży wiele mil na wschód. To tam mieszka Ręka Nеща i jego adiutant Shegnif.

Ghlikh, dla określenia pozycji Shegnifa, użył słowa, które można przetłumaczyć jako Wielki Wezyr.

Gooshgoozh przemówił ponownie i Ghlikh przetłumaczył, że muszą opuścić statek i pomaszerować do koszar. Potem przetransportuje się ich do stolicy. Nie zajęli się bronią, jaką wyprawa posiadała.

Ulisses zszedł pierwszy i stanął obok górującego Gooshgoozha. Olbrzym pachniał raczej jak spocony koń, a nie słoń. Ta postać Ulissesowi się spodobała. Neshgajowi jednak burczało w brzuchu; z tym zjawiskiem Ulisses miał się spotkać nieraz w tym kraju. Co więcej, Neshgaj zaczął przeżuwać gruby baton sprasowanych warzyw, i żuł go nadal, wydając żołnierzom rozkazy. Neshgaje przeznaczali dużo czasu na jedzenie, bo tego domagały się ich wielkie żołądki, lecz nie tak wiele jak słonie.

Uformowawszy się w końcu, kawalkada ruszyła ulicą, która biegła pod górę. Żołnierze Neshgajów, czyli ludzie-niewolnicy i nie-ludzie oficerowie, podążali za linią przybyszów. Wulka niósł na plecach Khyuksa, a Ulisses, dźwigający Ghlikha, szedł za ogromnym Gooshgoozhem. Ten, kroczył bardzo dostojnie i powoli pod górę. Zanim dotarli na szczyt, cały dyszał, a z ust ciekła mu ślina. Ulisses przypomniał sobie uwagę Ghlikha, że Neshgaje są podatni na choroby serca, płuc i kręgosłupa oraz na dolegliwości nóg i stóp. Tak płacili za połączenie wielkich rozmiarów z postawą stojącą.

Ulica wyłożona była cegłami, spojonymi zaprawą i szeroka na pięćdziesiąt stóp. Kwadratowe domy, z potrójnymi kopułami, pokrywały liczne figury i geometryczne wzory, pomalowano je na modłę, zwaną w czasach Ulissesa „psychodeliczną”. Na ulicy nie widać było ani obywateli, ani niewolników, ponieważ wcześniej usunęli ich żołnierze. Ale z drzwi i okien spoglądało na nich wiele szarych i opalonych twarzy. Według Ghlikha, Neshgaje nigdy przedtem nie widzieli takich kocich, pokrytych futrem istot.

Gooshgoozh pozostawił ich przed fortem, który, niczym zamek, zbudowano z gigantycznych bloków granitu. Minęła godzina, potem następna. Zupełnie jak w wojsku, pomyślał Ulisses. Spieszyć się i czekać, spieszyć się i czekać. Dziesięć milionów lat stworzyło nowy gatunek istot myślących, lecz w procedurze wojskowej nic się nie zmieniło.

Awina przestępowała z nogi na nogę, aż w końcu podeszła do Ulissesa i oparła się o niego.

– Boję się, mój panie – wyszeptała. – Dobrowolnie oddaliśmy się w ręce długonosych ludzi, i cokolwiek zdecydują zrobić z nami, to zrobią. Jest nas zbyt mało, by walczyć.

Ulisses poklepał ją po plecach i pogłaskał. Nawet w chwilach zdenerwowania miękkość jej futra sprawiała mu przyjemność.

– Nie martw się, Neshgaje to chyba inteligentni ludzie. Zrozumieją, że mam im sporo do zaoferowania i nie pozbędą się nas jak sfory dzikich psów.

Tym właśnie się początkowo kierował, wkraczając tak śmiało na terytorium Neshgajów. Lecz teraz ta galera go zadziwiła. Co się stanie, jeżeli nie będą chcieli mojej wiedzy? Wprawdzie nie widział śladu pojazdów lądowych z silnikami i to wydawało się dziwne. Być może silniki

wykorzystywane w galerach potrzebowały na łądzie więcej miejsca i paliwa. W takim razie pokaże im jak zbudować silnik parowy.

Nagle bramy fortu otworzyły się i wyjechał sznur samochodów. Przypominały mu wczesne samochody z początku dwudziestego wieku, trochę zmodyfikowane karety i wagony. Zrobione były z drewna, z wyjątkiem kół. Kola wykonano, zdaje się, ze szkła lub jakiejś masy plastycznej, przypominającej szkło. Opony wyglądały na białą gumę, a wyprodukowano je (jak się później dowiedział) ze specjalnie spreparowanego soku, nie znanego mu drzewa.

Pojazdy musiały być duże, aby pomieścić gigantycznych Neshgajów. Kierownice także były ogromne, jak stery statków. Aby je obracać, potrzebne były wielkie ręce i siła i dlatego tylko Neshgaje zostawali kierowcami, nawet ciężarówek. Ghlikh wyjaśnił, że ludziom nie powierzano samochodów, ani innych urządzeń wysokiej technologii, oprócz nadajników.

Spod maski nie dochodził żaden dźwięk. Ulisses położył dłoń na drewnianej pokrywie i nie poczuł w ogóle drgań. Zapytał Ghlikha, co porusza te samochody, na co nietoperz wzruszył ramionami.

– Nie wiem – odparł. – Neshgaje dawali mi trochę wolności jako handlarzowi rzeczy i wiadomości, jednak nie opisywali swoich urządzeń. I nawet nie pozwalali się do nich zbliżyć, chyba że pod nadzorem.

To musiało być dla Ghlikha frustrujące, pomyślał Ulisses, gdyż jego głównym zadaniem było niewątpliwie zdobycie sekretów technologii Neshgajów.

Ich kultura łączyła wiele przeciwieństw. Obok prymitywnych przedmiotów znajdował wiele skomplikowanych urządzeń. Neshgajowie znali łuk i strzały, włócznie, zakończone masą plastyczną, ale nie mieli prochu. A może produkowali proch, tylko nie robili broni, gdyż brakowało im metalu, czy też plastyku, który by zastąpił metal.

Gooshgoozh siedział na tylnym siedzeniu pierwszego pojazdu. Jadł warzywa z ogromnego talerza i pił mleko z dzbana; przerwał, by zarządzić posiłek dla załogi i przybyszów. Jedzenie składało się głównie z warzyw, ale było także trochę końskiego mięsa. Jak odkrył, koni również używano do ciągnięcia wagonów i wozów.

Po posiłku, ludzi Ulissesa zapędzono do ciężarówek, a żołnierze wtoczyli się za nimi. Ulisses, wodzowie, Awina i dwójka ludzi--nietoperzy weszli do następnego pojazdu, za samochodem Gooshgoozh-a. Jego wóz wyjechał na drogę, wzmocnioną kawałkami cegły, osadzonymi w masie plastycznej, aby wytrzymywała natężony ruch. Ulisses obserwował kierowcę, który regulował prędkość, posługując się jedynym pedałem, prawą stopą. Tablicę rozdzielczą pokrywały liczniki i wskaźniki, z różnymi symbolami wokół tarcz. Ulisses bacznie się im przyglądał, gdyż było to pierwsze pismo, jakie ujrzał. Rozpoznawał znajome symbole: odwrócone 4, H na boku, O, T, przekreślone Z. Mogli je jednak wymyśleć, niezależnie od znanych mu liter, gdyż były w istocie proste.

Pojazdy posiadały przednie szyby, lecz boki były otwarte. Wiatr nie dokuczał, gdyż samochody nigdy nie przekraczały dwudziestu mil na godzinę, a wjeżdżając pod górę zwalniały do dziesięciu. Z silników nie dochodził nawet najcichszy warkot.

Po półtorej godzinie kawalkada zajechała na plac w dużym forcie. Wszyscy przesiedli się do nowych pojazdów. Ulisses nie rozumiał, dlaczego muszą zmieniać samochody, jakby byli kurierami z konnej poczty. Potem przyszło mu do głowy, że to porównanie do koni może więcej wyjaśniać, niż sądził. To chyba nie są silniki ani mechaniczne, ani elektryczne, tylko biologiczne. Czy Neshgaje wymyślili silnik mięśniowy?

Zobaczył, jak niewolnik wlewa przez rurę paliwo do zbiornika z boku maski i to utwierdziło

jego teorię. Ta substancja, to z pewnością nie benzyna, czy coś podobnego. Była gęsta jak syrop i pachniała roślinami. Pokarm dla żywego silnika?

Kawalkada ruszyła ponownie, podążając jak przedtem przez wiejską okolicę. Teren był pagórkowaty i mocno zalesiony, poza zagrodami i wykarczowanymi polami. Rosły na nich jakieś dziwne rośliny, i raz, kiedy zatrzymali się na odpoczynek, podszedł do najbliższej uprawy. Nikt nie próbował go zatrzymać, chociaż w pobliżu stali trzej łucznicy. Rośliny, zielone, miały około siedmiu stóp wysokości, składały się z cienkich łodyg, zakończonych pudełkowatymi wyrostkami, o ciemniejszej zieleni. Przyciągnął jedną, aby przyjrzeć się z bliska. Łodyga zgięła się z łatwością, nie pękając. Otworzył mięsistą puszkę, wepchnąwszy palec w szczelinę na jej wierzchu. Pod warstwą miękkich, zielona-wych liści, znajdowała się chrząstkowa płytką, na której powierzchni krzyżowały się szerokie i ciemne linie. W miejscach ich schodzenia się wyrastały małe, zielone pąki. Próbował sobie wyobrazić, jak wygląda płytką, gdy dojrzewają.

Prawdopodobnie patrzył teraz, pod warunkiem, że nie dał się ponieść wyobraźni, na jeszcze niedojrzałą płytkę układu „elektronicznego”.

Ulisses przyglądał się polom z coraz większym zainteresowaniem i już po mili zobaczył inną uprawę. Z trudem tylko mógł się domyślać pochodzenia tych roślin. Były niskie, przysadkowate i dźwigały okrągłe, owinięte liśćmi puszki. Miały wysokość czterech stóp, szerokość trzech i grubość dwóch. Według jego teorii, to one stanowiły silniki dla tych samochodów, które były pochodzenia roślinnego, a nie zwierzęcego, jednak mogły bazować na roślinach wysokobiałkowych.

Rozważał wnioski swego odkrycia, kiedy mijali kolejne pola różnokolorowych upraw, których pochodzenia nie mógł nawet zgadywać. Przejeżdżali także przez wiele wsi, zabudowanych większymi, lepiej wykonanymi i pomalowanymi domami Neshgajów oraz mniejszymi, gołymi, często nie pomalowanymi ludzkimi domami. Po chwili porzucił teoretyzowanie na temat roślinnej technologii Neshgajów i zaczął rozmyślać o organizacji farm i wsi. Ludzie, zdaje się, przewyższali liczbowo Neshgajów w stosunku sześć do jednego lub, licząc tylko dorosłych – trzech ludzi na jednego Neshgaja. Mimo że wielcy Neshgajowie wydawali się tak silni, jeden słoń nie dałby rady trzem szybkim i wspólnie działającym ludziom, nawet, gdyby były wśród nich kobiety.

Co powstrzymywało ludzi od buntu? Niewolnicza mentalność? Jakaś broń, czyniąca Neshgajów niezwycięzonymi? Czy też ludzie żyli w symbiozie z Neshgajami, korzystnej na tyle, by znosić niewolę?

Przyjrzał się żołnierzom, siedzącym naprzeciw niego. Byli na pół łysi, tak samo jak mężczyźni i kobiety, które widział we wsiach. Dzieci jednak miały głowy w całości pokryte włosami, bardzo mocno skręconymi, prawie splątanymi. Skóra ich była cudownie ciemnobrązowa. Oczy mieli brązowe lub czasami zielonkawobrązowe. Ich przeważnie wąskie twarze przejawiały tendencję do ostrych rysów, orlich nosów, wysokich kości policzkowych i wystającej brody.

Jedyną nieludzką cechą był brak małego palca u stopy, ale to mogła wytłumaczyć ewolucja. W końcu, niektórzy naukowcy i laicy twierdzili, że człowiek straci mały palec i ząb mądrości.

Podróż trwała aż do późnej nocy. Pojazdy zmieniali pięciokrotnie. W końcu zostawili za sobą cały szereg wysokich wzgórz i wjechali na równinę, położoną na klifie, powyżej wybrzeża. Miasto było jeszcze oświetlone pochodniami i elektrycznymi żarówkami lub czymś, co je przypominało. Ulisses pomyślał, że mogą to być żywe organizmy. Przymocowano je do ciężkich, brązowych skrzynek – roślinnych baterii albo komór z paliwem.

Samo miasto otaczał mur i wyglądało to zupełnie jak ilustracja Bagdadu w „Baśniach z tysiąca i jednej nocy”. Kawalkada przejechała przez bramy, które się za nią zamknęły i podążyła krętymi ulicami do centrum. Tam wysiedli i poprowadzono ich do wielkiego budynku, a potem schodami w

górze, do dużego pomieszczenia, gdzie zamknięto za nimi drzwi na klucz. Czekają jednak tu na nich jedzenie, a po posiłku poszli spać.

Awina wspięła się na pryczę ponad Ulisesem, ale gdy obudził się w środku nocy, przytuliła się do niego. Trzęsła się i szlochała cicho. Zaskoczyło go to, ale opanował się i spytał zniżonym głosem, co tutaj robi.

– Miałam straszny sen – mówiła. – Był tak przerażający, że aż się obudziłam. I bałam się zasnąć z powrotem, a nawet zostać sama w łóżku. Więc zesłam, by przyjąć od ciebie siłę i odwagę. Czy zrobiłam źle, mój panie?

Podrapał ją za uszami, gładził i pieścił jej kocie futerko.

– Nie – odpowiedział. Przyzwyczaił się, że koty go dotykają, by przejąć od niego część boskich cech. Był to nieszkodliwy obyczaj.

Rozejrzył się dookoła. Żarówki, umieszczone pękami w pojemnikach na ścianach, nie świeciły już tak samo, jak wtedy, gdy weszli do pokoju. Dawały jednak dość światła, by widział innych obok niego. Wszyscy spali. Nikt nie wiedział, że ona jest u niego w łóżku. Nie chodziło o to, że ktoś się przeciwstawi. Teraz zrozumiał, że posiada moc. Był ich bogiem, małym, ale był.

– Co to za sen? – nadal ją głaskał; przebiegł palcami wzdłuż jej szczęki, aż do okrągłego, mokrego nosa.

Zadrżała.

– Śniło mi się, że weszło dwóch szaroskórych i wyniosło mnie stąd. Nieśli mnie wieloma korytarzami i ciemnymi schodami, aż do głębokiej komnaty pod miastem. Tam przykuli mnie do ściany i zaczęli strasznie torturować. Wbijali we mnie kły i próbowali trąbami oderwać mi nogi, aż w końcu uwolnili mnie, rzucili na podłogę i deptali po mnie tymi wielkimi stopami.

W tym momencie drzwi do pomieszczenia otworzyły się i zobaczyłam ciebie w sąsiednim pokoju. Stałeś tam, obejmując jakąś kobietę. Ona całowała cię, a ty zobaczyłeś mnie i zaśmiałeś się, kiedy błagałam o pomoc. Wtedy drzwi zatrzasnęły się, a Neshgajowie znowu zaczęli mnie deptać, a jeden powiedział: „Dziś w nocy twój pan będzie miał ludzką kochankę”.

– A ja na to: „Wtedy niech umrę”. Ale tak naprawdę to nie chciałam. Nie z dala od ciebie; mój panie.

Ulisses rozważył jej sen. Miał dość własnych snów o niej, by wiedzieć, co podświadomość próbowała mu przekazać, chociaż w świadomości także znał swoje uczucia. Interpretacja jej snu była trudna. Gdyby użyć maksymy Freuda, sny symbolizują życzenia, w takim razie ona chciała, aby posiadał ludzką kobietę. A także sama chciała siebie ukarać. Ale za co? Nie mogła się obwiniać za to, że go pożądała. W kulturze Wufów wiele było rzeczy za które czuli się winni, podobnie jak w innych społeczeństwach, ludzkich i nie-ludzkich.

Kłopot w tym, że freudowskiej maksymy nigdy nie udowodniono, po drugie, podświadomość ludzi wywodzących się od kotów (jeżeli się od nich wywodzili) mogła się różnić od ludzkiej podświadomości.

Jakkolwiek by interpretować jej sen, oczywistym było, że martwią ją inne kobiety. Nie dał jednak jej żadnego powodu, by uważała go za kogoś innego niż boga, a siebie jedynie za jego asystentkę, nawet jeśli ją lubił.

– Lepiej ci teraz? – zapytał. – Jak myślisz, możesz wracać na górę?

Kiwnęła głową.

– W takim razie idź spać do swojego łóżka.

Milczała przez chwilę. Jej ciało stężało pod jego dłonią. Odezwała się spokojnie:

– Bardzo dobrze, panie. Nie miałam zamiaru ciebie obrazić.

– Ależ nie obraziłaś mnie. – Pomyślał, że już nic więcej nie powinien dodać. Mógłby ulec i poprosić, by została. Potrzebował wypoczynku w samotności.

Wspięła się po drabinie na swoją pryczę. Leżał przez dłuższą chwilę, a zmęczeni i niespokojni Wufowie, Wagarondici i Alkunquibowie chrapali, wiercili się i mamrotali. Co przyniesie jutro? A raczej już dzisiaj, gdyż wkrótce będzie świtać.

Czuł się, jakby leżał w kołysce czasu. Czas. Nikt go nie rozumiał. Nikt go nie potrafił wyjaśnić. Czas jest bardziej tajemniczy niż Bóg. Boga można rozumieć, myśli się o nim jak o istocie podobnej do człowieka. Ale czasu nie rozumiano w ogóle, jego sensu i źródła nawet nie muśnięto, a on mijał.

Leżał w kołysce czasu. Był dziesięciomilionowoletnim dzieckiem, a może dziesięciobilionowoletnim. Dziesięć milionów lat. Żadna inna żywa istota nie przetrwała takiego okresu. Czymkolwiek był czas, to dziesięć milionów lat czy dziesięć bilionów ginęło w jego bezmiarze. On przetrwał – a nie przeżył – dziesięć milionów lat i musi wkrótce umrzeć.

Próbował odciąć się od tego łańcucha myśli, puścić w niepamięć. Żył, i takie filozofowanie nie miało sensu, chociaż dla myślącej istoty było nieuniknione. Nawet ci mniej inteligentni od ludzi musieli z pewnością myśleć o bezsensie życia jednostki i niezrozumieniu czasu, przynajmniej raz w życiu. Lecz życie z takimi myślami było chorobliwe. Życie samo w sobie było pytaniem i odpowiedzią jednocześnie.

Gdyby tylko mógł zasnąć... Obudziło go otwieranie wielkich drzwi i stąpanie ciężkich stóp wchodzących Neshgajów. Potem zjadł śniadanie i wziął prysznic (jego ludzie powstrzymali się) i użył noża do zeskrobania skąpych wąsów. Musiał się golić tylko co trzy dni, a i tak zabierało mu to tylko kilka minut. Nie wiedział, czy są za to odpowiedzialne jego indiańskie geny, czy skąpy zarost powodowało coś innego.

Zrzucił rzeczy, były zbyt brudne i podarte, by je nosić. Dał je Awinie do prania i naprawy. Wetknął nóż do bocznej kieszeni kiltu, który podał mu niewolnik. Włożył nowe sandały i wyszedł z pokoju za Gooshgooz-hem. Innych nie poproszono i zamknięto im drzwi przed nosem.

Wnętrze przeogromnego, czteropiętrowego budynku było bogato rzeźbione i jaskrawo pomalowane, tak jak i na zewnątrz. Szerokie i wysokie korytarze wypełniało wielu niewolników, ale wśród nich mało było żołnierzy, większość strażników stanowili wysocy na dwanaście stóp Neshgaje w skórzanych hełmach, owiniętych błyszczącymi, szkarłatnymi turbanami, trzymali włócznie wielkości młodych sosen i tarcze z namalowanym „X” we wnętrzu złamanego koła. Kiedy zbliżył się do nich Gooshgoozh, stanęli na baczność i uderzyli włóczniami w podłogę.

Gooshgoozh poprowadził Ulissesa na dół kilkoma korytarzami i w górę dwiema klatkami krętych schodów, o pięknie rzeźbionych poręczach, a potem jeszcze raz w dół. Korytarze kończyły się przestronnymi pokojami, których wyposażenie stanowiły masywne meble, malowane i zdobione klejnotami, oraz posągi, podobnie upiękzone. Tutaj spotkał dużą liczbę kobiet Neshgajów. Miały od ośmiu do dziewięciu stóp wysokości i pozbawione były zupełnie małych kłów. Miały na sobie kilty i kolczyki, niektóre posiadały kolczyki lub inne ozdoby, wetknięte w skórę trąb. Ich piersi nisko zwisały i były w pełni rozwinięte, czy karmiły, czy też nie. Emanowały od nich silne, lecz przyjemne perfumy. Młode kobiety malowały sobie twarze.

W końcu zatrzymali się przed drewnianymi drzwiami, o mocnym czerwonym kolorze i gęstych słojach. Wyrzeźbiono na nich wiele figur i symboli. Strażnicy zaszalutowali Gooshgoozhowi. Jeden z nich otworzył wrota i wprowadzono Ulissesa do przepastnego pokoju, zastawionego półkami z książkami. Kilka książek i krzesel znajdowało się przed gigantycznym biurkiem, za którym siedział Neshgaj, w okularach bez oprawek i stożkowej czapce z papieru, pomalowanej w rozmaite wzory.

To był Shegnif, Wielki Wezyr.

Chwilę potem oficer wprowadził do pokoju Ghlikha, który krzywił się w uśmiechu. Niewątpliwie jego radość spowodowana była ulgą z rozwiązania skrzydeł, a częściowo z poniżenia Ulissesa.

Shegnif zadał Ulissesowi kilka pytań, głosem niższym niż u innych Neshgajów, o grzmiących gardłach. Ulisses odpowiedział na nie zgodnie z prawdą i bez wahania. Dotyczyły głównie jego imienia, skąd pochodzi i czy są tam inni, podobni do niego, i tak dalej. Ale kiedy powiedział, że pochodzi z innego czasu, może aż sprzed dziesięciu milionów lat i że piorun przywrócił go do życia, kiedy był zamieniony w kamień, i że przeszedł przez Drzewo, sam Shegnif wyglądał jakby go uderzył piorun. Ghlikhowi nie spodobała się ta reakcja, zniknął uśmieszek i zaczął nerwowo przestępować na swych dużych kościstych stopach.

Po dłuższym okresie milczenia, przerywanego jedynie burczeniem w brzuchu Neshgaja, Shegnif zdjął wielkie, okrągłe okulary i przetarł je szmatką wielkości dużego koca. Włożył je z powrotem i pochylił się nad biurkiem, by przyjrzeć się człowiekowi stojącemu przed nim.

– Albo jesteś kłamcą – przemówił. – Albo agentem Drzewa. Albo, to też możliwe, mówisz prawdę.

Zwrócił się do Ghlikha:

– Powiedz mi, Nietoperzu, czy on mówi prawdę?

Zdawało się, że Ghlikh skurczył się w sobie, spojrzął na Ulissesa i z powrotem na Shegnifa. Oczywistym było, że nie mógł się zdecydować, czy wydać Ulissesa jako kłamcę, czy przyznać, że jego opowieść jest prawdziwa. Pragnął zdyskredytować tego człowieka, ale gdyby spróbował i nie udało by mu się? Być może wśród Neshgajów oznaczało to śmierć, co tłumaczyło pot na jego ciele w ten zimny poranek.

– No? – ponaglił Shegnif.

Przewaga leżała po stronie Ghlikha, gdyż Shegnif go znał. Z drugiej strony, mógł żywić podejrzenia co do Ghlikha i jego gatunku.

Jego uwaga o „agencie Drzewa” oznaczała, że uważa Drzewo za istotę, i to wrogą. Gdyby tak było, wówczas musiał domyślać się motywów postępowania Ghlikha, a także tego, że ludzie-nietoperze mieszkają na Drzewie. Czy o tym wiedział? Dhulkhulicy mogli twierdzić, że pochodzą z drugiej strony Drzewa. Nie miał sposobu sprawdzenia tego. Przynajmniej do czasu pojawienia się Ulissesa.

– Nie wiem, czy kłamie – odpowiedział wreszcie Ghlikh. – On mi powiedział, że jest kamiennym bogiem, który ożył, ale ja tego nie widziałem.

– Czy widziałeś kamiennego boga Wufów?

– Tak.

– A czy widziałeś kamiennego boga po pojawieniu się tego mężczyzny?

– Nie – Ghlikh zawahał się. – Ale wtedy nie zaglądałem do świątyni, aby zobaczyć, czy nadal tam jest. Uwierzyłem mu na słowo. Chociaż nie powinienem.

– Zapytam o niego ludzi-kotów. Oni będą wiedzieć, czy jest kamiennym bogiem, czy nie – zdecydował Shegnif. – Jako że uznają go za ożywionego boga, nie wierzę, by nazywali go kłamcą. Założmy, że ta historia jest prawdziwa.

– Że on naprawdę jest bogiem? – Ghlikh nie potrafił stłumić szyderstwa.

– Jest tylko jeden bóg – Shegnif bliżej przyjrzał się Ghlikhowi. – Tylko jeden. Może zaprzeczysz temu? Ci, którzy żyją na Drzewie twierdzą, że Drzewo jest jedynym bogiem. Co ty na to?

– Och, zgadzam się z tobą, że jest tylko jeden bóg.

– I to jest Nesh – stwierdził Shegnif. – Prawda?

– Naprawdę, Nesh jest jedynym bogiem Neshgajów – przytaknął Ghlikh.

– To nie jest to samo, powiedziec, że jest tylko jeden bóg, bóg Neshgajów – ciągnął Shegnif. Uśmiechnął się, ukazując białą ścianę ust, białe dziąsła i cztery zęby trzonowe. Podniósł wielką szklanę z wodą, z której wystawała szklana rurka. Wciągnął przez nią wodę. Ulisses zdziwił się. Widział już, jak Neshgajowie ssą wodę chwytynymi trąbami i wdmuchują sobie do ust, ale teraz widział po raz pierwszy, że używają słomki. Później zobaczył jeszcze jak piją prosto ze szklanek, odpowiednio wąskich, aby mieściły się między kłami.

Shegnif odstawił szklanę i ponownie przemówił:

– Nie żądamy, aby obcy wyznawali Nеща, gdyż jego wolą jest, by tylko jego synowie go czcili i odrzuciłby innych. Zdaje się, że jesteś fałszywy, Ghlikhu. W przyszłości bądź bardziej bezpośredni. Okrężne drogi pozostaw nam, poruszającym się powoli i powolnie myślącym Neshgajom!

Ponownie się uśmiechnął. Ulissesowi zaczął się podobać Wielki Wezyr.

Shegnif zadał mu więcej, bardziej szczegółowych, pytań. W końcu powiedział, że mogą usiąść i oficerowie opuścili się delikatnie na krzesła. Ulisses usiadł na krawędzi, stopy wisiały mu w powietrzu. Nie wyglądał jednak tak mizernie i żałośnie jak Ghlikh, który przypominał małego ptaszka, kulącego się przy wejściu do pieczary.

Shegnif złożył palce, wielkości bananów i zmarszczył brwi na tyle, na ile osoba bez brwi może się zmarszczyć.

– Jestem zaskoczony – wyznał. – Musisz być żywym źródłem mitu, powstałego nieodgadnione milenia temu. Właściwie nie powinienem powiedzieć mitu, gdyż twoja historia wydaje się prawdziwa. Wufowie znaleźli ciebie na dnie jeziora, które istniało przez wiele tysięcy lat. Nie ma wątpliwości, że znaleźli kamienny posąg, który wyglądał tak jak ty. Nawet ten wykrętny nietoperz to potwierdza. Byłeś bogiem, czy też centralnym punktem zainteresowania więcej niż jednej religii. Byłeś bogiem w jakiejś małej prymitywnej wiosce tego, czy innego plemienia, i siedziałeś na tym krześle, kiedy ta mała wieś stała się wielką metropolią, stolicą imperium wielkiej cywilizacji. I ciągle tam siedziałeś, a imperium rozpadło się i cywilizacja zginęła. Ludzie umarli, zostały tylko ruiny, dookoła zamieszkałe przez jaszczurki i sowy.

– Nazywam się Ozymandias – Ulisses zamruczał po angielsku. Po raz pierwszy angielski zabrzmiał mu obco...

– Co? – spytał Shegnif, spoglądając ponad okularami i wskazując go trąbą.

– Tylko mówiłem do siebie językiem martwym od tysięcy lat, wasza wysokość – wyjaśnił Ulisses.

– Ach, tak małe, zielonkawe oczka Shegnifa zapaliły się. – Zobaczymy, czy nasi uczeni mają ten język. Prawdę mówiąc, planujemy wiele zajęć dla ciebie na pewien czas. Nasi naukowcy dowiedzieli się o tobie i nie mogą powstrzymać ciekawości.

– To interesujące – powiedział Ulisses. Czy miał zostać tylko doświadczalnym królikiem dla tych ludzi? – Aleja mogę się przydać nie tylko przy zapisie przeszłości. Mam bardzo jasno określone zadania na teraz i na przyszłość. Mogę być kluczem do odrodzenia Neshgajów.

Ghlikh spojrzał na niego dziwnie, a Shegnif uniósł trąbę.

– Naszego odrodzenia? Naprawdę? Mów dalej!

– Wolałbym nie mówić w obecności tego Dhulhulikha.

Ghlikh wzdrygnął się.

– Wasza wysokość, protestuję! Milczałem jak kazałeś, kiedy ten człowiek przedstawił tę zakłamaną historię o swoich rzekomych przygodach na Drzewie! Ale dłużej milczeć nie mogę! To poważna sprawa! On zarzuca nam, Dhulhulikhom, nieczne sprawki. Nam, którzy tylko chcą żyć ze

wszystkimi w pokoju i zajmować się interesami, korzystnymi dla każdego!

– Nie ogłoszono żadnego wyroku – przerwał Shegnif. – Wysłuchamy zdania wszystkich, włączając twego kolegę Khyuksa. Właśnie teraz inni są przesłuchiwani. Później zapoznam się ze sprawozdaniami z tych rozmów. A propos, i to ciebie też zaciekawi, Nietoperzu, mamy dowody, że Kamienny Bóg był kiedyś tutaj. On na pewno wygląda jak Kamienny Bóg. I z pewnością nie jest jednym z naszych ludzi. Zauważyłeś proste włosy, pokrywające całą głowę i pięć palców, chyba tak, co?

– Nie twierdzę, że jest niewolnikiem, czy też Yroomawem, wasza wysokość.

– Tym lepiej dla ciebie – skwitował Wezyr.

Przemówił do pomarańczowego, drewnianego pudełka na biurku i wielkie drzwi otworzyły się z rozmachem. Ulisses był ciekaw, czy mają także radio. W mieście, nie zauważył żadnej anteny, ale wtedy była noc.

Shegnif wstał i oznajmił:

– Muszę teraz zająć się pilniejszymi sprawami. Jednak, jeżeli potrafisz udowodnić, jak mówiłeś, że będziesz kluczem do naszego 'odrodzenia, wysłucham każdego słowa. Mogę się spotkać z tobą na specjalnym przesłuchaniu dziś późnym wieczorem. Ale lepiej nie marnuj mojego czasu, jest drogocenny.

– Będę z tobą dzisiaj mówić – zadeklarował się Ulisses.

– Czy będę miał szansę się bronić? – zajączał Ghlikh.

– Niejedną, jak dobrze wiesz – odpowiedział Shegnif. – Nie zadawaj niepotrzebnych pytań.

Wiesz, że jestem zajęty.

Ulissesa zaprowadzono do aresztu, a Ghlikha zabrali do innego pokoju, gdzie prawdopodobnie trzymano też Khyuksa.

Gdy Ulisses wrócił, powracali także ostatni z przesłuchiwanym, wraz z Neshgajami i niewolnikami.

Podbiegła do niego Awina.

– Jak poszło, panie?

– Nie wpadliśmy w ręce istot nierozsądnych – odpowiedział. – Żywię nadzieję, że zostaniemy sprzymierzeńcami tych ludzi.

Skrzyń z bombami nie zabrano im. Właściwie to nadal mieli całą swoją broń. Skoro pozwolono ją zatrzymać, to dlatego, że Neshgaje nimi gardzili. Chociaż jedna bomba otworzyłaby drzwi ich więzienia, zabijając kilka słoniowatych stworzeń i wstrząsając innymi. Mieliby wolną drogę do przystani. Tam zajęliby galerę, którą z pewnością łatwo się obsługuje. Albo, gdyby chcieli uciec dalej, wzięliby statek, których wiele było na przystani, i który, jak podejrzewał, posiadał dodatkowe silniki roślinne.

Ale to nie miało sensu, chyba w ostateczności. Gdyby Neshgaje planowali uwięzienie lub wymordowanie ich, na pewno zabraliby broń. Powie im o planach ucieczki, jeśli Neshgaje będą chcieli zmienić zdanie.

Tymczasem zobaczy, jak się sprawy potoczą z Neshgajami. Potrzebował ich, a oni jego. On posiadał wiedzę i wolę działania, oni materiały i ludzi. Razem mogli zaatakować Drzewo. Albo ludzi-nietoperzy, którzy – w to wierzył – stanowili siłę kryjącą się za Drzewem.

Tego wieczoru oficer, który przedstawił się jako Tarshkrat, przyszedł do niego. Ulisses podążył za falującą szatą olbrzyma do biura Shegnifa. Wielki Wezyr poprosił go, by usiadł i poczęstował ciemnym płynem, przypominającym wino. Ulisses przyjął poczęstunek z podziękowaniem, lecz dużo nie wypił. Nawet od tej odrobiny płonęły mu żyły.

Shegnif wciągnął płyn do nosa i wtrysnął sobie do ust, a po policzkach popłynęły mu łzy rozkoszy, albo bólu. Kamienny pojemnik, stojący przed nim, mieścił więcej niż dwa galony trunku, ale niewiele go pił. Próbował tylko wywołać wrażenie, że pije. Słuchając przemowy Ulissesa, często maczał trąbę w kamiennym naczyniu, ale prawdopodobnie mieszał tylko płyn końcem trąby.

W końcu powstrzymał Ulissesa, podnosząc dłoń i zadudnił:

– Więc myślisz, że Drzewo to nie jest inteligentna istota?

– Nie, nie sędzę – odparł Ulisses. – Wydaje mi się, że Dhulhulicy chcą, by wszyscy w to wierzyli.

– Chyba szczery jesteś w swoim przekonaniu – zagrzmiał Wielki Wezyr. – Ale się mylisz. Ja wiem, że Drzewo jest pojedynczą myślącą osobą!

Ulisses wyprostował się bardziej i spytał:

– Skąd wiesz?

– Powiedziała nam o tym Księża Tiznak – wyjaśnił Shegnif. – A raczej niektórym z nas. Nie potrafię czytać tej Księgi, oprócz pewnych wyjątków, ale wierzę tym, którzy twierdzą, że potrafią z niej czytać o Drzewie.

– Nie wiem, do czego zmierzasz.

– Nie spodziewam się tego. Ale dowiesz się.

– Czy Drzewo jest, czy nie jest, istotą myślącą, ono rośnie – powiedział Ulisses. – Zakryje cały ląd za około pięćdziesiąt lat. I gdzie wy, Neshgaje, wtedy pójdziecie?

– Rozrost Drzewa ograniczony jest w pobliżu morza – wytłumaczył Wezyr – inaczej zarosło by nas dawno temu. Rośnie w kierunku północnym, aż ostatecznie zacieni tam całą ziemię. Z wyjątkiem wybrzeży. To nie rozrostu Drzewa boimy się. Obawiamy się ludzi z Drzewa. Drzewo wysyła ich na nas i nie przestanie, dopóki nas nie wyniszczy lub zmusi, by żyć z nim.

– Ty naprawdę w to wierzysz? – Ulisses zdziwił się.

– Jestem przekonany!

– A co z Dhulhulikami?

– Nie wiedziałem, że żyją na Drzewie. Dopiero ty powiedziałeś. Oni zawsze twierdzili, że pochodzą z północy. Jeżeli twoja opowieść jest prawdziwa, to są naszymi wrogami. Oni są, można powiedzieć, oczami Drzewa. Tak jak inni, Vignoomowie, są rękami Drzewa.

Ulisses podjął temat.

– Skoro Drzewo jest inteligentną jednostką, to powinno posiadać scentralizowany mózg, i ten mózg, gdy już go zlokalizujemy, można zniszczyć. Jeżeli Drzewo jest bezmyślną rośliną, kontrolowaną przez Dhulhulików, to ich trzeba poszukać i zniszczyć.

Shegnif rozważył to przez kilka minut. Ulisses przyglądał mu się ponad brzegiem wysokiej szklanki, sącząc mocną miksturę. Jak dziwnie, myślał, siedzieć na Brobdingnagskim krześle i rozmawiać z istotą wywodzącą się od słonia. Rozmawiać o małych, skrzydlatych ludziach i roślinie, która prawdopodobnie posiada mózg lub wiele mózgów.

Shegnif zwinął trąbę i podrapał się w czoło rozdwojonym koniuszkiem.

– W jaki sposób zabicie centralnego mózgu albo Dhulhulików powstrzyma rozrost Drzewa?

– Jeżeli zabije się mózg zwierzęcia, to całe zwierzę ginie – odparł Ulisses. – To może okazać się prawdą także w przypadku złożonej istoty roślinnej. I Drzewo umrze.

Shegnif nie uśmiechnął się. Może poczucie humoru u Neshgajów różniło się od ludzkiego.

– Jeśli mózg umrze, a Drzewo nadal będzie żyć, to przynajmniej nie będzie wysyłać swoich plemion na was. Oni są prymitywni, nieliczni i bada wojować z sobą.

– Jeżeli Drzewo służy Dhulhulikom do sprawowania kontroli nad lądem, wówczas zabicie

nietoperzy zdeorganizuje inne ludy żyjące na nim. I wtedy możemy zająć się problemem unicestwienia samego Drzewa. Sugerowałbym truciznę.

– To będzie wymagać dużej dawki – zauważył Shegnif.

– Mam na ten temat dużą wiedzę.

Shegnif zmarszczył skórę w miejscu, gdzie byłyby brwi, gdyby je miał:

– Naprawdę? Cóż, odłóżmy trucizny. Daj przykład, jak byś zaatakował Dhulhulikhów? Oni mają przewagę.

Ulisses zdradził mu swój plan. Mówił przez ponad godzinę. W końcu Shegnif zdecydował, że już dość wysłuchał. Odrzuciłby te pomysły, gdyby przedstawił je ktoś inny. Ale Ulisses twierdził, że urządzenia, które zbuduje, były niegdyś powszechne, i nie widział powodu, by w nie wątpić. Wezyr musi te propozycje przemyśleć. 1

Trochę pijany, Ulisses opuścił Wielkiego Wezyra. Był nastawiony optymistycznie, ale pamiętał także, że Shegnif będzie rozmawiać z nietoperzami, nie miał pojęcia, jak na niego wpłyną.

Oficer, przewodnik, zaprowadził go na pokoje, zamiast do koszar. Ulisses spytał, dlaczego separują go od jego ludzi.

– Nie wiem – odpowiedział oficer. – Mam takie rozkazy i według nich tutaj muszę cię zakwaterować.

– Wolałbym być ze swoją załogą.

– Niewątpliwie – przytaknął Neshgaj, spoglądając na niego z góry, ponad trąbą, sterczącą pod kątem czterdziestu pięciu stopni do powierzchni twarzy. – Przekażę twoją prośbę moim przełożonym.

Mieszkanie przeznaczone było dla Neshgaja, a nie dla człowieka. Ogromne meble nie były dla niego wygodne. Lecz nie miał mieszkać tu sam. Przydzielono mu do posługi dwie kobiety.

– Nie potrzebuje tych niewolnic – zwrócił się do Neshgaja. – Sam sobie poradzę.

– Niewątpliwie – odparł oficer. – Przekażę tę prośbę.

I na tym się skończy, pomyślał Ulisses. Te niewolnice nie są tu wyłącznie dla mojej wygody. To także szpieczy.

Neshgaj zatrzymał się przy drzwiach, z ręką na klamce:

– Jeżeli będziesz czegoś potrzebował, a kobiety nie będą w stanie tego zapewnić, przemów do pudełka na stole. Zgłośzą się strażnicy z zewnątrz.

Otworzył drzwi, zaszalutował, dotykając prawym palcem wskazującym końca wzniesionej trąby i zamknął drzwi. Zamek szcęknął głośno.

Ulisses spytał kobiety o imiona. Jedna miała na imię Lusha, a druga Thebi. Obie młode i atrakcyjne, jeżeli przymknąć oko na małą łysinę i zbyt wystające brody. Lusha była szczupła, o małych piersiach, lecz pełna gracji, chodząc, kołysała biodrami. Thebi miała pełne piersi, znajdowała się o krok od otyłości. Jej oczy były jasnozielone i często się uśmiechała. Bardzo przypominała mu jego żonę. Możliwe, mówił sobie, że ona jest potomkiem jego żony. I oczywiście, jego samego, gdyż miał troje dzieci. Jednak podobieństwo do Klary mogło być zupełnie przypadkowe. Nie mogła przejąć żadnych genów od tak odległych przodków.

Lusha i Thebi miały gęste, ciemne, kręcone włosy, które zaczynały się w połowie głowy i opadały do pasa. Zdobily je małe drewniane figurki, pierścienie i kilka kolorowych wstążek. W uszach nosiły kolczyki wydęte wargi pokrywał róż, a oczy miały pomalowane na niebiesko. Z szyi zwisał im sznur kolorowych kamieni, a brzuch zdobily namalowane symbole. Jak wyjaśniły, oznaczały ich właściciela, Shegnifa.

Ich kilty były purpurowe, w zielone pięciokąty. Po zewnętrznej stronie obu nóg biegł cienki, czarny pasek i kończył się kołami wokół kostek. Sandały miały pomalowane na złoty kolor.

Zaprowadziły go do łazienki, gdzie cała trójka musiała wspiąć się po drewnianych, przenośnych schodach dostarczonych przez gospodarza. Usiadł w umywalce, przeznaczonej dla Neshgajów do mycia rąk. Obie kobiety stanęły na krawędzi i umyły go.

Później Thebi zamówiła posiłek i ciemny trunek „amusa” w języku Ayrata. Wspiął się przenośną drabiną na łóżko i zasnął, gdy one skuliły się razem na kocu na podłodze.

Rano, po śniadaniu otworzył skrzynkę na stole i zbadał ją. Zawierała twarde roślinne płytki, które wyglądały jak obwody drukowane, ale reszta wyposażenia wykonana była ze stałej substancji, jednak nie metalicznej. Wydawało mu się, że to wszystko żyje i czerpie pożywienie z roślinnej skrzynki z trzema połączeniami. Mógł to być zbiornik z roślinnym paliwem. Nie widział żadnych wskaźników. Prawdopodobnie ten organizm posiadał jakieś biologiczne urządzenie, które pracowało automatycznie jako odbiornik lub nadajnik, reagujący na ustne rozkazy.

Zbadawszy urządzenie ponownie, zwrócił się do kobiet z pytaniami. Bez wątplenia były szpiegami, ale mógł także od nich zdobyć informacje. Odpowiadały dość chętnie. Tak, były niewolnicami i potomkami długiej linii niewolników. Tak, wiedziały o pojmaniu Vroomawów, a raczej ich części. Niektórzy, dzięki atrakcyjnym propozycjom poddali się bez walki. Pozostali zostali zmuszeni do poddania się po najeździe przeważających sił Neshgajów. Następnie zaprowadzono Vroomawów do granic państwa Neshgajów, gdzie stacjonują razem z rodzinami w koszarach. Są żołnierzami, będą chronić Neshgajów przed najazdem z Drzewa. One są wolne, ale ograniczają je pewne tereny. Z niewolnikami mają mały kontakt. Thebi nie powiedziała tego dosłownie, ale przekazała myśl, że między niewolnikami a wojskiem z pogranicza istnieje większa wspólnota, niż przypuszczają Neshgaje.

Thebi nie była szczerą, kiedy mówiła o nastrojach wśród niewolników. A przynajmniej, tak wyczuł Ulisses, była daleka od prawdy. Może dlatego, iż obawiała się, że doniesie władcom, albo że pokoje są podsłuchiwane. Przeszukał mieszkanie i nie znalazł żadnych urządzeń podsłuchowych, ale nieznajomość żywych urządzeń mogła spowodować, że ich nie rozpoznał.

Ponadto, Thebi mogła nie mieć pojęcia co do ogólnych nastrojów wśród niewolników.

Sam będzie musiał sprawdzić, jak szczęśliwi są niewolnicy. Nie, nie miał żadnych planów poprowadzenia ich do powstania lub przyłączenia się do podziemia, jeżeli takie istniało. Nie wierzył w niewolnictwo, ale nie zamierzał niszczyć istniejącego stanu rzeczy bez ważnego powodu. Jego głównym celem, teraz, kiedy odnalazł ludzi, była walka z Drzewem.

Istniała także kwestia znalezienia odpowiedniej stałej towarzyszki, która dałaby mu dzieci i stała się dobrym przyjacielem. Genetyka tych ludzi różniła się w jakiś sposób od jego, ale miał nadzieję, że nie do tego stopnia, iż stanowiliby osobne gatunki. Nawet gdyby miał dzieci zjedną z nich, nie wiedziałby, czy są płodne, aż dorosną.

Późnym rankiem wezwano go do biura Shegnifa. Wielki Wezyr nie tracił czasu na powitanie.

– Tych dwóch Dhulhulikhow uciekło! Jak ptaki wyfrunęli z klatki!

– Pewnie doszli do wniosku, że przyjmiesz moją wersję – powiedział Ulisses. – Wiedzieli, że prawda wyjdzie na jaw.

– Odpowiedzialny za nich oficer otworzył drzwi do ich celi, a oni wtedy wylecieli, zanim zdołał ich złapać. Są znacznie szybsi niż my. Polecieli korytarzem, dość szerokim by pomieścić ich skrzydła. Mieli szczęście, bo korytarz był pusty, a okno, niestety nie miało krat. Teraz ja muszę wyjaśnić shauzgroozowi wszystkie skutki tej ucieczki.

„Shauzgrooz” znaczyło tyle co władca, król, sułtan czy główny potentat, a dosłownie „Najdłuższy Nos”. Obecnie shauzgroozem był Zhigbruwzh IV, do pełnoletności brakowało mu dwóch lat. Faktycznie rządził Shegnif, chociaż Zhigbruwzh miał prawo oddalić go, gdyby tylko chciał.

Młodzieniec jednak bardzo labił Shegnifa i istniał jeszcze jeden powód, by nie pragnął wydalenia Wielkiego Wezyra. Jak twierdziła Thebi, w pałacu wybuchały już bunty.

– Na skutek ucieczki – mówił Ulisses – Dhulhulicy dowiedzą się, co ja chcę zrobić i zakładają, że zaakceptujesz moje pomysły. To znaczy, że zaatakują, zanim zdołamy wprowadzić w życie te plany. Czy przyjmiesz moje propozycje, czy nie, oni i tak to zrobią. Jedynym sposobem oparcia się temu atakowi jest przyjęcie mojego planu.

– Nie bądź taki pewien – pohamował go Neshgaj. – Myślisz, że wodzisz mnie za nos, aleja mogę zrobić inaczej. Jesteśmy starym narodem i jako jedyni posiadamy rozwiniętą naukę i technikę. Nie musimy polegać na krótkonosych karłach, by pokonać naszych wrogów.

Ulisses nie przerywał. Shegnif był zły i prawdopodobnie też przerażony ucieczką dwójki ludzi-nietoperzy oraz jej konsekwencjami. Neshgaj wiedział bardzo dobrze, że potrzebuje tego, co Ulisses jest w stanie mu dać. Ale musiał być hardy, aby podeprzeć swoją odwagę.

Zapadła długa cisza. Nagle Shegnif uśmiechnął się, unosząc trąbę tak, by Ulisses w pełni mógł rozkoszować się jego uśmiechem.

– Ale nic się nie stanie, jeżeli porozmawiamy o twojej ewentualnej pomocy. Istnieje coś takiego jak realizm. A ty pochodzisz z ludu dalece starszego niż Neshgaje, chociaż nie chciałbym byś mówił o tym naszym niewolnikom, ani żadnemu Neshgajowi.

Stało się jasne, że Shegnif niechętnie patrzył na produkcję prochu. Nie chciał, by niewolnicy lub wolni ludzie to poznali.

Oznaczało to, że niewolnicy nie byli zadowoleni ze stanu rzeczy i, być może, kiedyś w przeszłości zbuntowali się. Z drugiej strony, mogli być szczęśliwi, ale Shegnif znał na tyle naturę ludzką i wiedział, że będą próbować przejąć inicjatywę, gdyby środki ku temu stały się dostępne.

Ulisses rozważył możliwości kontrolowania produkcji prochu. Shegnif przystał na tajne fabryki, gdzie pracowałiby tylko Neshgaje. Jak najszybsze otrzymanie prochu było na wagę życia. Poza tym tajemnica nie utrzyma się zbyt długo. Neshgaje produkujący proch będą musieli ze sobą rozmawiać, co dotrze do czujnych uszu niewolników. Gdyby tak się nie stało, Ulisses z łatwością rozpowszechni sekret. Wszyscy ludzie muszą dowiedzieć się w jakich proporcjach mieszać węgiel drzewny, siarkę i azotan potasu lub sodu. I kiedy już raz „tajemnica” wyjdzie na jaw, nigdy tego nie zapomną. Nigdy? To nie jest właściwe słowo. Człowiek, który przetrwał dziesięć milionów lat nie powinien być tak niedbały w tych sprawach. W każdym razie, minie dużo czasu, zanim ludzie zapomną.

Potem Ulisses wyjaśnił, jak zbudować sterówce. To wymagało bardziej skomplikowanej technologii i znacznie więcej materiałów niż produkcja prochu, Shegnif zmarszczył brwi i powiedział, że zniesie pewne restrykcje, ale dla bezpieczeństwa samego Ulissesa i dla dobra państwa nie będzie wolno mu przebywać w dowolnych miejscach.

Niestety Shegnif nie zrozumiał albo nie chciał zrozumieć naczelnej myśli Ulissesa. Wezyr zamierzał wpięć użyć powietrzną flotę przeciwko Vignoomom. W ogóle chciał wykorzystać flotę jedynie na skraju Drzewa, aby nie narażać jej na atak ze strony ludzi-nietoperzy. Mogła być użyta do kontroli granic.

Ulissesa rozdrażniła ta krótkowzroczność i bojaźliwość. Przypomniawszy sobie, że na brak wyobraźni cierpieli nie tylko Neshgaje. Teraz musi zdobyć tylko broń, statki powietrzne i załogę, a potem będzie się martwić ewentualnym wykorzystaniem broni.

Zanim narada dobiegła końca, zrodził się jeszcze jeden problem. Shegnifowi nie podobało się, że większość członków załogi sterowców będą stanowić ludzie. Domagał się większej liczby Neshgajów w siłach powietrznych.

– Ależ to jest kwestia ciężaru – bronił się Ulisses. – Każdy Neshgaj na pokładzie, to o tyle

mniej paliwa i bomb! Zmniejsza się zasięg lotu i siłę ognia.

Kiedy następnego dnia Ulisses zobaczył Awinę, poczuł się szczęśliwy. Nie było powodu, dla którego miałby się obwiniać, w końcu Lusha i Thebi były kobietami, a nie stworami o kocich oczach, sierści, ogonie i zębach drapieżnika. Wolno mu robić, co chce, i coraz bardziej podobała mu się Thebi.

Mimo to, na widok Awiny ogarnęło go poczucie winy. Chwilę potem, rozmawiając z nią, poczuł radość, a serce zabiło mu szybciej.

To nie było to, co za jego czasów ludzie nazywali miłością. To nie miłość, połączona z fizycznym partnerstwem. Ale on tak się do niej przyzwyczaił, tak rozkoszował się jej towarzystwem, jej sposobem mówienia i zwracania się do niego, że kochał ją. Kochał ją jak siostrę, to mógł szczerze wyznać. Cóż, niezupełnie jak siostrę. To było coś więcej. Właściwie, jego uczucia do niej nie można było określić. A może, powiedział sobie w przebłysku szczerości, lepiej tego nie definiować.

Co do jej uczuć nie było wątpliwości. Na widok tych dwóch kobiet, otworzyła szerzej oczy, spod czarnych warg wysunęły się ostre zęby, ogon się naprężył. Zwolniła krok i spojrzała na niego. Uśmiechnęła się, lecz nie potrafiła utrzymać uśmiechu. A kiedy podeszła bliżej, rozszyfrował wyraz jej twarzy pod aksamitnym futrem. Była wściekła.

Awina nie próbowała nawet kryć swoich zamiarów, chociaż stłumiła wrogość, którą musiała pałać.

– Mój panie, jak dobrze jest być znowu u twego boku. Będziesz miał przy sobie swą pomocnicę i wyznawczynię.

Mówiła Ayratą, z pewnością po to, aby obie kobiety mogły ją zrozumieć.

– Dobrze, że jesteś z powrotem przy mnie – odpowiedział ponuro.

Drżał na myśl, jak ją zabolą, gdy jej powie, że odtąd będzie spała w oddzielnym pokoju. Co z niego za nędzny bóg. Bóg powinien być nieczuły na zwykłe ludzkie uczucia.

Wiedział, że jest tchórzem i nienawidził siebie za to. Odłożył tę sprawę na później.

By znaleźć wymówkę, pomyślał, że trzeba zająć się teraz o wiele ważniejszymi problemami. Ale wiedział, że tylko siebie okłamuje.

To ona poszła z nim na naradę, a obie kobiety zostały z tyłu. Była inteligentna i mogła wyjaśnić jego ludziom w czym rzecz. Będą niespokojni przez jakiś czas, bo w jego planach nie było dla nich miejsca. Nie posiadali wiedzy, ani umiejętności potrzebnych w następnej fazie wojny przeciw Drzewu i jego sługom. Powie im o tym, a także wyjaśni, że nadejdzie czas, kiedy będą potrzebni. Jeśli zaatakują już Drzewo i Dhulhulikhów, wszystkie trzy grupy kotów będą o wiele cenniejsze w tamtym terenie niż ci gruboskórni albo ludzie. Lepiej znali Drzewo i byli bardziej zwinni.

Dni i noce spędzali pracowicie, chociaż nie tak bardzo, jak sobie życzył. Neshgaje tak przypominali słonie, iż wydawało się, że obce im są takie ludzkie cechy jak małostkowość, zazdrość, przekupstwo, walka o prestiż, pieniądze i pozycję, mściwość i po prostu zwykłą głupotę. Niestety nie wzniesli się ponad to, tylko dlatego, że byli powolni. Tak więc, wypadki potoczyły się w tempie chorego żółwia lub anemicznego słonia. Ulisses połowę czasu tracił na rozwiązywanie administracyjnych sporów, wysłuchiwanie petycji o awanse lub szalonych planów wykorzystania sterowców, próbując się jednocześnie dowiedzieć, co się stało z materiałami albo robotnikami, których zamówił.

Skarżył się Shegnifowi, który tylko wzruszał ramionami lub machał trąbą.

Ulisses starał się zachować spokój.

– Zwiadowcy z granicy donoszą, że na gałęziach na skraju Drzewa zbiera się wiele Vignoomów

i Glassimów. Wkrótce zaatakują. Czy zamierzasz wziąć pod rozwagę możliwość niesprawiedliwości w stosunku do nich, jeżeli zaatakujemy ich pierwsi? Czy dasz im wybór czasu i miejsca?

Shegnif uśmiechnął się:

– Chcesz powiedzieć, że jeżeli nie podejmę szybkich kroków, to zadadzą nam poważne straty? Cóż, może masz rację, ale nic nie mogę zrobić dla przyspieszenia prac i zmniejszenia kosztów. I nie kłóć się ze mną.

Nie było już do kogo się zwrócić. Każda apelacja do władcy – Zhigbruwzha przeszłaby przez ręce Shegnifa.

Ulisses nie był pewien, czy Shegnif nie pozbędzie się go, gdy tylko proch, produkcja maszyn latających i technika nawigacji będą w pełni zrozumiałe. W końcu był człowiekiem i nie miał powodu by być lojalnym wobec Neshgajów. Poza tym, Shegnif mógł uważać go nadal za agenta Drzewa, który przybył tu na przespiesi. Miał zbuntować niewolników i spowodować produkcję powietrznej floty, która w końcu obróci się przeciw samym Neshgajom.

Ulisses przyznał sam sobie, że gdyby był Shegnifem, rozważyłby tę możliwość i uległby pokusie uwięzienia go, gdy ten wykona podstawowe zadania.

Pozostała tylko nadzieja, że Shegnif uświadomi sobie, iż potrzebuje go na długi, długi czas. Shegnif musiał wiedzieć, że dla pełnego bezpieczeństwa Neshgajów, wpieryw trzeba unicestwić Drzewo.

W międzyczasie ruszyła produkcja czarnego prochu, bomb i rakiet. Wstępne czynności wytworzenia kwasu siarkowego i zdobycia wystarczającej ilości cynku, z którym kwas miał reagować, aby dać wodór, już zostały zakończone. Żelaza, które także można było tutaj wykorzystać, nie było nawet w śladowych ilościach. Oczywiście żelazo znajdowało się w niektórych skałach, ale praca i czas, potrzebne do jego wydobywania byłyby zbyt długie, jak twierdził Shegnif. Ulisses przeszkolił grupę do poszukiwania cynku i po dziesięciu dniach jeden z ludzi znalazł metal w postaci sfalerytu. Znalezioną rudę siarczkową, podgrzano dla powstania tlenku, który następnie zmieszano ze sprasowanym węglem drzewnym i powtórnie podgrzano do temperatury tysiąca dwustu stopni Celsjusza (czyli sześciuset „gengzhuyn”). Para cynkowa kondensowała się poza komorą reakcyjną i powstały bloki cynku. Przy użyciu niskiej, temperatury siarczek zamieniono w siarczan, następnie wyrugowano wodę, i w końcu otrzymano czysty cynk przy pomocy elektrolizy, używając roślinnych baterii.

Pokrycie sterowca stanowiła wewnętrzna łuska rośliny, wykorzystywanej w konstrukcji silników. Była nadzwyczaj lekka, mocna i giętka. Pięćdziesiąt łusek zszytych razem tworzyło wystarczająco duży worek na wodór.

Główny problem sprawiał silnik. Brakowało żelaza, aby zrobić; chociaż jeden, nie było nawet boksytów do produkcji aluminium, lub. jakiegoś zastępczego metalu. Jediną siłę poruszającą stanowił roślinny mięsno-silnik, wykorzystywany w samochodach, ciężarówkach i łodziach. Ulisses spróbował zastosować wodę w podobny sposób jak w mechanizmach odrzutowych pojazdów naziemnych, lecz śmigło nie obracało się dosyć długo i szybko. Eksperymentował z silnikami odrzutowymi statków morskich, które pobierały i wyrzucały wodę jak ośmiornice.

Rozwiązał ten problem Fabum, człowiek pracujący jako dozorca na plantacji silników. Przesłał Ulissesowi pomysł drogą formalną. Pismo zaginęło gdzieś w administracyjnej dżungli, która wyrosła dookoła załączka sił powietrznych. Fabum zniecierpliwiał się czekaniem na odpowiedź i udało mu się uzyskać pozwolenie od bezpośredniego zwierzchnika, Neshgaja, na samodzielne wykonanie eksperymentu. Zamknął w gondoli dwa silniki samochodowe w taki sposób, że końcówki mięśni obu silników zrosły się. W wyniku tego energia wyjściowa nie tylko podwoiła się, ale po triola. Cztery

takie gondole, czyli razem osiem silników mogły poruszać sterowcem z prędkością dwudziestu pięciu mil na godzinę, bez pomocy wiatru.

Wówczas szef Fabuma udał się bezpośrednio do Ulissesa (za czyn ten otrzymał później kilka nagan) i opowiedział, czego dokonał jego podwładny.

Oczywiście dodatkowe silniki i paliwo dawało większy ciężar, ale, jak obliczył Ulisses, wyprawa do miasta-bazy Dhulhulikhow będzie wspomagana przez wiatr całą drogę.

Shegnif był zadowolony z raportów. Dał Fabumowi wolność, co w praktyce oznaczało, że nadal był niewolnikiem. Mógł jednak mieszkać w lepszych kwaterach, mógł zarabiać więcej pieniędzy, gdyby jego pracodawca chciał mu więcej płacić. I nie musiał już prosić o pozwolenie opuszczenia miejsca zamieszkania.

Wielki Wezyr wcale nie martwił się ograniczonym zasięgiem i prędkością sterowców. Nie miał bowiem planów użycia ich gdzie indziej, z wyjątkiem skraju Drzewa, w pobliżu granic Neshgajów.

Trzy tygodnie później pierwszy sterowiec wyruszył w swój dziewiczy rejs. Lot trwał godzinę, statek zatoczył kilka kół ponad pałacem, aby ludność mogła popatrzeć. Później, w drodze powrotnej do hangaru, zrzucono ze sterowca dwadzieścia trzydziestofuntowych bomb. Tylko jedna trafiła w cel, którym był stary dom, ale to wystarczyło, aby go zniszczyć. Ulisses wytłumaczył Shegnifowi, że praktyka poprawi celność.

Kiedy załogi przechodziły naziemne szkolenie, zbudowano jeszcze dziewięć sterowców. Ulisses znowu zaczął narzekać na zbyt dużą liczbę oficerów Neshgajów i wynikającą z tego redukcję zasięgu i ładunku bomb. Shegnif nadal twierdził, że to nie ma znaczenia.

Od zwiadowców nadchodziły dalsze raporty o gromadzeniu się niedźwiedzic- i leopardopodobnych olbrzymów na Drzewie, a starcia między patrolami granicznymi i grupami wroga były coraz częstsze. Ulisses nie rozumiał, dlaczego do tej pory nie zaatakowali. Na pewno mieli dość zbrojnych, aby wdrzeć się na terytorium Neshgajów. Co więcej, utrzymanie spokoju między tymi, z natury wrogimi plemionami, oraz wyżywienie ich było zajęciem wymagającym sprawnej organizacji. Jako że żadna z tych grup nie posiadała wystarczającej inteligencji, aby sprostać temu zadaniu, podejrzewał o to ludzi-nietoperzy. Według doniesień, kręciło się ich sporo, ale nie tyle, by podnosić alarm.

Samotny skrzydlaty człowiek pojawił się nad lotniskiem cztery razy, obserwował ich, jednak poza zasięgiem strzału. Czterokrotnie nietoperz przeleciał obok sterowca. Nie wyrządził żadnej szkody, oprócz kilku obraźliwych gestów.

Już wtedy Ulisses przeniósł swoją kwaterę – za zgodą Shegnifa – z pałacu na lotnisko. Leżało ono dziesięć mil za miastem, a nie stać go było na stratę czasu na podróż tam i z powrotem. Jednak przy pomocy radioroślin składał Shegnifowi raport dwa razy dziennie.

Lusha odeszła, mimo że była przydzielona Ulissesowi. Obiecano ją wydać za żołnierza stacjonującego na granicy. Z płaczem – chociaż cieszyła się, że poślubi tego człowieka – udała się w drogę. Nawet Thebi, której nie można było obwiniać, że jest o nią zazdrosna, popłakała się. Ucałowała ją i wyraziła nadzieję, że się wkrótce zobaczą. Awina wyglądała na zadowoloną, że pozbywa się jednej z kobiet. Ale gdy tylko Lusha zniknęła, zasepiła się ponownie. Thebi, pewna teraz swojej pozycji, zaczęła traktować Awinę jak niewolnicę. Awina przyjmowała docinki i bezceremonialne traktowanie bez narzekań. Najwidoczniej nie chciała narażać więzi z Ulissesem, ukazując swoją gwałtowność, której normalnie dałaby upust, gdyby ją ktoś obraził. Ale Ulisses widział, że gotowała się w sobie. Karcił więc Thebi, która przez to zalewała się łzami, a Awina śmiała się jak kot, który ukradł łososia.

Ulisses pracował do późna w nocy, a wstawał tak wcześnie, że kiedy praca się kończyła,

pragnął tylko paść na łóżko. Nikomu nie wolno było wchodzić do jego pokoju i Awina tym się rozkoszowała. Thebi nie protestowała, że ma tak niewiele okazji, aby mu służyć. Nadal była niewolnicą.

Nużyło go zażegnywanie sporów między obiema kobietami. Nie miał po prostu czasu na te delikatne układy. Czasami pragnął, aby obie zostawiły go w spokoju. Wprawdzie mógł je oddalić bez ceregieli, ale nie chciał ich tak bardzo ranić. Poza tym lubił je obie, ale na inny sposób. Awina była niezmiernie szybka i bardzo inteligentna. Wywodziła się z niepiśmiennego społeczeństwa, ale uczyła się łatwo i potrafiła pracować jak operatywna sekretarka. Thebi nie było stać na podobną postawę. Znakomicie spisywała się w pracach gospodarskich, i nic poza opieką nad mężczyzną i dziećmi nie interesowało jej.

Pewnego dnia Ulisses zabrał wszystkie dziesięć sterowców na trudne manewry. Od morza wiał stały wiatr z prędkością piętnastu mil na godzinę, wielkie balony gazu szły powoli pod prąd. Nagle dwa z nich się zderzyły i oderwały się gondole z silnikami. Natychmiast porwał statki wiatr. Ulisses podał rozkaz przez radio, aby spuścić gaz i w ten sposób sprowadzić maszyny na ziemię. Załogi miały wrócić pieszo, na pole, odległe o około dwadzieścia mil.

Potem sterowce zawróciły i dotarły na lotnisko przed zachodem. Zanim wciągnięto jego statek powietrzny do hangaru, wyrzał przez tylną burtę gondoli. Na horyzoncie, na tle czerwonego nieba, rysowały się drobne postacie. Mogły to być ptaki, ale sylwetki upewniły go, że są to ludzie-nietoperze.

Tej nocy obudził go krzyk pod drzwiami. Na zewnątrz, wartownik starał się rozdzielić dwie walczące i piszczące postacie. Awina trzymała kamienny nóż, a Thebi oplatała dłonią nadgarstki Awiny. Awina była niższa i lżejsza, ale także dużo silniejsza, i tylko desperacja Thebi i wysiłki strażnika powstrzymywały nóż od zagłębienia się w brzuchu niewolnicy.

Ulisses krzyknął, aby rzuciła nóż.

W tej samej chwili za budynkiem nastąpił wybuch; wysadził okna, niszcząc je doszczętnie.

Ulisses i strażnik padli na ziemię.

Thebi zwolniła uchwyt i odwróciła się od Awiny.

Ta, ignorując eksplozję i jeszcze trzy następne, rzuciła się na kobietę.

Thebi zdążyła unieść ramię i nóż ześliznął się po nim, jednocześnie je rozpruwając, aż krew trysnęła w twarz Awiny. Nóż podążył dalej w górę i wbił się w szczękę Thebi. Siła uderzenia została jednak bardzo zredukowana.

Thebi krzyknęła. Ulisses doskoczył, uderzył Awinę w nadgarstek, wytrącając nóż na podłogę.

Następny wybuch, znacznie bliższy, wywalił drzwi w końcu korytarza i chmura dymu wypełniła wnętrze.

Awina upadła na kolana, ale zerwała się, gdy dotarł do niej dym. Ulisses zabrał nóż, wtedy ona krzyknęła do niego.

– Nie! Oddaj! Nie użyję go przeciw Thebi! Nie rozumiesz? Zaatakowano nas! Będę go potrzebować!

Mimo, że był na pół ogłuszony eksplozją, usłyszał ją. Bez słowa podał jej zakrwawione ostrze, ujęła rękojęść. Jakaś postać wyłoniła się z dymu, krzycząc.

– Panie, to nietoperze!

Był to Wagarondita Wulka, cały pokryty czarnym dymem. Na ramieniu krwawiła mu rana.

Ulisses wybiegł do hangaru, gdzie znajdowało się jego biuro i mieszkanie. Dwa sterowce zakotwiczone były na grubych, plastikowych kablach. Z ciemności na górze wyleciał karzeł o wielkich skrzydłach i wystrzelił lotkę w kierunku Ulissesa. Odskoczył do tyłu, i może dzięki temu,

mała zatruta strzała wbiła się w piach kilka cali przed jego stopami. Alkunquib uniósł łuk i z zimną krwią wycelował w skrzydlatego stwora, wypuścił strzałę. Poszybowała w górę, przeszła nogę nietoperza i utknęła w brzuchu. Człowiek-nietoperz runął na ziemię o kilka stóp od Ulissesa.

W górnej części hangaru latało jeszcze kilku Dhulhulików, paru przysiadło na sterowcach. Wypuszczali zatrute strzały. Najwidoczniej wszyscy w hangarze zrzucili już bomby. Na dworze aż się roiło od skrzydlatych ludzi, sporadycznie oświetlonych żarówkami. Wylatywali spoza źródeł światła, miotając drewniane lotki, obciążone kamieniami, wypuszczając strzałki lub małe okrągłe bomby z zapalonymi bezpiecznikami.

Eksplozje chwilami oświetlały te sceny.

Wewnątrz, w hangarze i na zewnątrz, na polu, leżały ciała. Większość stanowili obrońcy: Neshgaje, ludzie i koty, lecz Ulisses dostrzegł także wśród trupów i rannych przynajmniej tuzin skórzanych skrzydeł.

Obrócił się i krzyknął do Awiny:

– Na zewnątrz! Drugimi drzwiami!

Wyglądała na zdziwioną; powtórzył rozkaz i wtedy pobiegła do wyjścia. Ponownie wykrzyczał rozkaz dla ludzi-kotów, strzelających do nietoperzy ponad nimi.

– Uciekajcie od sterowców, zanim zajmą się ogniem!

Jak do tej pory mieli szczęście. Żadna z eksplodujących bomb nie zapaliła wodoru w wielkich balonach, gdyby tak się stało, wszyscy w hangarze zginęliby.

Kiedy odwrócił się, doszedł do niego głośny ryk i z pobliskiego hangaru wylała się struga światła. Sterowce, prawdopodobnie dwa – zawsze ustawiali po dwa sterowce w hangarze – zajęły się płomieniami. To oznaczało, że już nic nie uchroni pozostałych hangarów przed ogniem.

Czekał, aż jego ludzie precyzyjnie się przez drzwi i wybiegną przez przepastną dziurę w ścianie frontowej. Niektórym to się nie udało.

Poganiał Wufów, musieli przedostać się przez kilka pomieszczeń, by dotrzeć do drzwi w bocznej ścianie hangaru. Kiedy znaleźli się już na zewnątrz, ustawił ich w szyku bojowym i pomiędzy dwóch hangarów wyszli na otwarty teren lotniska. Następny hangar po prawej z hałasem wybuchnął płomieniami, po sześciu minutach wszystkie sześć budynków wściekle płonęło. Jego cała flota powietrzna została zniszczona.

Nie pozostało nic, tylko zabrać ludzi na otwarty teren. Nie mogli wracać i musieli uciec od światła w ciemności. Dhulhulicy nie wycofali się, latali ponad ich głowami, najwidoczniej z zamiarem wybicia całej załogi sił powietrznych. Żołnierze Ulissesa otoczyli go ze wszystkich stron, a on podniósł tarczę jakiegoś zabitego człowieka i trzymał ponad głową. Kilka strzał uderzyło o dysk obciążony skórą. Strzały i drewniane lotki obciążone kamieniami trafiły też kilku w pobliżu. Nie rzucono w nich bombą, chociaż to byłby najpewniejszy sposób zabicia ich. Wnioskował, że stracili je w początkowej fazie ataku. Możliwe też, że czekali na inne nietoperze.

Po pewnym czasie przesunęli się na granicę ciemności, pod drzewa. Uformowali koncentryczne kręgi i strzelali do tych z ludzi-nietoperzy, którzy zeszli na tyle nisko, iż stanowili właściwy cel.

Daleko na zachodzie, gdzie leżało miasto, odbijało się od chmur jasne światło. To chyba płonęły domy.

Poza latającymi nietoperzami pojawiły się inne niebezpieczeństwa. Podjechał samochód pancerny, wyskoczył z niego człowiek i podbiegł do Ulissesa. Kazał mu zameldować się u oficera w samochodzie. Ulisses zrobił tak, podszedł do Bleehmaga (odpowiednik pułkownika sił zmechanizowanych), który czekał na niego przy otwartych drzwiach. Bleehmag miał na czole głęboką ranę. Światło padało na niego, ukazując dziurę w lewym ramieniu. Jego żołnierze wysiedli z

pojazdu i zaczęli strzelać z kusz drewnianymi bolcami.

– Mam rozkaz od Wielkiego Wezyra, by zabrać ciebie ze strefy zagrożenia – wychylił się i spojrzął w górę na wielkoskrzydłe postacie, migające w ciemnościach i blasku płonącego gazu. – Dwa razy trafili w nasz dach, ale oprócz spowodowania tymczasowej głuchoty nic się nie stało. Wsiadaj!

– Nie mogę zostawić moich ludzi!

– Oj, możesz! – ryknął przez trąbę zniecierpliwiony Neshgaj, może trochę histerycznie.

– To są nie tylko Dhulhulicy! Inne plemiona z Drzewa też nadciągają! To już nie horda, ale ogromna armia; utworzyli front, który przedarł się przez naszą obronę! Na razie ich powstrzymaliśmy, ale długo nie wytrzymamy! Wielki Wezyr twierdzi, że prawdopodobnie chodzi im o ciebie! Miasta nie wezmą, ale mogą zabrać ciebie!

Coś poruszyło się w ciemnościach opodal i wyłonił się następny opancerzony samochód. Podobnie jak pierwszy, przypominał żółwia na kółkach. Wygięty dach wykonany był z trzech warstw grubego ziarnistego drewna, spoczywających na mocnej warstwie plastyku. Boki posiadały podwójne ściany, drzwi i szpary. Mieściło się w środku sześciu łuczników, kierowca i oficer.

Ulisses przykucnął obok drzwi, a łucznicy stanęli dookoła i osłaniali go. Gestem przywołał Awinę, przybiegła,omalże nie kończąc jako cel dla zatrutej strzały. Awina minęła ją o kilka cali i już była przy nim. Jeden z łuczników miał szczęście i trafił do nietoperza, który strzelał do Awiny. Strzała trafiła go w ramię. Nietoperz krzyknął, wypuścił łuk i opadł z trzepotem. Następny grot wbił mu się w żebra, kiedy stopami dotykał już ziemi.

– Wsiadaj! – Ulisses krzyknął do Awiny, potem zwrócił się do Bleezhmaga: – Pojadę jeżeli przetransportujecie też resztę moich ludzi.

– Dobrze – odparł Bleezhmag.

Ulisses dał znak swoim ludziom kryjącym się pod drzewem, i ci, którzy jeszcze trzymali się na nogach pomogli rannym przedostać się przez otwarty teren do samochodów. Albo ludzie-nietoperze wyczerpali cały zapas pocisków, albo poczuli respekt przed łucznikami, w każdym razie nie próbowali zaatakować grupy, chociaż nawet nie osłaniano jej.

Kawalkada wyjechała na drogę z prędkością dwudziestu mil na godzinę. Reflektory nie świeciły tak jasno jak w samochodach z czasów Ulissesa. Spytał Bleezhmaga, dlaczego palą się światła. Będą tylko zwracały uwagę napastników, a tak naprawdę nie były potrzebne, gdyż kierowcy znali drogę dobrze.

– Takie mam rozkazy – odparł Neshgaj. Osunął się na swoim siedzeniu i ciężko oddychał przez usta. Z ran nadal krwawił.

Ulisses stał obok niego na siedzeniu, do niedawna zajmowanym jeszcze przez innego oficera Neshgaja; prawdopodobnie porzucono go gdzieś rannego lub martwego. Po prawej stronie Ulissesa siedział kierowca. Za nim, pośrodku tłoczyło się siedmiu Wufów i Awina. Łucznicy spoglądali w ciemność poprzez szczeliny, noc rozjaśniały smugi światła wozów podążających za nimi

– Nie masz rozkazów? – zdziwił się Ulisses. – Nie wolno ci ich wyłączyć bez rozkazu?

Bleezhmag kiwnął głową. Wtedy Ulisses powiedział.

– Rozkazuję wyłączyć światła. Może już być za późno, ale zrób to.

– Dowodzę korpusem wozów pancernych, a ty jesteś oficerem sił powietrznych – odparł Neshgaj. – Nie masz nade mną władzy.

– Ale jestem pod twoją opieką! – krzyknął Ulisses. – Masz obowiązek dostarczyć mnie do stolicy. Moje życie jest w twoich rękach! Nie wyłączając światła, narażasz mnie! Nie wspominając załogi, za której życie jestem odpowiedzialny!

– Nie mam rozkazów – wymamrotał sennie Bleezhmag i skonał.

Ulisses przemówił do nadajnika. – Tu Komandor Śpiewający Niedźwiedź, mówię w imieniu pułkownika Bleezhmaga, który przekazał mi władzę ze względu na odniesione rany. Wyłączyć światła!

Chwilę później kawalkada toczyła się drogą w zupełnej ciemności. Szlak białął wśród nocy, tak że mogli poruszać się z prędkością piętnastu mil na godzinę. Ulisses miał nadzieję, że dotrą do stolicy nie zaatakowani.

Włączył przycisk, oznaczony symbolem HQ na boku skrzynki. Powodowało to nacisk na spłot nerwowy w roślinnym organizmie i zmianę pasma częstotliwości.

Nie dostał odpowiedzi na kilkakrotne żądania połączenia z Wielkim Wezyrem lub generałem armii. Nawet kiedy przedstawił się, nie uzyskał odpowiedzi. Przełączył się na częstotliwość używaną w samochodach i kazał telefoniście w następnym wozie wysyłać sygnały na HQ. Potem nastroił wszystkie możliwe częstotliwości w nadajniku. Usłyszał wiele rozmów, ale były niezrozumiałe. Próbował jeszcze wtrącić się do niektórych z nadzieją, że jego żądania zostaną przekazane do HQ, ale bez powodzenia.

Kierowca, Neshgaj, wyglądając przez szczelinę, zwrócił się do niego.

– Komandorze! Widzę coś na polu!

Ulisses kazał mu utrzymywać prędkość i spojrział przez szparę. Zobaczył wiele jasnych postaci, zbliżających się szybko przez pola, najwidoczniej z zamiarem przecięcia im drogi. Włączył reflektory i postacie zrobiły się wyraźniejsze. W smugach światła oczy błyszczały im czerwono. Były to dwunożne postacie w leopardzie cętki, z długimi ogonami. Nieśli dzidy i okrągłe przedmioty, z pewnością bomby. Jak ludzie Drzewa zdobyli proch?

Przemówił do nadajnika:

– Wróg, po prawej, około trzydzieści jardów! Naprzód, z pełną prędkością! Jak wejdą na drogę, to przejdźcie po nich.

Pierwszy z biegnących ludzi-leopardów dostał się na drogę. Pojawił się nagle czerwony żar, a potem iskry. Otworzył skrzynkę z ogniem i przyłożył do bezpiecznika bomby. Ogień zatoczył krąg, lecąc w kierunku prowadzącego samochodu. Brzęknął łuk i z prawego przedniego otworu wyleciała strzała. Wróg krzyknął i upadł. Usłyszeli uderzenie o dach, a potem wybuch zakołysał wozem i ogłuszył ich. Jednak bomba odbiła się i spadła na drogę. Samochód nadal jechał.

Podbiegli następni osobnicy, niektórzy z dzidami, inni z otwartymi skrzynkami ognia i z bombami. Oszczepnicy próbowali wcisnąć swoją broń poprzez szpary, a bombardierzy atakowali samochody z boku.

Ugodzeni strzałami włóczynicy padali, a bomby odbiwszy się od dachu wybuchały na drodze, bardziej szkodząc atakującym niż wozom.

Pierwszy samochód minął napastników, którzy zaatakowali pozostałe wozy. Więcej niż połowa sił wroga została zabita lub ranna. Jeden z leopardów, zdesperowany podbiegł i wskoczył na poorany dach ostatniego samochodu. Położył bombę, zeskoczył i został trafiony w plecy. Bomba zniszczyła dwie warstwy i zarysowała trzecią. Pasażerowie stracili słuch na pewien czas, ale byli cali.

Gdy kawalkada wjeżdżała do miasta, płonęło kilka budynków i widać było zniszczenia. Samobójcza grupa ludzi-nietoperzy wleciała do pałacu przez okna na czwartym piętrze (nie były zakratowane, chociaż dwa tygodnie wcześniej wydano taki rozkaz). Zatrutymi strzałami zabili wielu ludzi, ale nie zdołali dotrzeć do władcy i Wielkiego Wezyra. Wszyscy nietoperze z tej grupy, z wyjątkiem dwóch, zginęli.

Ulisses dowiedział się o tym od Shegnifa. Poprosił go:

– Nie zabijaj tych dwóch więźniów. Najwspanialszy. Możemy na torturach wyciągnąć z nich tajemnicę położenia ich miasta-bazy.

– A potem? – spytał Shegnif.

– Potem użyjemy nowej floty powietrznej, znacznie lepszej od pierwszej, aby ich zaatakować i zniszczyć bazę Dhulhulikhów. Zaatakujemy potem samo Drzewo.

Shegnif zdziwił się.

– Nie jesteś wcale przybity tym, co się stało ostatniej nocy?

– Absolutnie – odpowiedział Ulisses. – Tak naprawdę, to wróg nie działał wiele, poza tym przysłużyli się nam. Gdyby nie zniszczyli sterowców, ciężko byłoby otrzymać od ciebie zgodę na budowę lepszych maszyn. Myślę o wiele większych. Będę potrzebował znacznie więcej materiałów i czasu.

Myślał, że Shegnif rozeźli się, ale Wezyr był zadowolony. Przemówił:

– Ta inwazja przekonuje mnie o jednej rzeczy. Masz rację, trzeba uderzyć wroga prosto w serce. Stracimy nasze zasoby i ludzi, broniąc tylko granic. Chociaż nie mam pojęcia, jak możemy unieszkodliwić Drzewo, nawet jeżeli zabijemy jego oczy, Dhulhulikhów. Może ty masz sposób?

Ulisses streścił swoje plany. Shegnif słuchał, kiwając głową, głaszcząc kły, i stukając się w czoło koniuszkiem trąby. W końcu odezwał się:

– Zgadzam się na twój plan, bez zastrzeżeń. Odpieramy ataki Vignoomów i Glassimów, a wyślemy jeszcze więcej wojska. Pojmaliśmy dodatkowo dwudziestu rannych ludzi-nietoperzy.

I znowu Ulisses był bardzo zajęty od świtu do zmroku. Znalazł jednak czas, by zbadać powody kłótni między Thebi a Awiną. Nie widział tej kobiety od czasu wyjścia z biura do hangaru, pojawiła się kilka dni później. Jak opowiadała, wybiegła z hangaru zaraz za Ulissem i przewróciła się. Obudziła się na polu wśród martwych ciał. Rana mocno krwawiła, ale nie była głęboka.

Obie kobiety przyznały, iż kłóciły się o to, którą darzył bardziej uczuciami, i która powinna być na stałe przy nim do posługiwania. Thebi zaatakowała Awinę paznokciami, a ta wyciągnęła nóż.

Ulisses postanowił nie stosować żadnych kar cielesnych, ani więzienia wobec obu kobiet. Określił ich obowiązki i miejsce oraz to, jak mają się zachować na przyszłość. Na to muszą się zgodzić, bo inaczej zostaną odesłane na długo.

Thebi płakała, Awina lamentowała, ale obie obiecały zachowywać się odpowiednio. Pierwszą rzeczą jaką uczynił, było zwołanie jak największej liczby treserów jastrzębi. Byli to wolni ludzie, których jedynym zajęciem była hodowla i szkolenie kilku gatunków ptaków drapieżnych dla ich panów, lubujących się w polowaniach. Zamiast tresować te dzikie ptaki, by polowały na kaczki albo gołębie, nauczą je atakować ludzi-nietoperzy. Więźniów Dhulhulikhów było dość, aby ich wykorzystać, gdy wyleczą się z ran.

Pięć miesięcy później Ulisses przybył na pierwszy pokaz wyników nowej tresury. Młody władca, Wielki Wezyr oraz oficerowie byli tam także obecni. Uwolniono nietoperza o ponurej twarzy; wiedział, co go czeka. Pobiegł w dół pochyłym polem, trzepocząc skrzydłami. Uniósł się powoli. Wzbił się na wysokość około czterdziestu stóp, lecąc pod wiatr. Zatoczył koło i wrócił nad pole. Miał przy sobie krótką włócznię z kamiennym ostrzem. Obiecano mu, że jeżeli zdoła obronić się przed dwoma jastrzębiami, to będzie mu wolno wrócić do domu.

Prawdopodobnie wcale w to nie wierzył. Było by to niemądre ze strony Neshgajów, gdyby pozwolili mu wrócić do swego plemiona z informacjami o nowej broni. Jeżeli zabije pierwsze dwa ptaki, to wypuszczą na niego inne. Nie miał szansy ucieczki.

Postępował jednak tak, jak mu kazano i wrócił nad pole na określonej wysokości tak, aby można

było obserwować walkę. Kiedy szybował w dół, dwóm jastrzębiom zdjęto kapturki i treserzy wyrzucili je w powietrze. Krążyły przez chwilę, aż z ochryplym krzykiem wspięły się ponad człowieka. Uciekał w panice. Oba ptaki runęły w dół jak pierzaste gromy. Uderzyły z hałasem, dobrze słyszonym przez obserwatorów. Zanim to zrobiły, człowiek-nietoperz złożył skrzydła i obrócił się twarzą do nich. Jeden uderzył go w głowę, lecz zginął od noża, jednak nie rozluźnił szponów. Drugi uderzył kilka sekund później, wbijając szpony w brzuch. Skrzydlaty człowiek runął z krzykiem; uderzył o ziemię tak silnie, że złamał nogę i kość jednego skrzydła. Jastrząb, który przeżył nadal targał go za brzuch.

– Oczywiście nie możemy zabrać tresera dla każdego ptaka – rozmawiał Ulisses. – Uczymy je, by przebywały w osobnych klatkach, otwieranych mechanicznie. Nie będą miały kapturów. Wylecą i zaatakują najbliższego człowieka-nietoperza, potem będą dalej atakować.

– Miejmy nadzieję – zadudnił Shegnif. – Nie wierzę za bardzo w skuteczność jastrzębi.

Mimo tego Wielki Wezyr wydawał się zadowolony. Shegnif ukłonił się i zaszalutował trąbą kilka razy w kierunku władcy, którego odwieziono do pałacu misternie rzeźbionym pojazdem. Teraz Shegnif szedł przez chwilę obok Ulissesa, rozmawiając i raz czule dotknął go w nos końcem trąby.

– Naprawdę los się do nas uśmiechnął, kiedy błyskawica obudziła kamiennego boga – wyznał. – Chociaż, niewątpliwie, to Nesh posłał grom.

Uśmiechnął się. Ulisses nie wiedział jeszcze, czy częste odniesienia Wezyra do boga, są wynikiem pobożności czy ironii.

– Nesh „odkamienił” ciebie, abyś był pomocnym dla jego narodu. To właśnie powiedzieli mi kapłani, i nawet ja, Wielki Wezyr Jego Wysokości chylę czoła, kiedy najniższy kapłan przekazuje mi najzwyczajszą prawdę. Tak więc wybrano mnie, abym powiedział ci, że naprawdę masz szczęście. Jesteś jedynym obcym, jedynym nie-Neshgajem, którego zaproszono do przeczytania Księgi Tiznaka. Nawet bardzo niewielu Neshgajów miało ten zaszczyt.

Nazajutrz rano zrozumiał, co miał na myśli Shegnif. Przyszedł do niego kapłan, odziany w kaptur i szaty, szare jak jego skóra. Trzymał różdżkę, z wyrzeźbionym znakiem „X” w złamanym okręgu. Nazywał się Zhisbroom. Był młody, uprzejmy i pokorny, ale wyraził się jasno, że wysoki kapłan wzywa, a nie prosi Ulissesa o stawienie się w świątyni.

Ulisses pojechał na zachodni kraniec miasta, gdzie zaprowadzono go do kamiennego budynku o kwadratowych ścianach i trzech kopułach. Zdziwiły go tak małe rozmiary. Był to sześcian o krawędzi długości dziesięciu stóp i nie znajdowało się we wnętrzu nic oprócz granitowego posągu Nesh na samym środku. Nesh wyglądał jak samiec Neshgaj, chociaż kły miał dłuższe niż normalnie i grubszą trąbę.

Na rogach trójkąta, wewnątrz którego umieszczono posąg Nesh, stało trzech kapłanów, niczym wartownicy.

Zhisbroom przeprowadził mężczyznę obok pierwszego kapłana i stanął. Nacisnął mały kamienny blok i fragment granitowej podłogi przed nim osunął się. Poprowadził Ulissesa w dół granitowymi schodami, oświetlonymi zimnym, roślinnym światłem. Za nimi granitowa płyta zasunęła się, i znaleźli się jakby w grobowcu.

Nie podejrzewał, że pod powierzchnią istnieje jeszcze jedno miasto.

Jego obszar wynosił cztery mile kwadratowe i posiadał cztery poziomy. Nie było zbudowane przez Neshgajów. Nie zabrało mu dużo czasu odgadnięcie tego, nawet bez podpowiedzi ze strony kapłanów. Ulisses uświadomił sobie, że jest wewnątrz jakiegoś bardzo starożytnego muzeum.

– Kto zbudował to miasto? – zapytał.

– Nie wiemy – odparł kapłan. – Są dowody, że było niegdyś zamieszkiwane przez ludzi,

wywodzących się od psów czy jakiegoś gatunku kotów. Nie sądzimy jednak, że to oni je zbudowali. Znaleźli to miejsce i żyli tu, nie niszcząc przedmiotów, które widzisz. A potem zniknęli, mogli zostać zabici lub z jakiegoś powodu odeszli. Są ludzie na Drzewie, którzy przypominają tych dawnych mieszkańców. Mogą to być ich potomkowie.

– Wtedy, my Neshgaje, byliśmy małym i prymitywnym plemieniem. Kiedy dotarliśmy tutaj, niektórzy twierdzą, że jako uciekinierzy z Drzewa, znaleźliśmy wiele rzeczy, które nam się przydały. Na przykład: układy roślinne, baterie i silniki wyrosły z nasion, przechowywanych w pojemnikach. Jest także wiele przedmiotów, których przeznaczenia nie byliśmy w stanie określić. Gdybyśmy potrafili, moglibyśmy zniszczyć Drzewo. Może właśnie dlatego tak zależy Drzewu na pokonaniu nas. Chce nas zniszczyć, zanim odkryjemy, jak je zabić. – Przerwał i podjął na nowo. – I jest jeszcze Księga Tiznaka.

– Tiznaka?

– Był największym z naszych kapłanów. Kiedyś odkrył, jak czytać Księgę. Chodź za mną. Zabiorę cię do Księgi, jak mi kazano. I do Kuushmurzha, wysokiego kapłana.

Kuushmurzh był bardzo starym i pomarszczonym Neshgajem, w grubych szklach na oczach i o roztrzęsionych dłoniach. Pobłogosławił Ulissesa nie wstając z wielkiego krzesła, wyściełanego licznymi poduszkami. Powiedział, że spotka się z nim ponownie, gdy Ulisses przeczyta Księgę. To znaczy, jeżeli będzie ją potrafił przeczytać.

Ulisses podążył za młodym kapłanem. Mijali wystawę za wystawą, wszystkie, chronione przezroczystymi ściankami z jakiegoś materiału, aż weszli do niszy, pustej – z wyjątkiem metalowej płyty, przytwierdzonej do metalowej platformy.

Zatrzymał się przed nią i odezwał.

– Dziwne. Czy wiesz co tu kiedyś było?

– Zdaje się, że TY – wyjaśnił Zhishbruum. – Przynajmniej według legendy. Platforma była pusta, kiedy my, Neshgajowie, znaleźliśmy to miejsce.

Ulissesowi szybciej zabiło serce, oblał go zimny ppt. Schylił się, by spojrzeć na czarny napis na złotym metalu. W pokoju było tak cicho, że słyszał krew szumiącą mu w uszach. Światło bez źródła było ciężkie jak pokrywa Grobowca Wieków.

Litery wyglądały na przekształcone z alfabetu łacińskiego lub Międzynarodowego Alfabetu Fonetycznego, który oparto na wielu abecadłach. Badał litery, a kapłan stał za nim, cierpliwie jak słoń, jego przodek. Jeżeli założy podobieństwo tych liter do Alfabetu Fonetycznego, to wówczas będzie w stanie je rozszyfrować. Było trzydzieści linii i z pewnością potrafił rozszyfrować niektóre słowa, bez względu na to, jak bardzo język się zmienił.

Oczywiście – mówił do siebie – ten język nie ma nic wspólnego z angielskim. Nie miał prawa wierzyć, że nadal znajduje się w Ameryce Północnej. Mógł zostać przeniesiony do Euroazji lub Afryki i ten język mógł wywodzić się z dowolnego języka spośród tysięcy języków z jego czasów.

Jednak arabskie cyfry nie powinny były się zmienić. A tutaj nie było nic podobnego z wyjątkiem jedynek; lecz to także mogło być L. Może cyfry z jakiegoś powodu zostały zapisane słownie.

„Čuziz Zine Nea”. To były jedyne wielkie litery. Czy mogły znaczyć Ulisses Śpiewający Niedźwiedź? A po angielsku Ulisses Singing Bear? Początkowy fonem U w Ulissiesie z jakiegoś powodu stał się zwartoszczelinowy, może przez następującą po nim na końcu wyrazu głoskę zwartoszczelinową? Może w niektórych przypadkach końcowa głoska wyrazu, poprzedzająca bezpośrednio pierwszą głoskę następnego wyrazu, wpływała na nią, jeżeli mieściła się w pewnej kategorii. Tak jak Zine mogło być kiedyś Singing, a poprzedzone dźwięczną głoską, udźwięczniło się. Końcówka „ing” przeszła w „en”, a potem „n” przyczyniło się do nosalizacji „e”, lecz w trakcie

ewolucji języka wpływało na wszystkie wyrazy następujące po nim, które zaczynały się fonemem dwuwar-gowym lub wargowo-zębowym. Tak więc, mimo że, końcowe „n” z Zine zniknęło i Bear (niegdyś Ber, potem Be) zmienił się w Ne, kiedy następowało po nim słowo kończące się na m lub n.

Rozważał tę teorię, ... aż nagle gwizdnął i mruknął pod nosem. – Zdaje się, że mam!

Te słowa miały jakiś sens. Litery pochodziły z alfabetu fonetycznego lub czegoś podobnego. Ten język to był angielski. Zmienił się jednak w coś analogicznego do struktury języków celtyckich z jego czasów. Były tu słowa, których w ogóle nie potrafił przetłumaczyć albo tylko się domyślał ich znaczenia. W końcu nowe słowa pojawiały się prawie co roku, a niektóre zostawały na stałe, tę możliwość też trzeba brać pod uwagę.

Ale to było to. TUTAJ ULISSES ŚPIEWAJĄCY NIEDŹWIEDŹ..., SŁYNNY SKAMIENIAŁY CZŁOWIEK, NAGLE... W NIEGO... STRUMIEŃ MOLEKUŁ PODCZAS NAUKOWEGO EKSPERYMENTU W SYRAĆUSE W NOWYM JORKU, DAWNEMU NARODOWI STANÓW ZJEDNOCZONYCH AMERYKI. STAN SKAMIENIENIA OD...

Data była dla niego niezrozumiała. Z jakiegoś powodu nie użyto cyfr arabskich; jednak data musiała odpowiadać rokowi 1985. Data otwarcia wystawy także była niezrozumiała.

Nie miało znaczenia, czy był rok 6985 czy też 50 000, chyba ta pierwsza data była bardziej prawdopodobna. Po pięćdziesięciu tysiącach lat język stałby się zupełnie niezrozumiały.

To nie miało znaczenia. Najważniejsze, że kiedyś siedział na tym metalowym czy plastikowym postumencie z doczepioną tabliczką, a zwiedzający, może miliony ich, przechodzili obok i czytali te słowa na różne sposoby, tak jak się zmieniał język, spoglądali na nieruchomego z przestachem, a także z rozbawieniem, gdyż ludzie nie potrafią powstrzymać się od docinków nawet w obliczu śmierci. Gdyby wiedzieli, że jeszcze będzie żył, gdy oni zamienią się w proch po tysiakkroć, spoglądaliby nawet z zazdrością.

Zastanawiał się, co się z nim działo. Czy ktoś go ukradł? A może wraz z postumentem umieszczono go najpierw gdzie indziej, a potem tutaj przeniesiono? Czy w drodze oddzielono go od postumentu? Kto wie, co się wydarzyło? To działo się tak dawno temu, że na zawsze pozostanie tajemnicą.

Wyprostował się i Zhishbroom poszedł do przodu. Przeszli wiele korytarzy, aż w końcu Neshgaj stanął przed pustą ścianą. Wymówił jedno słowo i ściana zaczęła topnieć i rozmazywać się, aż powstało przejście. Ulisses podążył za olbrzymem do małego pomieszczenia, ukształtowanego jak wnętrze piłki. Ściany pokrywała srebrzysta, połyskująca substancja, pośrodku pokoju zawieszony jakby w powietrzu znajdował się srebrny dysk. Zhishbroom wziął Ulissesem za rękę i podprowadził go do dysku. Przedmiot wisiał przed nim, odbijając jego twarz.

Nie odzwierciedlał jednak postaci Zhishbrooma, który stał za Ulissesem.

– Ja nic nie mogę przeczytać w Księdze – smutno wyznał Neshgaj.

Po chwili dodał:

– Zawołaj, kiedy skończysz. Drzwi się otworzą. Zaprowadzę cię wtedy do Kuushmurzha, powiesz mu, co przeczytałeś.

Ulisses nie słyszał, jak Neshgaj odszedł. Nadal wpatrywał się w swoje odbicie, aż zniknęło, a raczej wyparowało. Jego ciało, warstwa po warstwie ginęło, stanęły przed nim same kości, one też zniknęły, osunęły się w nicość. Pozostał sam dysk.

Zrobił krok do przodu.

Pojawiały się przed nim rozmaite kształty, spowite jakby w niewidzialnej mgle, która topniała od słońca, przychodzącego razem z nim.

Szedł naprzód, z wyciągniętą ręką, lecz niczego nie mógł dotknąć. Przeszedł przez wielkie

drzewo, pokonał ciemność i wyszedł na drugą stronę. Kobieta, piękna brązowa kobieta, ubrana jedynie w kolczyki w uszach i nosie, pierścionki i koraliki, z połową ciała pomalowaną we wzory, przeszła przez niego. Poruszała się szybko, jakby na przyspieszonym filmie.

Przez chwilę wydawało się, że ktoś jeszcze zwiększył prędkość filmu. Potem zwolnił i Ulisses stał teraz przed innym, gigantycznym drzewem w świetle księżyca. Księżyc w pełni był tym samym, który znał sprzed skamienienia. Drzewo trzykrotnie przerastało największą kalifornijską sekwoję. Jego podstawa kryła kilka wejść, z których padało delikatne światło. Przez park pełen studni przeszedł młodzieniec, mniej więcej szesnastoletni, przyozdobiony był wstążkami i frędzlami w gęstych włosach, wokół uszu, palców rąk i nóg i innych części ciała; chłopiec wszedł do drzewa. Ulisses pospieszył za nim, schodami w górę. Nie rozumiał, jak mógł nimi iść, jednocześnie nie dotykając schodów, ani jak jego ręka mogła przejść przez młodzieńca, kiedy spróbował go dotknąć.

Chłopiec mieszkał we wnętrzu drzewa, z dwunastoma innymi. Mieszkania, a raczej cele w drzewie, posiadały nieliczne ozdoby i sprzęty. Stało tam łóżko z czegoś mchopodobnego, stoły - nie więcej niż sześć cali nad podłogą, mały piec, trochę garnków, patelni i zastawa stołowa. W rogu znajdowała się skrzynka, pomalowana przez jakiegoś malarza amatora. Mieściła jedzenie i płyny. To było wszystko.

Opuścił drzewo i powędrował parkiem, który zaczął niknąć. Miał poczucie mijania czasu. Długiego czasu. Nadal trwała noc. Księżyc się zmieniał. Najwyraźniej teraz posiadał atmosferę i morza, ale jeszcze nie wyglądał na w pełni ukształtowaną planetę. Drzewa, znacznie większe niż sekwoje, rosły na całym terenie, który Ulisses przemierzał, niczym duch. Miały przeolbrzymie pnie i masywne gałęzie, rozłożone promieniście, z których wyrastały w dół pionowe podpory, by zaryć się ostatecznie w ziemi. Były to znacznie pomniejszone wersje znanego mu Drzewa. Tworzyły małe miasta, które dostarczały mieszkańcom wszelkiego potrzebnego pożywienia, oprócz mięsa.

Istniały jeszcze drzewa zawierające eksperymentalne laboratoria. Kryły koty i psy o znacznie powiększonych mózgowiach, niż u zwierząt z jego czasów. Były też małpy, które zgubiły większość włosów i ogon, chodziły wyprostowane. I jeszcze wiele innych zwierząt, najwidoczniej mutantów genetycznych.

Nagle świat zaczął jeszcze szybciej wirować i Ulisses, nie wiedząc jak, znalazł się na Księżycu. Brązowa Ziemia wisiała blisko horyzontu. Mimo masy chmur rozpoznał wschodni kraniec Azji.

Księżycowy krajobraz był czysty i łagodny. Rosły wielkie drzewa i wiele jaskrawych roślin; wśród nich żyły ptaki i małe zwierzęta. Na wschodzie pojawił się nieśmiało świt. Słońce weszło raptownie i oświetliło zachodni stok góry - niegdyś, jak przypuszczał, ściany krateru, który wygładziła erozja, wiatr i wody. A może zmieniały je na wpół boskie siły istot, które dały Księżycowi atmosferę i oceany i przeobraziły kamienne pokłady w ciemną, bogatą glebę.

Boskie istoty musiały także przyspieszyć obroty Księżyca, gdyż Słońce wznosiło się szybko i zaszło w przybliżeniu po dwunastu godzinach. Wtedy pomknął przez parkową krainę, którą porastały drzewa, zamieszkałe przez ludzi i liczne, najróżniejsze, myślące gatunki. Wszystkie nieludzkie istoty, z wyjątkiem jednej, pochodziły od ziemskich zwierząt.

Wyjątek stanowiło wysokie, długonogie, różowawe stworzenie, o kręconych włosach, od szyi w górę, pod pachami, w okolicy ogona i z tyłu nóg. Twarz miało by ludzką, gdyby nie mięsista narośl, jak u złotokreta, zdobiąca czubek jego zadartego nosa. Zwierząt tych zobaczył wiele, najwidoczniej były gośćmi z jakiejś odległej gwiazdy. Jeżeli miały statek kosmiczny, to nie znajdował się w zasięgu jego wzroku.

Ulisses ciągle szybował, jak duch ponad powierzchnią księżyca, aż niewidocznie i lekko jak zefir wleciał do laboratorium ukrytego w drzewie. Tutaj zobaczył ludzi i nieludzi obserwujących

eksperyment. Wewnątrz przezroczystego, plastikowego sześcianu tkwiła nieruchoma postać. Na niej skupiały się wielokolorowe promienie, skierowane z urządzenia, niczym karabin laserowy. Laser wylewał z siebie energię, która penetrowała ściany sześcianu i rozbiła się o nieruchomą postać.

Rozpoznał ją. To był on sam.

Najprawdopodobniej naukowcy starali się pobudzić naturalny ruch jego atomów.

Wiedział, jaki odniosą efekt.

Ale co robił na księżycu? Czy pożyczono go naukowcom z powodu, którego nigdy nie pozna? Skoro tak, to przetransportowano go z powrotem na Ziemię, chociaż to mogło zdarzyć się tysiąc lat później.

Tak samo raptownie jak opuścił Ziemię, na nią powrócił. Wszystko, nie tylko przestrzeń, uległo przemianom, minęło też wiele czasu.

Ziemia była spustoszona. Okrężały ją wściekłe wiatry. Polarne czapy stopniały, trzęsienia ziemi, wybuchy wulkanów oraz miazdzące masy morskie zmieniły ląd, który jeszcze pozostał.

Jak wyjaśnić to, co się stało? Co spowodowało tą całkowitą masakrę? Może powodem były wielkie, świetliste łzy, pokrywające poparzoną Ziemię, które przedarły się przez dym. Nie, nikt tego nie mógł wytłumaczyć. Dymy zniknęły, a powietrze zrobiło się znowu czyste, ciszę mąciły tylko potężne burze piaskowe. Pokazały się teraz małe grupki istot rozumnych i zwierząt, które kryły się pod ziemią. Siali ziarno i uprawiali kawałki gruntu. Sadzili drzewka, które przetrwały pod ziemią.

Łzy znowu się pojawiły, unosiły się chwilę ponad koloniami. Tylko jedna spośród kilku podjęła działanie. Wysłała kilka wiązek energii, które spaliły małe drzewo, zamieszkałe przez czterdziestu ocalałych „homo sapiens”.

Inne stworzenia rozumne: ludzie-koty, ludzie-psy, ludzie-leopardy, ludzie-niedźwiedzie i ludzie-słonie nie ponieśli strat. Najwidoczniej ktoś, kto zesłał łzy – chyba że one same były niezależne – chciał zniszczyć tylko homo sapiens.

Ludzie-nietoperze także należeli do tego gatunku i ich też wymordowano.

Niewolnicy Neshgajów i Vroomowie nie byli ludźmi. Pochodzili od mutantów małp. To wyjaśniało, dlaczego nie ucierpieli podczas inwazji łez.

Dalej dryfował ponad powierzchnią Ziemi. Czas prześlizgiwał się obok albo to on prześlizgiwał się po Czasie. Każdy większy masyw lądowy posiadał teraz jedno tylko drzewo. Wszystkie drzewa na każdym kontynencie przeobraziły się, połączyły i stały jednym. Rosły i rosły. Nadejdzie czas, kiedy Drzewo pokryje cały kontynent. Tylko tereny nadmorskie zostały wolne, gdyż słona woda hamowała wzrost. Ale Drzewo przeobrazi się, aby pokonać tę zaporę. I wtedy wszystkie kontynentalne drzewa połączą się, jednocząc swoją indywidualność pewnym roślinnym systemem, którego Ulisses nie rozumiał. Będzie posiadać jeden mózg, jedną osobowość, jedno ciało. I zostanie panem planety. Na wieki wieków. Amen.

Chyba, że Neshgaje i kamienny bóg pokonają je.

Wydało mu się, że wychodzi tyłem z dysku.

Potem, rozmawiając z wielkim kapłanem, sformułował swoją teorię co do Księgi Tiznaka. Kuushmurzh miał teologiczne wytłumaczenie dla tych dziwnych rzeczy, które pokazywały się czytającym Księgę. Nesh dyktował jej zawartość według tego, co, jego zdaniem, dana osoba powinna w księdze znaleźć. Ale wysoki kapłan przyznał, że jego wytłumaczenie może być błędne. To nie dogmat.

Ulisses myślał, że ktokolwiek zrobił dysk, umieścił w nim zapis przeszłości. Zapis ten nie był prawdopodobnie dokonany, kiedy opisywane w nim wydarzenia pojawiały się. Jedną z osobliwości Księgi było to, że zawierała jedynie „przełomowe momenty”. To znaczy, osobiste pragnienia każdego

czytającego przyzywały w księdze te wydarzenia, które interesowały czytelnika. To tak samo, jak wybieranie jakiejś książki historycznej w bibliotece. Księga, penetrując psychikę, wykrywała to, czego czytelnik chciał się dowiedzieć i wtedy dostarczała informacji.

– I to też może być prawdą – stwierdził wysoki kapłan. Ciemnoniebieskimi oczyma spojrzął na Ulissego spod kapelusza o trzech rogach. – Twoje wyjaśnienia pasują dobrze do faktów, a zarazem nie kolidują w ogóle z oficjalną teorią. W końcu, ktokolwiek wykonał dysk, zrobił to na polecenie Neshy.

Ulisses skinął głową. Nie było sensu temu zaprzeczać.

– Czy teraz rozumiesz, że Drzewo jest istotą myślącą i zarazem naszym wrogiem? – spytał Kuushmurzh.

– Tak mi powiedziała Księga.

Kapłan uśmiechnął się:

– Ale ty niekoniecznie wierzysz Księdze?

Ulisses pomyślał, że lepiej nie odpowiadać. Mógł powiedzieć, że większość zawartości Księgi była prawdziwa, ale że dysk wykonały istoty rozumne, i każdy osobnik z krwi i kości może popełnić błąd. Lecz Kapłan odpowiedziałby tylko, że dysk nie może się mylić i niemożliwe, że Nesh – jedyny bóg – zrobił błąd.

Kiedy wrócił na lotnisko, zmienił swój stosunek do Thebi. Nie byk już potencjalną matką jego dzieci. Wątpił, czy ona lub jakaś inna niewolnica, czy też kobieta Vroomawów, mogła z nim zająć w ciążę. Chociaż wyglądała na nieznacznie przekształconą formę homo sapiens, miała prawdopodobnie inny garnitur chromosomów. Pozostawała jałowa, jak długo był jej jedynym partnerem. Udowodnił to upływ czasu.

Oczywiście możliwe, że była bezpłodna bez względu na partnera. Lecz Lusha też z nim była dość długo, by mógł ją zapłodnić. Jednak możliwe, że ona też była bezpłodna. Albo, że obie kobiety w tajemnicy przed nim stosowały metodę kontroli urodzeń. To nie wydawało się prawdopodobne, gdyż nigdy o tym nie słyszał wśród ludów, jakie napotkał. Płodność była teraz czczona tak, jak w pierwszym Paleolicie na Ziemi.

W miesiąc po jego pierwszej wizycie w świątyni Neshy, znalazł trochę czasu na następne. Chociaż nie dostał pozwolenia na czytanie Księgi Tiznak, to mógł badać podziemne miasto, a raczej muzeum, jak o nim myślał. Znalazł wiele przedmiotów, których przeznaczenia się domyślił, chociaż dużo było bezużytecznych, gdyż nie wiedział, jak je zasilać. Znalazł urządzenie, które nie zmieniło się na tyle od tego, jakie znał, by nie mógł go rozpoznać. Pobrał próbki tkanki ze swojej skóry i od kilku niewolnic, i umieścił je w urządzeniu kojarzącym. Tkanki niewolnic ułożone obok jego własnych, robiły się czerwone. Nie mógł z nimi mieć potomstwa.

I to wszystko. Odepchnął maszynę z uczuciem rozczarowania. Jednak, gdzieś w środku, czuł rodzące się uniesienie. Oddalił to dobre uczucie. Musiał już iść. Jeżeli pozwoli mu rozwinąć się i umocnić, będzie cierpiał jak winny.

Ale dlaczego? – powiedział do siebie. Nic na to nie mógł poradzić, że nie mógł stać się ojcem nowego rodzaju ludzkiego. Nie ma też tragedii, że Ziemia nie zazna na nowo ludzkości. Latające łyzy postanowiły eksterminować homo sapiens, lecz pozostawiły w spokoju inne myślące istoty. Nie dlatego, że potencjalnie miały w sobie mniej zła. Nie uczyniły jednak na Ziemi nic złego, jak dotychczas, i dlatego zostały oszczędzone.

Dlaczego miałby odnowić swoją zgubną i niszczącą rasę?

A jednak czuł się winnym, że nie był w stanie tego zrobić.

Czuł się także winnym z tego powodu, że wołał Awinę od Thebi czy innych z jej rasy.

To wyjaśniało, dlaczego trzymał Thebi jako osobistą służącą i jeszcze dodał inną niewolnicę. Nadal nazywał je ludźmi, którymi w pewien sposób były. Nową niewolnicą była złotoskóra dziewczyna, imieniem Phanus. Była tak samo łysa jak inni, lecz brodę miała mniej wystającą i ładne rysy.

Awina nic nie powiedziała, kiedy Phanus zgłosiła się do jego biura. Rzuciła Ulissesowi długie spojrzenie, które wiele mu powiedziało i sprawiło, że poczuł się winny. Aby to zrehabilitować, poddał obie kobiety pod bezpośrednie zwierzchnictwo A winy. Mógł się domyślać, że przez to ich życie stanie się jeżeli nie piekłem, to przynajmniej od czasu do czasu bardzo nieprzyjemne. Jednak zbyt zajmowała go jego flota powietrzna, aby długo takie rzeczy zauważać.

Nadszedł czas, kiedy pierwszy sterowiec był gotów. Wielka, srebrna konstrukcja miała dwanaście mocnych silników w sześciu kadłubach i mogła unieść wielu ludzi lub wiele bomb, albo też ładunek obu. Wówczas, po ustawicznie powtarzanych żądaniach Ulissesa, kłótnia między flotą a armią została zażegnana. Obie strony twierdziły, iż statki powietrzne i ich załogi powinny podlegać ich władzy. W wyniku tego Ulissesowi ograniczano dostęp do materiałów i przeszkadzano w decyzjach. W końcu wpadł do biura Wielkiego Wezyra i zażądał stworzenia oddzielnej formacji. Natychmiast.

Shegnif zgodził się i uczynił Ulissesa admirałem floty, chociaż nie wodzem sił powietrznych. To stanowisko dał swojemu siostrzeńcowi, Graushpazowi. Ulisses nie cierpiał go, ale nie mógł na to nic poradzić. Poza tym, wszystkich poruszyło jego śledztwo co do dostaw, jakie otrzymywał, ich kosztów i jakości. Shegnif próbował zataić odkrycia Ulissesa, lecz on przekazał raport władcy Zhigbruwzhowi.

Graushpaz, siostrzeniec, sprzedawał siłom powietrznym gorsze towary.

Co więcej, oficer-człowiek miał odwagę przyjść do Ulissesa i powiedzieć mu, że ludzie z lotnictwa byli bliscy buntu z powodu złego jedzenia, jakie dostawali. Żywność sprzedawał im Graushpaz.

Ulisses zgodził się wstawić za siostrzeńcem pod warunkiem, że skończy się prywatnie i zwłoki w dostawach.

Shegnif upierał się, aby Graushpaz nadal był wodzem sił powietrznych. W innym razie siostrzeniec będzie musiał popełnić samobójstwo, a on, Shegnif, popadnie w niełaskę.

– Wszyscy wiedzą, że to on jest winny – zdenerwował się Ulisses.

– Wszyscy wiedzą, zgoda – przytaknęła Shegnif. – Ale jeżeli nie został publicznie oskarżony, to nie musi popełniać samobójstwa.

– Nie będę więcej znosił jego oszustw – obstawał przy swoim Ulisses. – I upieram się, aby nie leciał z nami, kiedy ruszymy na Dhulhulikhów!

– Musi z wami lecieć – powiedział Shegnif. – To jest jedyny sposób na odkupienie win. Musi dokonać czegoś niezwykłego w czasie wojny.

Ulisses zostawił w spokoju tę całą sprawę.

Nie uśmiechał się jednak, kiedy Shegnif kontynuował politykę przeładowywania sterowców Neshgajami-oficerami. Mimo, że Ulisses zbliżył się do władcy i wysokiego kapłana, Wielki Wezyr nie ufał mu całkowicie. Jego postawa była, zrozumiała w obliczu rewolty, która miała miejsce dziesięć dni wcześniej w pogranicznym miasteczku. Żołnierze Vroomawie odmówili wykonania rozkazów i zamieszkania wraz z niewolnikami. Najwidoczniej według nich wspólne zakwaterowanie było zniewagą. Kiedy Neshgaje sprowadzili innych żołnierzy, aby stłumić bunt, ci stanęli po stronie rebeliantów. Wówczas skierowano neshgajskich żołnierzy i zaczęła się walka. Niewolnicy wykorzystali to i zmasakrowali niektórych ze swych panów, Neshgajów.

Wiadomość o tym rozniosła się wśród całej ludności. Zapanowało takie napięcie i wprowadzono takie środki ostrożności, że prace Ulissesa zostały poważnie opóźnione.

Sytuacja nie zmieniła się, kiedy armia trzystu ludzi-nietoperzy najechała na lotnisko. Tym razem wykryli ich zwiadowcy, których Ulisses wysłał na brzeg Drzewa. Miał okazję wykorzystać pięć ze swoich sterowców, wraz z ładunkiem łuczników, grenadierów i jastrzębi. Ptaki zasmakowały krwi, a załogi odkryły jak bardzo pomagają im ćwiczenia i dyscyplina. Trochę ucierpieli, lecz wszystkie statki powróciły.

Zasługi Ulissesa rosły. Dzięki tej potyczce pokazano ludziom, że muszą jednak walczyć po stronie Neshgajów, a nie przeciwko nim – przynajmniej na razie. Nietoperze zdradzili się, że chcą wymordować zarówno Neshgajów, jak i ich sprzymierzeńców, ludzi.

Był chłodny poranek, niebo czyste, od morza z prędkością sześciu mil na godzinę wiała bryza, kiedy pierwszy z dziesięciu sterowców wzniósł się w powietrze. Statek flagowy „Veezhgwaph” (Błękitny Duch) miał czterysta trzydzieści stóp długości i sześćdziesiąt stóp średnicy. Powłoka była srebrna, a na dziobie namalowano na niebiesko odrażającego demona. Gondola kontrolna wisiała pod dziobem, trzy kadłuby z silnikami podwieszono z trzech stron. Wydrążone wewnątrz statku zawierało szkielet, wykonany z bardzo lekkich łusek roślinnych, złączonych razem, kil, główny pomost, pomosty boczne, luki oraz dziesięć gigantycznych balonów. Na wierzchu powłoki znajdowały się kokpity dla łuczników, grenadierów i bombardierów oraz dla treserów jastrzębi. Wzdłuż każdego boku, pośrodku, usytuowano kabiny dla strzelców. Pozostałe otwory stanowiły wyjście dla strzał, bomb i ptaków. Konstrukcja ogona kryła kilkanaście kokpitów, były tam też w spodzie otwory dla ptaszników. Zrobiono także luki dla bomb i wypuszczania kotwic i bosaków.

Ulisses stał na mostku, niższym pokładzie gondoli kontrolnej, za sternikiem. W gondoli byli także radiooperatorzy, nawigatorzy, oficerowie odpowiedzialni za przekazywanie rozkazów do różnych części statku oraz kilku łuczników. Gdyby nie wepchnęli mu tyłu Neshgajów, mieliby na mostku więcej miejsca.

Przeszedł przez tłum na tył gondoli i wyjrzał. Pozostałe statki były daleko w tyle, lecz zbliżały się szybko. Ostatni połyskiwał tylko srebrzyście na tle nieba; dogoni ich za godzinę i wtedy podążą w szyku.

Piękno wielkich powietrznych statków i myśl, że są jego dziełem, wywołały ból w piersi. Był z nich bardzo dumny, szczególnie teraz, gdy wiedział, że są jeszcze cenniejsze, niż z początku sądził. Ludzie--nietoperze mogli teoretycznie wzlecieć ponad sterowce i zrzucić na nie bomby. Ale teraz nie byliby w stanie tego dokonać, jeżeli statki nie zeszyłyby na niższą wysokość. Sterowce wznosiły się bowiem i jeszcze będą się wznosić, aż osiągną pułap trzynastu tysięcy stóp. Tam powietrze było zbyt rozrzedzone dla nietoperzy. Nie będą mogły zbliżyć się do sterowców, dopóki te nie znajdą się nad swoim celem.

Ich przeznaczeniem był środek Drzewa, jeżeli mieli ufać swoim informatorom. Ból wspaniale niweczył kłamstwa, a ludzie-nietoperze wzięci do niewoli podczas drugiego i pierwszego najazdu, poddani zostali teraz takim torturom, jakie tylko ich kruche ciała były w stanie znieść. Dwóch nie poddało się i zmarło, ale inni w końcu powiedzieli i przysięgali, że to prawda.

Na wyprawę zabrano także ludzi-nietoperzy, tych, którzy jeszcze mogli mówić, aby zidentyfikowali znaki i ostatecznie zlokalizowali miasto-bazę.

Poniżej, aż po horyzont, rozciągał się gąszcz Drzewa, płatanina gałęzi, refleksów słońca, jasnych kolorów krzewów i kwiatów. Raz z gęstej, zielonej dżungli uniosła się blad różowa chmura. Było to ogromne stado ptaków, które odleciały z winnej latorośli, zawieszanej między dwiema gałęziami. Różowa chmura minęła kilka pni i zniknęła w zaroślach.

Ulisses odwrócił się i zobaczył Awinę, jak schodzi po drabinie z górnego pokładu gondoli. Po wypoczęciu była piękna jak śpiąca syjamska kotka. Kiedy się poruszała, stanowiła dla oka tak miły widok jak wiatr, gdyby go można zobaczyć. Teraz, gdy Thebi i Phanus nie było z nimi i tylko ona zajmowała się osobistymi potrzebami pana, cała rozpływała się w uśmiechach. Chciał poprosić ją, aby nie leciała z nim, ale rozmyślił się. Wiedział, że ich szansę na powrót są jak dwadzieścia do osiemdziesięciu, jeżeli w ogóle są jakieś. Zraniło by ją, gdyby musiała zostać.

Miała na sobie gogle, które Ulisses zamówił jako część umundurowania lotniczego. Nie będą za często potrzebne, ale podobały mu się. Nadawały szczególny wyraz ludziom na podniebnych statkach. Na ich widok czuł nostalgiczne ukłucie. Niegdyś jego konikiem było lotnictwo z pierwszej wojny światowej.

Na szyi Awiny wisiał błękitny krzyż maltański. Jej talię opasywał pas z mocnym kamiennym nożem. To uzupełniało jej umundurowanie.

Spojrzała na niego, aby upewnić się, czy nie przeszkadza w niczym i odezwała się:

– Mój panie, to znacznie lepsze niż wspinaczka po Drzewie i pływanie na tratwach wśród snoligosterów i hiposzczurów!

– To prawda – uśmiechnął się. – Lecz nie zapominaj, że będziemy musieli do domu wracać pieszo.

I cieszyć się, że w ogóle będziemy mogli, pomyślał.

Awina przysunęła się, aż potarła o niego biodrem, a ramię dotknęło jego ręki. Koniec ogona uderzał go w łydki. W gondoli panował za duży hałas, by usłyszeć jej pomurkiwanie, a nie stała na tyle blisko, by je wyczuł. Jednak był przekonany, że pomrukuje.

Odszedł, to nie czas, by myśleć o niej. Dowodzenie dziesięcioma statkami pochłaniało go całkowicie. Oficerowie i załoga otrzymali takie przeszkolenie, jakie mógł im dać w tak krótkim czasie, jednak nie byli weteranami.

Jak dotąd wszystko szło gładko. Na tej wysokości mieli wiatr od tyłu, który zwiększył ich podstawową prędkość do pięćdziesięciu mil na godzinę. To oznaczało, że na tej wysokości nie mogą zawrócić, nawet gdyby silniki pracowały na pełnych obrotach – cofaliby się. Lecz teraz mogli osiągnąć cel w ciągu ośmiu godzin, zamiast szesnastu, przy bezwietrznych warunkach. Pozwolił odpocząć silnikom i dać popychać się wiatrowi. W tej sytuacji dotrą do miasta Dhulhulikhów na dwie godziny przed zmierzchem. Będą mieli dość czasu, by zrobić, co planował.

Drzewo migotało pod nimi jak wielka szarozielona chmura. Czasami zdarzyła się przerwa, tam gdzie gałęzie nie krzyżowały się i mógł wtedy nieomal dojrzeć dno otchłani. Co za kolos! Świat nigdy przedtem nie znał podobnych w ciągu całych czterech bilionów lat istnienia, aż do -jak obliczał – ostatnich dwudziestu tysięcy lat. I oto rosło. Drzewo. Zniszczenie takiego tworu byłoby grzechem, a raczej katastrofą.

Od czasu do czasu spozstrzegał drobne postacie, o wielkich skrzydłach, to musieli być Dhulhilicy. Wiedzieli, że statki kamiennego boga i Neshgajów lecą do ich miasta. Teraz żadnego z nich nie widział, ale z góry zakładał, że w gęstwinie liści kryją się skrzydlaci pigmeje i obserwują dziesięć srebrnych igieł ponad sobą. Nie musieli też wysyłać kurierów. Na pewno przesłali wiadomości przy pomocy pulsujących membran i kabli samego Drzewa.

Przypuszczał, że już dawno sobie uświadomili, iż celem podróży statków jest miasto-baza. Mieli dość szpiegów i niewątpliwie przekupili niewolników, a może nawet niektórych Neshgajów. Zepsucie i zdrada szły chyba w parze z umiejętnością myślenia. Nie tylko ludzie mieli na to monopol.

Awina znowu do niego przylgnęła. Stracił wątek myśli. Godziny mijały mu szybko, skracane dowodzeniem flotą. Widok zmienił się tylko nieznacznie. Zmienił się układ gałęzi i ich gęstość,

winna latorośl inaczej się pięła, drzewa miały inną wysokość, inne były chmury ptaków: różowe i zielone, purpurowe, szkarłatne, pomarańczowe, żółte – przemykały między pniami i ponad gałęziami.

Słońce doszło do zenitu i Ulisses kazał zredukować prędkość do takiej, aby tylko utrzymać wysokość. Wtedy w gondoli zrobiło się względnie cicho, słychać było tylko szepty podoficerów rozmawiających przez radio i szurania wielkich stóp Neshgajów, świst powietrza przechodzącego im przez płuca, burczenie w brzuchach i kaszel mężczyzn. Ciągłe dochodziło skrzywienie, to poruszały się łuski łączące gondolę z główną ramą.

Słońce schodziło do horyzontu. Ulisses kazał przyprowadzić głównego więźnia. Był to Kstuuvh. Przerażony człowieczek. Ręce miał związane z tyłu, a skrzydła zszyte. Ogień, który znała już jego skóra, odbijał się żarem w oczach.

– Twoje miasto powinno być w zasięgu wzroku – zwrócił się do niego Ulisses. – Wskaż je.

– Ze związanymi rękami? – burknął Kstuuvh.

– Kiwnij głową, kiedy wskażę właściwe miejsce.

Większość pni sięgała dziesięciu tysięcy stóp i na tej wysokości otwierały się wielkim, zielonym parasolem. Około dziesięciu mil przed nimi jeden z pni dochodził prawie do trzynastu tysięcy stóp. Tam powinno kryć się miasto Dhulhulikhow, gdzieś niżej, na licznych gałęziach, wewnątrz pnia i samych gałęzi. Stąd nic nie było widać, oprócz samego drzewa. Ludzie-nietoperze na pewno będą kryć się do ostatniej chwili.

– To wielkie drzewo oznacza miasto? – spytał Ulisses.

– Nie wiem – odparł Kstuuvh.

Graushpaz położył palce swej wielkiej dłoni na kruchej szyi nietoperza i zacisnął je. Twarz Kstuuvha zrobiła się granatowa, oczy mu wyszły na wierzch i wypadł język.

Neshgaj zwolnił uchwyt. Dhulhulikh odkaszlnął i zacharczał, po czym powtórzył:

– Nie wiem.

Ulisses podziwiał go za to, że ponownie się przeciwstawił, mimo iż wiedział, że grozi mu powolna śmierć.

– Jeżeli nie wydobędziemy tego z ciebie, to mamy twoich braciszków, którzy nie są tacy uparci.

– Użyjcie ognia – drwił Kstuuvh.

Ulisses uśmiechnął się. Ludzie-nietoperze już dowiedzieli się, jak łatwopalny jest wodór i ile podjęto ostrożności podczas podróży, by nie zaproszyć ognia.

– Wystarczy igła – zagroził, ale nie zwracał już więcej uwagi na człowieczka, kazał go tylko zabrać na górny pokład. Już dosyć ludzi-nietoperzy opisało na torturach, nie wyłączając Kstuuvha, to drzewo-znak.

Wydał rozkaz uformowania szyku do bombardowania, gęsiego. Zaczęli schodzić. Przez radio floty wydano rozkaz „Na stanowiska bojowe”. Gdy zbliżyli się do wielkiego pnia, statek flagowy zszedł już na wysokość dziesięciu tysięcy stóp. Nadal znajdował się poza zasięgiem ludzi-nietoperzy, którzy nie mogli latać wyżej niż dziewięć tysięcy stóp, i to bez dodatkowego obciążenia. „Błękitny Duch” minął sterburtą kapeluszkowaty wierzchołek drzewa. Jakieś fiołkowo-czerwone ptaki, o ogromnych skrzydłach i drobnych tułowiach oraz mocno owłosione, wydrowate stworzenia wpatrywały się w srebrnego Goliata.

Kilka mil za wierzchołkiem drzewa statek flagowy zrobił zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i minął ponownie pień na wysokości dziewięciu tysięcy stóp od ziemi. Poruszał się z prędkością podstawową, dziesięciu mil na godzinę pod wiatr, który zmalował do piętnastu mil. Nadal nie widzieli ani śladu Dhulhulikhow, chociaż oznak innych form życia było mnóstwo. W ich stronę wystartował klucz latających ssaków, o czarnych skrzydłach, zielonych tułowiach i żółtych głowach. Skręciły i

zanurkowały w oddali w gąszcz.

Miasto było dobrze ukryte. Obserwatorzy na statku nie widzieli nic prócz zwykłej dżungli i rzek.

Jednak Dhulkhulicy wyznali na torturach, że tu żyje ich trzydzieści pięć tysięcy. Przysięgali, że na obronę miasta może ruszyć sześć tysięcy wojowników.

Statek flagowy nadal zapadał się, aż nagle, pchnięty wiatrem, pracującym na jego maszynach, przesunął się nad gałęzią, pięćset stóp poniżej.

Ulisses zakomenderował:

– Bombardierzy, przygotować się!

Spojrzał przez lewą burtę. Pień zdawał się lecieć na nich tak szybko, że aż musiał powstrzymać się od wydania rozkazu ostrego zwrotu. Według jego obliczeń powinni minąć drzewo o sto jardów, zanim wiatr popchnie ich na północ.

Luki bomb zostały otwarte, bombardierzy i wszyscy ludzie czekali, aż pojawi się cel.

Ulisses także czekał. Graushpaz z tyłu przestępował z nogi na nogę. W żołądku mu burczało, machał nerwowo trąbą. Dotknął Ulissesa mokrymi mackami. Ulisses wzdrygnął się.

– Bomby zrzucone – zameldował bombardier. Statek natychmiast uniósł się, kiedy ubyło ciężaru. Ulisses wyjrzał przez burtę. Czarne lzy nadal spadały. Niektóre nie trafiły w gałąź i leciały dalej. Około dziesięciu trafiło. Pokazały się plamy ognia i wielkie kawały drzewa wystrzeliły z czarnego dymu. Były to fragmenty mniejszych drzew, rosnących na Drzewie i coś, co mogło być ciałami. Lecz czy były to zwierzęta czy skrzydlaci ludzie, trudno określić.

Dwa następne statki także zrzuciły ładunek i od razu zatańczyły z ulgą. Wiele bomb uderzyło w to samo miejsce, tworząc wielkie wyrwy w gałęzi. Ale konar w najmniejszym stopniu nie był bliższy pęknięcia. Nawet gdyby bardzo ucierpiał, nie spadłby. Rosło pod nim zbyt dużo pionowych gałęzi. Gdyby nawet zniszczono wszystkie pionowe odrosty, prawdopodobnie dalej by wisiał. Przytrzymały go kompleksy lian, łączące konar z innymi gałęziami. Jednak fragmenty odpadły i otwierały teraz drogę rzece, która wylewała się bokami, spadając na gałąź, trzysta stóp niżej.

Ulisses wiedział, że aby zniszczyć gałąź potrzebna jest cała siła ogniowa floty. Tego nie chciał. Pragnął tylko wytrząsnąć ukrytych Dhulkhulików. Kiedy będzie już wiedział, gdzie są schowani, zaatakuje te miejsca.

Wielki sterowiec zrobił szerokie koło i wszedł w szyk, zaraz po tym jak ostatni statek wypuścił bomby. Wydał rozkaz, który obniżył przód maszyny i skierował ją pod zniszczoną gałąź. Ludzie z kokpitów na wierzchu pojazdu donosili, że woda z potoku leje się na nich. Wówczas statek przeszedł dołem, chwilę później dała się słyszeć seria wybuchów bomb, uderzających o gałąź. Niektóre wykonane były ze zgalaretowanego alkoholu i płonęły wściekle, puszczając w górę kłęby dymu.

Nadal nie było ani śladu Dhulkhulików.

Ulisses dał rozkaz tymczasowego oszczędzania bomb. Ponownie wykonał rundę statkiem flagowym, tym razem lecąc jeszcze niżej, chociaż dalej od pnia. Tutaj wiatr był znacznie słabszy, więc statek mógł manewrować bezpiecznie. Ale odstęp między dwiema gałęziami, gdzie wśliznął się „Błękitny Duch”, wynosił zaledwie dwieście stóp. Nie zrucano bomb, Ulisses nie chciał, aby statek się uniósł, przez co mógł otrzeć się o górną gałąź.

Nagle zaroilo się w powietrzu od ptaków. Wybuchy i wielkie, warkoczące maszyny wypłoszyły wszystkie zwierzęta na wiele mil dookoła. Kilka ptaków uderzyło w śmigła; ich krew poplamiła boki statku. Inne ptaki obijały się o powłokę lub o szyby gondoli kontrolnej.

Ulissesa zbyt pochłaniało sterowanie statkiem, aby szukać na pomarszczonej i pooranej powierzchni Drzewa wejścia do miasta. Kiedy statek zaczął się obracać w dość szerokiej przestrzeni między gałęziami, usłyszał jak Awina głośno westchnęła z wrazenia.

– Jest wejście! – krzyknęła.

– Powoli, trzymać kurs – rzucił sternikowi.

Pod gałęzią, naprzeciw, ziała przepastna dziura. Była owalna i miała około stu stóp szerokości. Jej wnętrze, ocienione przez gałąź, wydawało się puste. Lecz Ulisses był przekonany, że musi się tam tłoczyć wielu ludzi-nietoperzy. Czekają, aż wejście zostanie odkryte. Wtedy zaczną działać. A może ich dowódca zdecydował, że lepiej będzie tylko się bronić.

– Jest następna dziura! – zawołał Graushpaz, wskazując czarny owal w pniu pod gałęzią po prawej stronie.

Statek będzie przechodzić pomiędzy dwiema dziurami, co znaczy, że może zostać zaatakowany z dwóch stron jednocześnie.

Ulisses kazał przekazać tę wiadomość pozostałym sterowcom i nie pozwolił im iść za statkiem flagowym, mieli wzniesć się i krążyć. Ryzykował zejście maszyną w miejsce, gdzie nietoperze znajdują się ponad nią. Mieli teraz bomby, a wystarczy tylko jedna, aby wywalić dziurę w cienkiej powłoce, a druga, żeby zamienić „Błękitnego Ducha” w płonący, spadający wrak.

Przemówił przez radio do bombardierów w bocznych stanowiskach maszyny i w kokpitach na wierzchu. Minutę później, kiedy statek wsunął się między dziury z prędkością dziesięciu mil na godzinę, w kierunku ciemnych otworów pomknęły plujące dymem i ogniem kształty. Kilka uderzyło na zewnątrz wejść, lecz pięć weszło w jeden, a pięć w drugi otwór. Każdy miał głowicę z dziesięcioma funtami plastyku wybuchającego, jeden funt czarnego prochu i detonator z kwasem pikrynowym.

Z otworów buchnął dym. Wyleciały ciała. Statek minął otwory. W chwilę później zaczęli wyskakiwać skrzydlaci ludzie, spadali, trzepotali skrzydłami i próbowali łapać się sterowca. Wylewali się bezustannie.

W tym samym momencie w dziurach dotąd nie zauważonych pojawili się Dhulkhulicy. A na kompleksach lian aż zaroiło się od ludzi-nietoperzy.

Druga salwa rakiet trafiła w najbliższe otwory i powaliła w nich wielu. Jeden ze sterowców, lecąc ponad gigantycznym kompleksem winnej latorośli, spuścił bomby zegarowe w miejsce złączenia lian z gałęzią. Zaczep zerwał się z jednej strony, przez co pnącza zawisły. Po chwili tysiące postaci oderwało się od lian i większość zaczęła lecieć. Głównie były to kobiety i dzieci.

Awina pociągnęła Ulissesa za ramię i wskazała w dół przez sterburkę:

– Tam! – mówiła w podnieceniu. – Tam! Na dole, pod trzecią gałęzią! Wielka dziura!

Ulisses też ją dojrzał, zanim statek, skręcając za pień, zgubił otwór. Była trójkątna i wyglądała na sto jardów szerokości. Z niej, w nie kończących się szeregach, po czterdziestu, wychodzili ludzie-nietoperze. Maszerowali równo, jak na paradzie, odbijali się na brzegu dziury, skakali i skrzydłami kontrolowali upadek, po chwili zaczęli wznosić się. Nie mieli zamiaru doganiać sterowca tak jak inni, lecz lecieli w górę, niczym na spotkanie.

Prawdopodobnie zamierzali wzlecieć jak najwyżej i wtedy ruszyć do ataku.

Ulisses wydał rozkaz ustawienia sterowców w szyku bojowym, trochę powyżej wysokości osiągananej przez Dhulkhulikhów. Manewr trwał piętnaście minut. Statki musiały nabierać wysokości, jednocześnie krążąc, dzięki czemu połączyły się i skierowały w drugą stronę. Potem flota, ze statkiem flagowym o pół długości z przodu, podążyła w kierunku chmury ludzi-nietoperzy, krążących ciągle dookoła pnia, tuż poniżej jego korony.

Wielu z latających ludzi miało bomby. Nietoperze udali się do wioski Wufów, gdzie nauczyli się jak robić proch. Wufowie nie podejrzewali, że są to teraz ich wrogowie.

O ile mu było wiadomo, nietoperze nie wiedzieli nic o rakietach. Miał nadzieję, że to prawda.

Sterówce łatwo by im uległy.

Poza tym nie wydawało się zbyt prawdopodobne, że Dhulkhulicy posiadają duże zapasy bomb. Siarka nie występowała na Drzewie, musieliby sprowadzać ją z południowego wybrzeża lub dalekiej północy. Miał nadzieję, że we wnętrzu Drzewa nie zostały żadne zapasy bomb.

Siły Dhulkhulików wydawały się niewyczerpane. Miejscami, niebo wydawało się od nich aż czarne. Może dane jeńców o sześciu tysiącach wojowników w mieście-bazie były prawdziwe.

Flota i chmara skrzydlatych wojowników zbliżały się do siebie. Statki unosiły się poniżej maksymalnej wysokości, osiągananej przez Dhulkhulików, lecz zanim pierwszy z ludzi-nietoperzy zbliżył się do sterowców, zwiększyły wysokość i znalazły się ponad wrogiem. Ulisses dał rozkaz i rakiety z włączonymi zapalnikami poszybowały z luków w dnie statków. Wybuchły wśród masy skrzydlatych ludzi, raniąc ich drobnymi kamieniami – szrapnelami.

Wybuchy i szrapnele wyeliminowały setki ludzi-nietoperzy. Spadali z trzepotem, uderzając o gałęzie i pnącza albo lecieli dalej w otchłań. Wielu uderzało w tych poniżej, łamiąc im skrzydła lub pozbawiając przytomności, a ci, z kolei, spadali na innych.

Statki przesuwały się z dużą prędkością, pozostawiając hordy z tyłu. Zatoczyły koło i wróciły do nietoperzy, szamoczących się z desperacją, by dostać się na wysokość sterowców. Tym razem jednak zwiększyli odstęp między wojownikami, aby uchronić się od rakiet.

Flota minęła ich, zawróciła i przeleciała ponad nimi. Tym razem oszczędzono rakiety, a z dolnych luków zrzucono kilka bomb, lub katapultowano je z bocznych stanowisk. Została już tylko godzina słońca. Drzewo otoczyła noc.

Po raz trzeci flota zatoczyła koło, tym razem statki obniżyły dzioby i ześlizgiwały się w dół. Dowódcy Dhulkhulików zastanawiali się, jakie szaleństwo owładnęło najeźdźców, lecz postanowili to wykorzystać. Dalej latali dookoła, a potem wznosili się spiralnie, jeden za drugim dla uniknięcia zderzenia. Cała armia wydawała się zagubiona w korkujących formacjach.

Statek flagowy nadal obniżał pułap, aż nagle, zanim znalazł się przy pierwszym z nietoperzy, podniósł się raptownie. Znajdował się teraz na równym poziomie z latającymi ludźmi i żaden z nich nie mógł wzlecieć ponad niego.

Dhulkhulicy zostali zamknięci jak w siatce.

Wśród skrzydlatych wojowników zaczęły wybuchać rakiety. Ekspłodowały bomby rzucone z katapult. Powietrze pełne było dymu oraz szarżujących i spadających nietoperzy. Po chwili statek flagowy wypuścił kilka jastrzębi. Ptaki błyskawicznie rzucały się z luków, wprost w twarze najbliższych ludzi.

Statkowi flagowemu towarzyszyły cztery sterówce i te wypuściły czwartą część swoich jastrzębi. Pozostałe pięć statków nadal się obniżało. Wybuchy i jastrzębie siały takie spustoszenie, że żaden z Dhulkhulików ich nie niepokoił.

Z silnikami na pełnych obrotach, pięć sterowców minęło pnie i krążąc, posłało jeszcze więcej rakiet w otwory. Największa koncentracja ognia została skierowana na wielką dziuplę, jedna z rakiet musiała uderzyć w magazyn bomb, sądząc po serii wybuchów. Brzegi dziury zostały postrzępione, a kiedy dym rozwiął się, w boku pnia ziała wielka rana.

Ulisses uśmiechnął się na ten widok, lecz nagle radość go opuściła. Ostatni z pięciu sterowców stanął w ogniu!

Statek zaczął natychmiast spadać; ogień, spalając powłokę, obnażał szkielet. Drobne postacie wyskakiwały z gondoli i luków. Ludzie woleli spaść, niż spłonąć żywcem.

Wrak, rozgrzany do białości spalającym się wodorem, rozbił się o gałąź trzysta stóp niżej i tam płonął wściekle. Ogień rozprzestrzenił się po drzewach i roślinności na gałęzi. Z dymu wyłoniły się

setki kobiet i dzieci, zmuszone do opuszczenia wcześniej nie zauważonej dziupli. Wiele z nich runęło w przepaść, prawdopodobnie otumanionych dymem.

Graushpaz cały zsiniał pod szarą skórą na widok masakry. Lecz to on pierwszy zobaczył tę dziurę ponad gałęzią. Wszyscy inni byli poniżej i to zmąciło plany Ulissego co do lądowania żołnierzy. Potrzebował miejsca, gdzie mógłby sprowadzić sterowiec w pobliże dziury i przywiązać go do gałęzi, by wysadzić wojsko.

Najpierw jednak powietrze musi się oczyścić.

Nadał przez radio rozkazy i cztery inne maszyny uniosły się i zaczęły krążyć. Pozostała piątka zawróciła i obie połowy floty zbliżały się teraz do siebie. Ulisses poświęcił kilka minut na sprawdzenie, czy lecą na bezkolizyjnych kursach, po czym skierował swoje wysiłki na obronę. Lecieli nadal na wysokości górnych stref, osiągalnych przez ludzi-nietoperzy. Ci odnowili szyki i przygotowywali formację do masowego ataku. Jastrzębie zabili lub odgonili, chociaż kosztem dużych strat.

Wypuszczono więc drugą partię ptaków. Jastrzębie wywołały bałagan i załamały pierwsze rzędy, ale sporo nietoperzy dotarło do sterowców. Powitano ich strzałami, gdyż bomby nie mogły eksplodować zbyt blisko statków. To jednak nie przeszkadzało ludziom-nietoperzom i zapalali bezpieczniki w swoich małych bombach; miotali je w powłokę statków lub na stanowiska strzeleckie. Niektóre nawet uderzyły w powłokę statku flagowego i zrobiły w niej duże dziury. Żadna jednak nie dotarła do wielkich komór gazowych, a przeciek wodoru był tak mały, że jeszcze nie stanowił zagrożenia.

Statki z każdego segmentu znajdowały się na tyle blisko, by otworzyć ogień krzyżowy. Wojownicy spadali w przepaść z wbitymi strzałami, a wielu z nich nie zdążyło jeszcze zrzucić bomb. Ulisses widział, jak bomba eksplodowała w rękach Dhulkhulikha, trafionego właśnie grotem z kuszy. Wybuch rozwalił go na kawałki i strącił dwóch innych.

Dał rozkaz wznoszenia i zwiększenia prędkości. Skrzydlaci wrogowie zostali niżej, z tyłu.

– Nesh! – zatrąbił Graushpaz. Ulisses odwrócił się i ujrzął płonący statek w sąsiednim segmencie. Jakiś nietoperz dotarł do niego z bombą – podpalił przeciekający wodór lub wysadził komorę gazową.

Powoli i majestatycznie statek opadł, rozpadając się na dwie połowy. Ryczały w nim białe i czerwone płomienie, za nim ciągnął się kłęb czarnego dymu. Ze sterowca wyskakiwali ludzie, niektórzy płonęli. Obok padały niezliczone szerniałe ciała skrzydlatych ludzi. Na tym statku skoncentrowało się szczególnie dużo Dhulkhulikhów. Właśnie przez to nagromadzenie któryś z nich dostał się z ładunkiem wybuchowym. Było ich tak wiele dookoła, że ginęli setkami, rażeni falą gorąca. Ich skóry smażyły się, a płuca wysychały.

Ci, znajdujący się trochę niżej, nurkowali szaleńczo, by uciec przed spadającym wrakiem. Udało by się większości, ale przestrzeń w powietrzu była tak zatłoczona, że nie mogli się przedrzeć przez swoich, bardziej szczęśliwych pobratymców. Znikali w płomieniach i spadali wraz ze statkiem. Zanim spustoszony ogniem szkielet rozbije się o gałąź, zamieni się już w popiół.

Roślinność pokrywająca konar płonęła gwałtownie.

Ulisses zebrał flotę i ustawił w szyku, którym poprowadził ją w kierunku wielkiej dziupli ponad gałęzią. Dhulkhulicy byli w rozsypce. Krążyli jak muchy nad padliną. Nie wydawali się teraz tak liczni. Stracili około czwartej części swoich sił. Nadal pozostawało ich blisko cztery tysiące osiemset. Zastraszająca liczba przeciwko ośmiu sterowcom.

Ponownie statek znalazł się ponad Dhulkhulikhami, ponad zasięgiem ich lotu. Nie używali teraz ani strzał, ani rakiet, tylko dymu, który spowijał latających ludzi. Zrzucano jeszcze ze statków, z

luków w rufie kilka bomb, z nadzieją, że wybuchy w gęstym dymie wywołają wśród nietoperzy panikę.

Sterowce ponownie zawróciły i zeszyły niżej, na nowo wypuszczając gęstą warstwę dymu. Żołnierze z kokpitów na górze i bokach donosili, że w statek uderzają całe masy latających ludzi, wylatujących z dymu. Niektórzy zderzali się tak mocno, że aż przedzierali powłokę, ale pozbawiono ich przytomności i poderżnięto gardła. Potem zostali wyrzuceni przez luki.

Kiedy statki minęły drugi i najniższy poziom, zawróciły jeszcze raz. Cztery zostały, by wypuścić następną chmurę dymu, a statek flagowy wraz z trzema pozostałymi zszedł pod dryfujący obłok. Słońce już zachodziło, za sześćdziesiąt sekund zniknie za horyzontem.

„Błękitny Duch” zagłębił się w fantastyczną aleję pni i gałęzi poniżej miasta, o tysiące stóp i kilka mil na południe. Ciemności zmusiły Ulissesa do włączenia reflektorów. Sądził, że ludzie-nietoperze zobaczą ich, gdy już będzie za późno, ponieważ przeszkadzał im dym i pozostałe statki. Kilku nietoperzy mogło spostrzec światła, ale zanim domyśla się, skąd pochodzą, będzie zbyt późno na działanie, miał nadzieję Ulisses.

Stanął za sternikiem i wpatrywał się w biały tunel, który stworzyły reflektory. Po obu stronach, u góry i na dole rosły gałęzie, szerokie na tysiąc stóp i pnie na mile. Sterowiec parł do przodu już bez ciągłego wznoszenia się i opadania, jak to było podczas lotu przez miejsca o zróżnicowanych temperaturach. Kierowali się do pionowego szybu, wolnego od jakichkolwiek odrostów Drzewa. Był na tyle szeroki, że sterowiec mógł manewrować w dowolnym kierunku, zmierzając do swego celu – przepastnego wejścia tuż nad gałęzią.

Gdy statek uniósł się, jego reflektory oświetliły cały rój skrzydlatych ludzi, wlatujących do dziupli. Były to głównie kobiety z dziećmi, które uciekły podczas ataku rakietami. Mogli to też być osobnicy zamieszkujący kompleksy lian, którzy uznali je za zbyt niebezpieczne na dzisiejszą noc. Pod osłoną ciemności wchodzili do dziupli, a stamtąd do zakamarków we wnętrzu pnia i gałęzi.

Kiedy uderzyły w nich światła, większość czmychnęła w ciemność.

Ulisses nie zwracał na nich uwagi, kazał jedynie załodze i łucznikom pilnie wyglądać wojowników z bombami. Wszystkie swoje wysiłki koncentrował na wymanewrowaniu sterowca delikatnie i bezpośrednio przed otwór ponad gałęzią.

Był to śmiały ruch, lub raczej, jak twierdzili niektórzy Neshgaje, „głupi i samobójczy”.

„Błękitny Duch” posuwał się powoli. W momencie, gdy przód zbliżył się do pnia, ze stanowiska na dziobie pomknęła smuga rakiety. Jej ostry plastikowy grot zarył się w pniu. Lina przymocowana do rakiety naprężyła się, kiedy sterowiec zaczął się cofać. Wystrzelono następne rakiety z dolnych luków i ponaciągano mocno liny.

Rzucono haki i zamocowano je w szczelinach i wybrzuszeniach szarej kory. Po spuszczonej linach ludzie i koty ześliznęli się i zabezpieczyli ich końce ostrymi drewnianymi palikami, wbitymi w korę.

Następni ludzie i kilku Neshgajów podążyło linami w dół. Na skutek utraty ciężaru statek uniósł się, dodatkowo naciągając liny. Jednak wytrzymały. Następnie załoga zamontowała w korze kołowrotki i przy ich użyciu ściągnęła sterowiec.

Ulisses zszedł z gondoli wprost na korę. Inni wyszli grupą za nim.

Tymczasem ludzie, którzy pozostali w sterowcu, wypuścili jastrzębie. Niektóre poleciały w górę w rzedniejący dym. Chociaż nie widziały już zbyt dobrze, to potrafiły wyczuć wroga i, jak je nauczono, zaatakować dziobem i szponami. Inne wleciały do dziupli, najwidoczniej wyczuwając tam skrzydlatych ludzi.

Trzy pozostałe sterowce przeszły obok. Za chwilę wypuszczą swoje jastrzębie i zakotwiczą na

gałęziach w pobliżu. Ich załogi miały trudniejsze zadanie niż „Błękitny D_{uc}łi”. Będą musiały zejść do dziury po pniu i gałęzi. To zabierze im sporo czasu, a trzymając się pnia, będą wystawieni na atak. Ale Ulisses liczył na ciemność, jastrzębie i pozostałe sterowce, które zatrzymają skrzydlatych wojowników w powietrzu.

Wejście było puste z wyjątkiem kilku ciał kobiet i dzieci.

Ulisses włożył drewniano-skórzany hełm z lampą. Nie dawała zbyt wiele światła, gdyż biologiczna bateria była słaba, ale lepsze to niż nic. Poza tym połączone światła całej załogi dadzą odpowiednią widoczność.

Ulisses ustawił się na czele kolumny, ale Graushpaz dotknął jego ramienia. Odwrócił się. Neshgaj powiedział:

– Żądam mego prawa do odkupienia.

Spodziewając się tego, Ulisses zszedł na bok, z poczuciem cichego zadowolenia. Graushpaz przemówił wówczas do dwudziestu oficerów Neshgajów. Była to krótka i prosta mowa.

– Zhańbiłem siebie, rzucając tym samym hańbę na was, moich kolegów oficerów i podwładnych. Wiecie o tym. Jednak wy nie musicie odpokutować. Nikt wam nie będzie robić wyrzutów, jeżeli nie pójdziecie za mną do gniazda Dhulkhulikhów. Być może wszyscy zginiemy, nie mamy przewagi i będziemy walczyć w wąskich pieczarach, które ludzie-nietoperze dobrze znają. Lecz nasz naród usłyszy o tym, co dzisiaj zrobimy. I Nesh się o tym dowie, i jeśli spłacimy dług jak należy, znajdziemy dom po śmierci na jego kłach.

Oficerowie zatrąbili i ustawili się za Graushpazem. Mieli dzidy, maczugi, kamienne siekiery, a u pasa wisały im kamienne noże. Na lewym ramieniu każdy dzierżył drewniano-skórzaną tarczę, dość grubą, aby wytrzymała wszystkie uderzenia małych Dhulkhulikhów.

– Poczekajcie chwilę – powstrzymał ich Ulisses. – Poślemy tam kilka rakiet. Wtedy możecie wchodzić.

Działowi przykleknęli, a ich towarzysze wyjęli bezpieczniki z rakiet, które popędziły w wielką dziurę, plując ogniem i dymem. Niektóre musiały zaryć w ścianach skracających korytarzy, ponieważ ich eksplozje były przytłumione. Ulisses miał nadzieję, że trafią ukrytych za rogiem w zasadzce Dhulkhulikhów. Sądząc po krzykach trafiły.

Wielki jak wieża przywódca Neshgajów podniósł swój ogromny kamienny topór, zatrąbił przenikliwie i ryknął:

– Za Neshę, za władcę i Shegnifa!

Pobiegł szybko naprzód, a za nim dwudziestu gigantów. Ulisses odliczył do dziesięciu i rozkazał swoim ludziom pospieszyć za nimi. Za nim szła Awina, potem Wufowie, Wagarondici i Akkuauibowie. Na końcu szli żołnierze Vroomawie. Jedyni, którzy nie weszli do dziur to bombardierzy i obsługa rakiet. Oni pozostali w kokpitach i na stanowiskach strzelniczych. Wszyscy uczestnicy eskapady ubrali pikowane zbroje i osłony twarzy. Dhulkhulicy to czterdziestofuntowi pigmeje, ale ich strzały zawierały śmiertelną truciznę. Jedno ukłucie i Neshgaj o wadze sześciuset funtów pada martwy w dziesięć sekund, a człowiek w dwie.

– Za mną! – wykrzyknął Ulisses i pomaszerował szybko wprost do pieczary. Najpierw było ciemno, ale po drugim zakręcie tunelu, szerokiego na dwóch mężczyzn, weszli do pomieszczenia oświetlonego zimnym światłem z setek pęków jakiejś rośliny. Padało na skrwawione i rozszarpane ciała kobiet, dzieci i starców. Głowy niektórych roztrzaskały kamienne maczugi lub topory Neshgajów.

Następnie weszli do większego pomieszczenia, czyli ulicy szerokiej na dwadzieścia stóp, o czterech poziomach otwartych pokoiów po każdej stronie. Najwidoczniej zajmowały je rodziny.

Światło dostarczały te same rośliny, porastające ściany niczym winogrona. Na ulicy leżało jeszcze więcej zmasakrowanych, martwych ciał kobiet i dzieci z otwartych drzwi pomieszczeń na górze wyglądały przerażone twarze.

Ulisses podjął szybką decyzję. Rozdzielił siły na połowę i zostawił jedną przy pierwszym zakręcie w ścianie. Będą powstrzymywać wojowników, gdyby chcieli powrócić, a w międzyczasie wyślą posłańca do drugiej grupy. Wszystkie rakiety, oprócz trzech, zostały z częścią pilnującą wejścia.

Gdyby nie wskazówki uwięzionych Dhulkhulikhów, zgubiliby się. Korytarz rozgałęział się za korytarzem, wiele z nich było tak szerokich i wysokich jak ten, w którym się znajdowali. Patrząc w nie, Ulisses widział inne. Pień i promieniście odchodzące od niego gałęzie wyglądały od środka jak plaster miodu. Miejsca było więcej niż dla trzydziestu tysięcy, jak obliczali jeńcy.

Mijali pomieszczenia, w których trzymano zwierzęta, i inne, gdzie rosły dziwne rośliny w zimnym świetle roślinnych lamp. Zobaczyli jeszcze dużo drobnych twarzy kobiet i dzieci, wyglądających z otwartych drzwi. Czasami Ulisses zatrzymywał ludzi i posyłał zwiadowcę, aby zbadał pokoje na górze. Nie chciał wpaść w pułapkę. Za każdym razem zwiadowca meldował, że większość pomieszczeń jest pusta.

Żołnierze parli naprzód, aż doszli do części, którą Ulisses miał nadzieję znaleźć. Było tam około czterdziestu zmasakrowanych ciał mężczyzn Dhulkhulikhów. Walczyli dzielnie, ale daremnie przeciwko olbrzymom. Dwóch Neshgajów leżało martwych, ich niegdyś szara skóra spurpurowiała. Mali łucznicy posłali strzały pod maski; musieli stanąć u stóp ludzi-słoni i strzelać w górę, zanim topory roztrzaskały im czaszki.

Bronili wielkiego pokoju, który musiał stanowić główne centrum komunikacyjne Dhulkhulikhów. Dookoła w ścianach, na trzech poziomach, znajdowało się przynajmniej sto ogromnych membran. Znaleźli tu jeszcze około pięćdziesiąt ciał nietoperzy i trzech martwych Neshgajów. Podłogę pokrywało kilka cali krwi.

Grauhspaz na widok Ulissesa uniósł trąbę i prychnął przeraźliwie:

– To było zbyt łatwe. Chyba nie odkupiłem swoich win.

– Jeszcze do końca daleko – odrzyknął Ulisses. Rozstawił strażę przed wejściem i podszedł do jednej z membran. Sięgnął do niej i trzykrotnie szybko uderzył, membrana zadrżała i zagrzmiała trzy razy.

Ulisses wykorzystywał wiedzę wydobytą z więźniów. Poświęcił wiele godzin snu, aby opanować kod.

Stukał teraz w membranę.

– Tu mówi kamienny bóg w mieście Dhulkhulikhów.

Mówiono mu, że Drzewo to istota, a Dhulkhulicy to jego służący. Księga Tiznaka powiedziała to samo. Nadal jednak nie wierzył.

– Ostatni z ludzi! – zadrżała membrana w odpowiedzi.

Czy mógł istnieć jakiś wielki roślinny mózg, gdzieś w tym kolosie? A może w innym pniu, w samym sercu Drzewa? Albo jakiś skrzydlaty pigmej kucał gdzieś przed membraną w podziemnym schronie? Człowiek, zdecydowany na utrzymanie mitu o myślącym Drzewie?

– Kim jesteś? – wystukał Ulisses.

Rozległo się uderzenie. Rozejrzył się. Postacie Neshgajów, stojących pośrodku kulistego pokoju, tworzyły groteskową scenę. W tym świetle ich skóra miała kolor purpurowoniebieski. A wina, jak zwykle, stała tuż za nim. Białe fragmenty jej futra wyglądały lodowato niebiesko, a jej oczy były ciemne, niczym puste dziury. Wagarondici i Alkunquibowie, surrealistyczne sylwetki,

przypominali półkoty, półwłamywaczy. Niby blade podziemne roboty stały rzędami liczące maszyny z pionowymi żyłkami i paciorkami. Jeńcy, ludzie-nietoperze, zbili się w jednym kącie; ich brązowe skóry w tym świetle zrobiły się czarne, a na twarzach odbijało się przekonanie o pewnej śmierci.

Ulisses uniósł dłoń, dał sygnał mężczyźnie niosącemu bomby, aby podszedł do niego. W tym momencie membrana zawibrowała.

– Jestem Wurutana!

– Drzewo? – Ulisses odstukał.

– Drzewo.

Znak kodu na wykrzyknik nadszedł najwyraźniej głośniejszy. Więc ta roślinna istota, jeżeli była samodzielna, posiadała emocje, w tym przypadku dumę. A dlaczego nie? Życie myślących nie może istnieć bez emocji. Emocje są tak naturalne i niezbędne dla myślenia, jak inteligencja. Te wszystkie opowiadania science-fiction z pozaziemskimi stworzeniami pozbawionymi emocji były po prostu nierealne. Formy żywe potrzebują uczuć do przetrwania, tak samo jak myślącego umysłu. Żadna istota nie potrafi się rozwijać, ani nawet żyć tylko samą logiką. Chyba, że byłby to proteinowy lub roślinny komputer, bez własnej świadomości.

– Dowiedziałem się o tobie wiele tysięcy lat temu – membrana zapulsowała.

Zastanawiał się, skąd ta istota posiadała wycucie czasu. Czy reagowała wewnętrznie na pory roku? A może genetycy, jej konstruktorzy, wmontowali w nią zegar?

– Powiedzieli mi ci, którzy muszą umrzeć.

„Ci, którzy muszą umrzeć”. Więc w ten sposób określało się ruchliwe formy życia, które porozumiewały się z Drzewem.

– Ci, którzy muszą umrzeć potrafią jednak zabijać – odstukał Ulisses.

Dostał odpowiedź, jakiej się spodziewał.

– Nie mogą mnie zabić! Jestem nieśmiertelny! I niezwyciężony!

– Skoro tak, to dlaczego mnie się boisz?

Zapanowała następna chwila ciszy. Miał nadzieję, że roślinny mózg trzęsie się zaszokowany. Zdenerwowanie stwora dało mu perwersyjną przyjemność.

W końcu membrana zadudniła:

– Nie boję się ciebie, tego, który musi umrzeć!

– W takim razie, dlaczego chciałeś mnie pojmać? Co ci zrobiłem, że żywisz taką wrogość?

– Pragnąłem z tobą porozmawiać. Jesteś dziwnym stworzeniem, anachronizmem, gatunkiem wymarłym od dwudziestu milionów lat.

To Ulissesa zaszokowało. Wiec minęło dwadzieścia, a nie dziesięć milionów lat! Dwadzieścia milionów lat!

– Skąd to wiesz?

– Powiedzieli mi moi stwórcy. Umieścili w moich komórkach pamięci dużą ilość danych.

– Czy twoimi stwórcami byli ludzie?

Błona nie poruszyła się przez kilkanaście sekund i nagle usłyszała:

– Tak.

Więc to dlatego, bał się go. Ludzie go stworzyli, człowiek może go zniszczyć. Taka musi być jego logika. Prawdopodobnie Drzewo nie wiedziało, że Ulisses jest nic nie wiedzącym dzikusiem w porównaniu z jego stwórcami. Poza tym nie miał możliwości działania. Gdyby mógł zdobyć odpowiednie metale, mógłby w końcu zrobić bombę atomową. Nawet Drzewo nie wytrzymałoby siły rozszczepionego atomu.

A jeżeli, jak się pozornie wydawało, Ziemia została pozbawiona wszystkich metali?

Dwadzieścia milionów lat rządów myślących istot musiało zużyć wszystko, oprócz śladowych ilości i złóż nie ruszonych z powodów ekonomicznych. Nie znajdzie nigdzie ani żelaza, ani miedzi. Tego był pewien. Człowiek i jego następcy już dawno wybrali wszystko i roztrwonili.

Jednak Drzewo musi mieć gdzieś jakieś centrum, które można zabić, po czym cała reszta obumrze. Bardzo możliwe, że Drzewo ulokowało tutaj Dhulkhulikhów dla obrony mózgu. Jeżeli mózg znajduje się w tym pniu, to można się do niego dostać. Pochłonie to ogromne ilości materiałów wybuchowych, narzędzie do kruszenia kamienia i wielu, wielu ludzi, ale można to zrobić. I Drzewo musi o tym wiedzieć.

Możliwe także, że Drzewo umieściło tu Dhulkhulikhów dla zmylenia. Mózg znajdowałby się wtedy o setki mil stąd. Albo w sąsiednim pniu.

Z zadumy wyrwało go dudnienie membrany.

– Nie ma powodu, abyśmy byli wrogami! Możesz żyć na mnie w wielkiej wygodzie i bezpieczeństwie. Gwarantuję, że żadne z myślących stworzeń, które tutaj żyją, nie zaatakuje ciebie. Oczywiście inni nie są pod moją kontrolą bardziej niż wszy u myślących. Lecz dla tych, którzy muszą umrzeć, nie istnieje taka rzecz jak stuprocentowe bezpieczeństwo. Jednak życie, jakie im oferuję, jest znacznie lepsze niż beze mnie.

– Może to prawda – odparł Ulisses – ale ludzie, którzy decydują się żyć na tobie, są dzicy, ubodzy i ograniczeni. Nie poznają nauki i sztuki. Ani postępu.

– Postęp? Czy to kiedyś oznaczało cokolwiek, ponad końcowe przeludnienie, morderstwa, zatrucie ziemi, powietrza i wody? Nauka ostatecznie sprzeniewierzyła się sobie, powodując samobójstwo ludzkości i, omalże, śmierć całej planety. To zdarzyło się kilkakrotnie. Jak sądzisz, dlaczego ludzkie istoty w końcu skoncentrowały się na biologii, kosztem innych nauk fizycznych? Jak sądzisz, dlaczego powstały miasta-drzewa? Ludzkość uświadomiła sobie, że musi zjednoczyć się z naturą. I to stało się, na krótko. Ale wtedy arogancja czy głupota, chciwość, czy jak to jeszcze nazwać, ponownie wzięła górę. Wtedy zniszczyli ich Andromedanie. Inne istoty rozumne odziedziczyły Ziemię. Istoty, które ludzkość stworzyła z pomniejszych stworzeń, będących jej własnością, ale i one zaczęły powtarzać błędy ludzi. Jestem jedyny, który stoi pomiędzy myślącymi, którzy muszą umrzeć i, jak zgodnie z prawdą powiedziałeś, tymi, którzy muszą zabijać. Ja jestem Drzewem, Wurutana. Nie niszczyicielem, jak nazywają mnie Neshgaje i Wufowie, lecz obrońcą. Beze mnie nie byłoby życia. Ja utrzymuję istoty myślące na swoim miejscu i robię to dla ich dobra. To dlatego ty i Neshgajowie musicie zginąć, chyba, że się poddadcie. Gdybyście tylko mogli, zniszczylibyście ponownie Ziemię. Oczywiście nie celowo, ale zrobilibyście to.

Ludzie mieszkali w swoich miastach-drzewach, które były także ich bibliotekami i komputerami. Wielkie rośliny posiadały komórki do magazynowania informacji, do których ich mieszkańcy mieli wolny dostęp. Lecz nagle, przez przypadek, czy też planowo, licząca roślina stała się samoświadomą, inteligentną istotą. Ze sługi stała się panem. Z rośliny – bogiem.

Ulisses nie mógł zaprzeczyć, że większość z tego co Drzewo powiedziało, było prawdą, ale nie wierzył w to, że każda forma myślącego życia staje się niszczyicielem. Inteligencja musi być czymś więcej niż narzędziem realizującym chciwość.

Zastukał:

– Odwołaj swoje sługi, Dhulkhulikhów, i przedyskutujemy nasze cele. Może osiągniemy pokojowe porozumienie. Będziemy wtedy żyć obok siebie. Nie ma powodu do wojny między nami.

– Ludzie zawsze niszczyli!

Ulisses zwrócił się do Wulki:

– Połóż bomby przy membranie. Popracujemy tutaj.

Złożono bomby przy wielkim dysku i przykryto je stosem liczydeł, zapalono kilka bezpieczników i cała grupa wycofała się z pomieszczenia. Kiedy wybuchy przestały trząść pokojem i dym rozwiął się, weszli z powrotem. Membrany nie było. Pośrodku miejsca, w którym stała, leżał białawy kabel grubości około trzech cali. Musiał to być przewód nerwowy.

– Zaczynicie tu kopać – rozkazał Ulisses. – Zobaczmy, czy prowadzi w dół.

Podjął środki ostrożności i ustawił kilku mężczyzn z raketami przed wejściem. Nie było żadnej reakcji na wysadzenie błony, więc prawdopodobnie pokój nie posiadał urządzeń obronnych takich, jak ten u Wuggrudów. Może Drzewo nie uważało za konieczne umieszczać ich tutaj.

Był silny.

W chwili, gdy zaczęto rozbijać nawet dość twarde drzewo, nadeszła reakcja. Pewnie Drzewo było zaszokowane i dopiero teraz doszło do siebie. Może... kto wie, co spowodowało zwłokę? Cokolwiek to było, Drzewo w pełni doszło do siebie. Strumienie wody, z tysiąca dotąd nie zauważonych otworów w ścianach były tak silne, że zwały z nóg nawet Neshgajów wielkich jak słonie. Ulisses poczuł, jakby wiele maczug, miotanych przez olbrzymów, uderzyło w niego. Odrzuciło go na bok, a potem potoczył się na spotkanie kopiącej płataniny ciał, wijących się z bólu przy wyjściu.

A raczej przy czymś, co wyjściem było. Zasłoniła je gruba, na wpół przezroczysta błona. Spadła z gładkiej, wydawać by się mogło, ściany.

W ciągu minuty woda sięgała im po kolana. Zdołali pozbierać się i wstać, chociaż, musieli walczyć, aby utrzymać pionową postawę. Na szczęście, szybko rosnący dookoła nich poziom wody, hamował strugi wody, uderzające w nogi. Mimo to, stojąc czy leżąc na podłodze, wkrótce utoną.

W tym momencie membrana wyrzuciła się i spadła na nich. Ludzie po drugiej stronie wysadzili wejście bombami.

Ulisses odepchnął ciężką, szklistą skórę, podniósł się z wody, sięgającej teraz do pasa i dał się jej ponieść, kiedy wtargnęła w przejście. Wpadł w następne kłębowisko ciał.

Awina, która wyglądała jak czarny, mokry, chory kot, złapała go za rękę i krzyknęła przez ryk leżącej się wody:

– Drugie wyjście zamknięte! Czymś jak plaster miodu!

Podszedł do drugiego wyjścia, które zalepiała bladożółta masa, wypełniająca złączone razem oczka jakiejś plastycznej białej substancji.

Zanim dotarł do drugiego pomieszczenia, zewsząd uderzyło w niego kilka strug wody. Poleciał do przodu, uderzył w coś i zwałił się z nóg. Przetoczył się kilkakrotnie, aż upadł na mokrą Awinę, poleciał dalej, zderzył się z miękkimi plecami Graushpaza i znalazł się pod stosem czterech lub pięciu Wufów.

Podłoga pod nimi drżała. Nawet przez krzyki i ogólny harmider, szum wody, uciekającej przez szczeliny w ścianach, czuł, jak podłoga drży.

Woda wylewała się z pomieszczenia, a on pełzył przez korytarz po śliskiej papce z rozdartego na strzępy plastra miodu.

Ułga trwała krótko. Woda lała się ze ścian, niczym z węża, tworząc potok na korytarzu. Z pokojów wypadły ze skrzekiem skrzydlate kobiety i dzieci, woda zmyła je. Niektóre spadły na najeźdźców, pozbawiając ich przytomności.

Artylerzyści zgubili swoje działka i pociski, bombardierom zginęły bomby. Nikt nie trzymał swojej broni. Ręce potrzebne im były do chwytania, odpychania innych ciał i obrony przed strumieniami.

Przetoczywszy się sześć razy, Ulisses oparł się na kolanach i dłoniach. Woda sięgała mu prawie

do nosa, ale na tym poziomie powstrzymywała uderzenia strumieni. Przeczłogał się przeszło sześćdziesiąt jardów i musiał wstać. Woda podniosła się zbyt wysoko, by się poruszać w taki sposób. Chwilę później sięgała już po pachy.

Korytarze zapchane były splątanymi ciałami. Dhulkhulicy walczyli o przeżycie, trupy przepływały obok, zwrócone twarzami do góry lub w dół i z rozpostartymi ramionami.

Broń Drzewa działała, ale nie wybierała ofiar. Topiąc wrogów, topiła także sprzymierzeńców.

Ulisses miał nadzieję, że Drzewo nie zablokuje już błonami ani plastrami więcej przejść. Jeśli to zrobi, to koniec. Ładunki wybuchowe zgubili gdzieś w wodzie.

Poszukał wzrokiem Awinę i przez moment myślał, że utopiła się lub zginęła. Nagle zobaczył ją, jak wisi u pasa Graushpaza. Olbrzymi Neshgaj brodził w wodzie, sięgającej mu prawie do połowy wysokości. Skrzyżowanymi rękami chronił twarz przed uderzeniami strug. Przechylał się do przodu i do tyłu, lecz nie wywracał się, jak inni jego towarzysze. Ulisses widział teraz tylko sześciu innych Neshgajów.

Zaczął płynąć, zatrzymując się dla odepchnięcia małych kobiet-nietoperzy, kiedy wchodziły mu w drogę. Poruszał się teraz szybciej, gdyż podłoga chyba trochę się pochyliła i woda wylewała się głównym wejściem.

Minął Awinę i Graushpaza. Krzyknął do niej, aby popłynęła za nim. Zwolniła uchwyt, rzucając się w wodę.

Minutę później koszmar korytarza skończył się. Uderzył w pierwszy wąski zakręt. Poniosło go dalej aż do następnego zakrętu. Poziom wody opadł raptownie i Ulisses wypłynął na gałąź; kilka sekund później leżał na niej jak ryba na plaży. Woda ciągle wypływała dookoła niego, poruszając go łagodnie, ale mógł wstać.

Pomogły mu czyjeś ręce. Ludzie ze sterowca opuścili swoje stanowiska. Krzyknął, aby wracali na statek, ale zignorowali go, pomagali pozostałym wyrzuconym z dziupli.

Podnieśli Awinę, która zataczając się, podeszła do niego.

– Mój panie, co teraz zrobimy?

Graushpaz przebrnął przez wodę i stanął z boku. Pięciu pozostałych Neshgajów wyszło po dwóch minutach. Szósty nie pokazał się.

Ulisses spojrział w górę, w noc. Unosiły się resztki dymu.

Niebo było czyste, właśnie wschodził księżyc. Nie widział go, gdyż pień zasłaniał mu widok, ale zobaczył rozjaśnione niebo. W górze poruszał się na tle czerni i gwiazd srebrny kształt igły.

Zawołał Bifaka, człowieka, który dowodził statkiem podczas inwazji w Drzewie.

– Gdzie są wojownicy Dhulkhulikhów?

– Wielu najwidoczniej pozderzało się w chmurze i spadło. Także jastrzębie zabiły sporo, a pozostali powpadali na siebie.

To mogło tłumaczyć ciężkie straty wśród ludzi-nietoperzy, ale nie wyjaśniało ich zupełnego zniknięcia. Gdzie przepadli? Dlaczego?

Woda już teraz tylko się sączyła. Światła sterowca odsłaniały kłębowisko ciał i miążgę trupów wewnątrz otworu i rozrzuconą przy wyjściu. Bifak mówił, że ciał było znacznie więcej, ale zmył je pierwszy przyływ wody, a resztę odciągnęli i zrzucili z gałęzi członkowie załogi.

W środku muszą być tysiące trupów, pomyślał Ulisses. Krzyknął do tych, którzy pozostali przy życiu. Muszą natychmiast wsiąść na „Błękitnego Ducha” i przygotować się do odlotu. Nic więcej tutaj nie robią. Pewnego dnia powrócą z większą flotą, ludźmi i materiałami, którymi wysadzą drogę do środka pni i mózgu Drzewa.

W gondoli kazał oficerom podjąć czynności do startu. Radiooperatorzy mieli nawiązać kontakt z

pozostałymi statkami i ustalić sytuację w powietrzu.

Podczas inwazji w pniu, jeden ze statków został zbombardowany i zapalił się. Spadł w przepaść i prawdopodobnie zarył się do połowy w bagnach u stóp Drzewa. Dwa sterowce, które uprzednio wylądowały, teraz także przygotowywały się do wznoszenia. Stracili cały desant, którego żołnierze utonęli wewnątrz pnia albo woda ich wyniosła i spadli, by zginąć.

Ulisses obserwował, a załoga przygotowywała się do odcięcia lin, przytrzymujących maszynę. Trzeba by wymyślić substancję, która trzymałaby się ścian wewnątrz pnia i opierałaby się naciskowi wody. Musi być szybkoschnąca i mocna. Może jakiś klej epoksydowy. Wyszczepienie można by wtedy prowadzić z dołu i z góry jednocześnie, a całe ciągi statków dostarczałyby materiałów wybuchowych. A gdyby uruchomić ten niby-laser w podziemnym muzeum pod świątynią Nesha. Mógłby on wywiercić dziury w Drzewie i wyszczepienie szło by łatwiej.

Mógłby dostać się do mózgu, gdyby go znalazł. Jednak, jeżeli mózg nie znajduje się w tym pniu, to równie dobrze może zapomnieć o znalezieniu go.

A może tak zatruć całe Drzewo? Jaką silną trucizną? Umieszczą ją całymi tonami w korzeniach. Wciągnąłby ją potężny system wodny Drzewa.

Drzewo wiedziało, co robi, próbując złapać go i zabić. Jest człowiekiem, więc i jego postrachem.

– Gotowi do przerwania lin, panie – zameldował oficer.

– Przerwać liny!

Rozległ się brzęk lin i statek poderwał się raptownie. Unosił się szybko w kierunku gałęzi, pięćset stóp ponad nimi, aż zaczął się obracać, gdy silniki sterburty ruszyły i śmigła zawirowały. Sterowiec skręcił powoli i wyszedł spomiędzy gałęzi. Cztery statki zaczęły schodzić z góry dla wyrównania poziomu z pozostałymi. Ich reflektory przeszukiwały noc, padały na szerokie szaroczarne zmarszczki i szczeliny pnia, na roślinność pokrywającą gałęzie.

Ulisses stał za sternikiem i wpatrywał się w noc ponad jego ramieniem.

– Zastanawiam się, gdzie są.

– Kto? – spytała Awina.

– Dhulkhulicy. Nawet jeżeli zabiliśmy połowę, to mają wielkie siły. Oni...

Padła odpowiedź na jego pytanie. Z korony drzewa, wielkiego jak góra spadła na nich horda ludzi o skrzydłach nietoperzy. Lecieli ze złożonymi skrzydłami, stu naraz, nie rozpościerali ich, aż nabrali dużej szybkości. Raptownie wypełnili całą przestrzeń pomiędzy wierzchołkiem pnia a sterowcami. Byli tak liczni, że wyglądali jak plaga szarańczy.

Czekali, aż statki wyjdą z gałęzi, a pozostałe zejść, aby się połączyć. Podjęli teraz ostatni, zmasowany atak, by zniszczyć całą flotę.

Dopiero później Ulisses uświadomił sobie, że nietoperze nie byli w stanie ukryć się w liściach korony Drzewa. Miało ono trzysta tysięcy stóp wysokości, czyli cztery tysiące stóp powyżej ich pułapu lotu. Jednak wytłumaczenie niemożliwego było łatwe. Dhulkhulicy wspięli się po pniu. Trzepocząc skrzydłami na wpeł unosili swoje czterdziestopięcioletnie ciała, posuwali się po chropowatym boku pnia z prędkością, której nie dorównałaby żadna inna myśląca istota, a jedynie nieliczne małpy.

Ulisses szybko myślał, czy ten plan zrodził się w głowie dowódcy Dhulkhulikhów, czy też pochodził od roślinnego mózgu, mieszkającego w pniu. Zastanawiał się, dlaczego nie zaatakowano statków na gałęziach, kiedy były najbardziej narażone i bez załogi.

Później domyślił się, że nawet gdyby nietoperze mogli wzlecieć ponad „Błękitnego Ducha”, to nie mogli zrzucić bomb. Żadne im nie zostały. Nawet na* początku zaledwie jeden nietoperz na

pięćdziesięciu miał bombę. Nie było dość czasu, aby wyprodukować i przetransportować większą ilość z północy. Dużą ich liczbę zużyli w pierwszych atakach, a pozostałe przepadły wraz z wojownikami, kiedy wypuszczono na nich chmury dymu i jastrzębie. Dowódca Dhulhulikhów, albo Drzewo, uświadamiając to sobie, ukrył skrzydlatych ludzi w koronie ogromnego pnia, kiedy chmura dymu była dość gęsta. Założył, że statki, znajdujące się zbyt wysoko, jak na atak, zejda, aby ochraniać te trzy inne na gałęziach – i wygrał.

Trudno było bronić wznoszące się statki, ze względu na brak załogi – większość z niej zginęła we wnętrzu Drzewa. Tak więc, mimo dobrej postawy trzech mężczyzn w kokpicie i na bocznych stanowiskach, oraz łuczników w lukach, zostali ponownie przytłoczeni. W przeciągu kilku minut drobne skrzydlate postacie, jak świeżo wylęgłe pluskwy, pokryły trzy statki.

Aby przyspieszyć wznoszenie, Ulisses nastawił śmigła w gondolach pionowo. Statek szybko zbliżał się do wysokości, na której nietoperze nie mogli już latać. Jednak i to nie pomoże, jeśli atakujący rozprują duże komory gazowe w kadłubie. Statek po prostu spadnie na osiągalną dla nich wysokość.

Cztery, znajdujące się wyżej, statki, z pełną załogą, uzbrojone w niezłą ilość bomb, rakiet i strzał, broniły się z lepszym skutkiem. Wybuchy zniszczyły kilka pierwszych szeregów napastników, a jednocześnie wypuszczały ostatnie kłęby dymu. Ludzie-nietoperze nadal nadlatywali, ale teraz już statki posuwały się z prędkością trzydziestu pięciu mil na godzinę, toteż kiedy atakujący docierali do nich, odbijali się od powłoki, albo uderzali tak mocno, że wpadali do środka. Ci, którzy przebili powłokę, odrywali sobie skrzydła lub łamali kruche kości. Po kilku minutach Dhulhulicy zgubili się w następnej chmurze. Stracili także szansę dostania się do czterech górnych statków.

Trzy niższe były jednak ciężkie od skrzydlatych ludzi. Ci, zabiwszy obsługę bomb i rakiet, oraz łuczników, wpychali się przez luki do środka. Tutaj przez chwilę nie wiedzieli co robić, ani gdzie iść, ponieważ kapitanowie statków powyłączali wewnętrzne światła, kiedy zrozumieli sytuację. Mimo obciążenia statki nadal powoli wznosiły się, wspomagane silnikami.

Dhulhulicy, pobłądziwszy na pomostach i kładkach, czasami spadali, ale w końcu zlokalizowali główny pomost i luk prowadzący na pokład kontrolny. Był zamknięty. Podczas gdy część ludzi-nietoperzy próbowała go otworzyć przy pomocy narzędzi, inni zrobili więcej dziur w powłoce. Wyskakiwali i podlatywali do gondoli, próbując się do niej dostać. Tym, którzy wyszli za gondolą, nie udało się, gdyż statek poruszał się zbyt szybko. Natomiast ci, którzy wyskoczyli z dziur w dziobie, zdołali uchwycić się gondoli. Daremnie uderzali kamiennymi nożami w przezroczyste iluminatory. Wówczas Ulisses kazał je otworzyć i nietoperze, otrzymawszy pchnięcia, spadli w noc.

Właz do gondoli poddał się ze zgrzytem. Mali ludzie-nietoperze, krzycząc, posypali się w dół po drabinie; poprzeszływały ich grotty, czasami i dwóch naraz. Nagle Grauhspaz nakazał łucznikom odstąpić i on, oraz jeszcze jeden Neshgaj, podeszli do drabiny, kręcąc toporami. Grauhspaz, ze światłem na hełmie, śmiało ruszył w górę na główny pokład.

Ulisses nawet na dolnym pokładzie gondoli słyszał krzyki nietoperzy i trąbienie Neshgajów. Nagle, po prawej stronie ciemność przeszła w oślepiający blask; sterowiec eksplodował. W ciągu dwóch sekund ogień otoczył go i maszyna zaczęła natychmiast spadać. Z kontrolnej gondoli wyskoczyło kilka postaci, głównie ludzkich, i jedna duża – Neshgaja. Większość skrzydlatych napastników została uwięziona w kadłubie. Nikt nigdy się nie dowie, co się stało. Może Dhulhulicy odpalili raketę, albo otworzyli ogień zbyt blisko przecieku wodoru, a może, co bardziej prawdopodobne, kapitan przesądził o losie statku i podpalił go, zamieniając w popiół kilkanaście setek Dhulhulikhów, wraz z sobą i załogą.

Ulisses jęknął na widok buchającego płomieniami statku. Zaraz potem krzyknął, gdyż inny

kierował się na spadającą maszynę. Jeżeli szybko się nie obróci, uderzy go bokiem, albo płonący statek spadnie na niego dziobem.

– Skręć, głupcze! – krzyczał. – Skręć!

Lecz statek powietrzny zmierzał statecznie w kierunku ognistej kolizji.

Chwilę później opuszczały go setki postaci. Wyskakiwały z kokpitów, stanowisk strzelniczych i dziur rozerwanych przez ludzi-nietoperzy przy zderzeniu, spadały ze skrzydłami na wpół złożonymi, a potem, już bez obawy zranienia, rozpościerały je.

Gdy Dhulkhulicy wyskoczyli i ubywało dzięki temu wagi, statek unióś się i wkrótce był już ponad płonącym wrakiem. Ulisses uśmiechnął się i doszedł do wniosku, że kapitan rozmyślnie ustawił statek na kolizyjnym kursie. On i jego załoga i tak zostaliby wybici przez Dhulkhulikhow, więc spróbował zderzyć się z tantym sterowcem. Musiał mieć przynajmniej nadzieję, że sprawy się tak potoczą. Przerażeni ludzie-nietoperze uciekli ze statku, tym samym darując życie najeźdźcom.

„Błękitny Duch” znajdował się jednak w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Był tak obciążony, że nie mógł się wyżej wznieść, a Neshgajowie choć prowadzili iście homerycką bitwę, ulegną przeważającym siłom. Byli w stanie stawiać czoła, ponieważ Pigmeje nie mieli przy sobie łuków ani zatrutych strzał. Za parę minut, ci nietoperze, którzy przetrwają, zaatakują ponownie z drabiny.

Ulisses zwrócił się do sternika:

– Przywiąż ster, ale nie wyłączaj silników. A potem chodź z innymi.

Sternik nie pytał, dlaczego ma opuścić posterunek. Wiedział, że każdy człowiek się liczy.

Ulisses stanął na górnym pokładzie, stopy miał przemoczone od krwi Dhulkhulikhow, liczył swoich „ludzi”. Miał trzech Wufów, dwóch Wagaronditów i jednego Alkunkuiba. Jednym z Wufów była Awina, ale i ona będzie miała śmierć wśród małych nietoperzy. To wszyscy spośród dwustu, którzy wyruszyli z nim na wyprawę z północy. Miał jeszcze sześciu Vroomawów.

– Jest jeszcze jedna szansa – powiedział. – Zabić wszystkich Dhulkhulikhow, za mną!

Wszedł na stopnie; w jednej ręce niósł pałkę o krzemiennym końcu, a drugą trzymał się barierki, aby nie pośliznąć się we krwi. Nadal miał na sobie pełną zbroję, a reflektor na kasku palił się.

Na początku nikt mu nie przeszkadzał. Dhulkhulicy byli zbyt zajęci Neshgajami, aby nawet go spostrzec. Tłoczyli się wokół samotnego Neshgaja, stali przed i za nim na głównym pomoście, skakali z kładek, aby uderzyć go przelatując. Przejście zasłane było zmasakrowanymi ciałami.

Ulisses podbiegł tak blisko, na ile mu starczyło odwagi, przeskakiwał przez ciała, aż znalazł się w miejscu walki. Zanim mali ludzie zobaczyli kto pomaga Graushpazowi, roztrzaskał trzy czaszki, dwóm nietoperzom złamał skrzydła. Neshgaj, trąbiąc, zebrał świeże siły, aby dalej mordować. Krew, także jego własna, splamiła pikowaną zbroję i plastikową maskę. U nasady trąby miał głęboką ranę, a z pleców wystawało mu dwie trzecie krótkiej włóczni. Jakiś nietoperz musiał zanurkować z górnego pomostu statku i wbić mu włócznię przez zbroję.

Zdolnych do walki było jeszcze czterdziestu Dhulkhulikhow. Zaatakowali nowo przybyłych z maniacką furją, tracąc wielu swoich, ale zadawszy ciosy wszystkim dziesięciu przeciwnikom. Jeden z Wufów, dwóch Wagaronditów i trzech Vroomawów zginęło w ciągu sześćdziesięciu sekund. Jednak Graushpaz, uwolniony od zacieklego ataku, rozbił trzy głowy jednym zamachem topora, zakrwawioną ręką złapał koniec skrzydła i oderwał je, wyrzucając krzyżącego człowieka z pomostu. Zaszarżował na tych, którzy atakowali jego nowych pomocników. Jego młócaca siekiera roztrzaskała dwóch na strzępy, a on zdjął skrzydlatego człowieka z pleców Ulissesa, miażdżąc mu tchawicę drugą ręką.

Nagle pozostali nietoperze uciekli w kierunku dziur w powłoce. Mieli dosyć. Jednak zanim do nich dotarli, zatrzymali się. Zawrócili z dzikim okrzykiem tryumfu, w dziurach pojawili się nowi

Dhulkhulicy.

Graushpaz krzyknął:

– Zrzucić ciała! Wyżej nas nie sięgną!

Przecisnął się obok nich, omal nie stracając wszystkich z pomostu. Zgiął się, jęcząc z bólu od dzidy w plecach i zrzucił ciała swoich przyjaciół w przepaść. Tam, gdzie ciała uderzyły, powłoka pękła. Z gwizdem wdarło się powietrze, ale to nie miało znaczenia, dziur i tak było setki.

Ulisses krzyknął na innych, aby zrzucili resztę ciał. Podnieśli swoich martwych towarzyszy i przerzucili przez barierkę, potem zabrali się za ludzi-nietoperzy. Pomoc nadal napływała poprzez dziury, ale nie były to już przytłaczające rzesze, jakich się spodziewał. Tylko około pięćdziesięciu osobników. Razem z pozostałymi – sześćdziesiąt. Dostatecznie jednak, aby zabić trzynastu obrońców kilkanaście razy.

Ulisses pobiegł pomostem, aż minął właz, prowadzący do gondoli kontrolnej. Skręcił w prawo do stanowiska obronnego i rozejrzał się za bombą. Zamierzał zapalić bezpiecznik i stanąć obok komory gazowej. Ludzie-nietoperze zobaczą, o co mu chodzi; zrozumieją jego gesty. Albo wyskoczą, albo on rzuci bombę w komorę gazową i wszyscy zginą na miejscu. Może są takimi fanatykami, że pozwolą mu na to, ale to jedyna szansa. Czy rzuci bombę, czy też nie, los jego ludzi i jego samego był przesądzony. Może ludzie-nietoperze przestraszą się i wyskoczą.

Nie było ani bomb ani rakiet. Wszystkie zużyto.

Ulisses pobiegł z powrotem kładką do pomostu. Skoczył na niego i wspiał się po szkielecie aż do wielkiej komory gazowej. Krzyknął i wszystkie głowy obróciły się w jego stronę. Rozciął powłokę worka swoim sprężynowym nożem.

Rozdarcie było małe. Wodór uchodził z sykiem, owiewał mu głowę. Ulisses cofnął się i wyciągnął z kieszeni pudełko zapalek. Trzymał je tak, aby wszyscy zobaczyli, co ma. Zrobił kilka ruchów, jakby uderzał zapalką. Miał nadzieję, że ludzie-nietoperze je znają. W innym przypadku jego gest byłby bez znaczenia.

Wśród jego załogi i skrzydlatych ludzi rozległ się krzyk przerażenia.

Zawołał:

– Dhulkhulicy, opuście statek natychmiast! Albo zabiję wszystkich! Już! Spalicie się jak ćmy w ognisku!

Usłyszeli trzask. Graushpaz przeleciał ponad barierką pomostu i runął na powłokę. Jego ciężar przedarł cienki jak papier materiał, Neshgaj zniknął. Spłacił swój dług. Wiedział, że zostało mu tylko kilka minut życia. Wyskoczył, aby statek mógł się wyżej podnieść.

Ludzie na głównym pomoście i Dhulkhulicy na kładkach, przejściach i sterburcie zamarli. Nie poruszyli się nawet, kiedy Graushpaz rzucił się poprzez barierkę. Wpatrywali się w ręce Ulissesa, pudełko i zapalkę.

Dowódca Dhulkhulików ubrany był w hełm ze szkarłatnej skóry, znak odpowiadający pułkownikowi. Kucnął w przejściu, w jednej ręce trzymał krótką włócznię, drugą przytrzymał się poręczy. Jego twarz wykrzywił grymas. Obezwładniało go niezdecydowanie.

Wtedy Awina zamierzyła się pałką, wyprostowała się. Rzuciła; wirujący pocisk uderzył dowódcę w twarz. Padł bezgłośnie.

Pozostali spojrzeli po sobie. Ich wódz nie żył, a następny musiał podjąć decyzję, czy oni wszyscy mają zginąć w katastrofie za kilka sekund, czy się wycofać. Nie opuszczając statku, upewnili się, że ich śmiertelny wróg także zginie; ale...

Ulisses potrafił docenić, to, co przeszli. Ich życie trwało bardzo krótko. Nawet jeżeli było tak marne, to mieli je tylko jedno. Gdyby uciekli, będą mogli znowu walczyć. Takie rozumowanie było

logiczne, tak samo teraz, jak i przed dwudziestoma milionami lat.

Trzymając w lewej dłoni pudełko, Ulisses przyłożył do niego główkę zapalniczki.

– Jedna iskra! – krzyknął. – Wystarczy! I wszyscy zginieją w ogniu!

Dhulkhulikh w zielonym hełmie, ranga majora, odkrzyknął:

– To umrzemy!

Potrząsnął cienką włócznią i zawołał:

– Do ataku!

Nie czekając na innych, rzucił się z pomostu z trzepotem skrzydeł na Awinę. Tutaj jednak powietrze było rozrzedzone i nie poszybował pod właściwym kątem. Uderzył w poręcz, dokładnie w sam środek, a Awina rozbiła mu głowę tomahawkiem. Dwudziestu innych poszło w ślady dowódcy, lecz niektórzy popełnili ten sam błąd i uderzyli w barierkę. Pozostałych spotkały ciosy zadane przez ostatnich dwunastu obrońców, którzy stali zwróceniem do siebie plecami: sześciu w jedną stronę, sześciu w drugą.

Ulisses, widząc jak reszta Dhulkhulikhów wyskakuje, schował zapalniczkę do kieszeni kiltu i pobiegł pomóc swoim ludziom. Zdążył na czas, aby pochwycić włócznię i wbić ją w plecy nietoperza. Ci, którzy przetrwali ostatni atak, czterej Dhulkhulicy, odlecieli i zanurkowali w dziury w powłoce.

Wszyscy byli tak zmęczeni, że ledwo mogli się ruszać. Jednak Ulisses nalegał, aby trzech członków załogi naprawiło przeciek w komorze gazowej, a inni, mieli iść z nim do gondoli. Nie zaśnie, dopóki nie zaprowadzi „Błękitnego Ducha” z powrotem do kraju Neshgajów.

Jak się później okazało, spał przez kilka nocy. Sterowiec potrzebował piętnastu godzin na walkę z wiatrem od dzioba, powoli tracąc wysokość. Załoga szukała przecieków i znalazła cztery małe, lecz innych nie mogli zlokalizować. Zanim opuścili Drzewo, maszyna musiała lecieć wśród niższych partii tej wielkiej rośliny. Z jednej strony, pomogło to w poprawieniu szybkości, ponieważ tam nie było wiatru. Jednak wzrosły wymagania wobec sternika. Musiał żeglować pomiędzy pniami i gałęziami, ponad konarami, wśród gąszczu lian, czasami ledwo się przeciskając. Dziesięć mil za Drzewem sterowiec osiadł na trawiastej równinie i przewrócił się.

Ocaleni wyczołgali się spod wielkiego cielska. Zabrali zapasy, po czym Ulisses podpalił statek, aby nie wpadł we wrogie ręce. Nie widział w pobliżu ludzi-nietoperzy, ale nie chciał ryzykować. Jeżeli istniała jedna rzecz, której z pewnością nie pragnął, to aby Dhulkhulicy nauczyli się budować własne sterowce.

Ruszyli równiną w kierunku gór, za którymi leżało państwo Neshgajów. Pozostałe statki już dawno ich minęły. Ich silniki, pracując pod wiatr, szybko się męczyły, a statki musiały wrócić, zanim roślinne mięśnie umrą z wyczerpania.

Dwa dni później zobaczyli wielkie cygaro sterowca zbliżające się do nich, jak obiecano im przez radio.

Kiedy statek znalazł się w zasięgu wzroku, Kafbi, oficer Vroomawów powiedział do Ulissesa:

– Mieliśmy szczęście się wyrwać, panie. Cały kraj brodzi we krwi. Kiedy nas nie było, niewolnicy i Vroomawie powstali przeciw Neshgajom. Panuje chaos. Neshgajowie utrzymują pewne części kraju a rebelianci pozostałe. Resztę statków zniszczyli na lotnisku Neshgajowie, ale nam się udało uciec. Wtedy przylecieliśmy po was. Niewolnicy i Vroomawie oczekują ciebie, chcą, abyś poprowadził ich do zwycięstwa. Twierdzą, że jesteś bogiem ludzi, i że twoim przeznaczeniem od niepamiętnych czasów jest uwolnić ich i uwolnić świat od potworów o głowach słońi.

Drzewo wkrótce o tym usłyszy, jeżeli już się nie dowiedziało. Zbierze Dhulkhulikhów i zbierze hordy na nim żyjące; uderzy, kiedy ludzie i Neshgajowie będą sobie skakać do gardeł. Gdyby tylko

ludzie odłożyli to powstanie, aż do chwili, gdy ich największy wróg zostanie pokonany... Ale myślące stworzenia nie kierują się zimną logiką, w każdym razie nie za często.

– Władca i wysoki kapłan nie żyją – ciągnął Kafbi. – Rządzi teraz Shegnif Wielki Wezyr. Trzyma się ze swoimi siłami w pałacowym kompleksie. Jak dotąd nie udało nam się do niego dostać.

Ulisses westchnął. Dwadzieścia milionów lat rozlewu krwi, bólu i okropieństw było za nim. I wyglądało na to, że więcej jest przed nim, gdyby miał jeszcze tak długo żyć.

Niech tak będzie.

Stał na wielkiej równinie z A winą u boku. Jej ogon ocierał się o jego prawą łydkę, kiedy czekała nerwowo na manewr statku. Odezwała się:

– Mój panie, co zrobimy, kiedy pokonamy Neshgajów?

Poklepał ją po ramieniu:

– Podoba mi się twój optymizm. „Kiedy” pokonamy, a nie „Jeżeli”, prawda? Zastanawiam się, co bym zrobił bez ciebie.

Poczuł w żołądku ucisk. Już tyle razy mogła zginąć, i musiałby radzić sobie bez niej.

– Nie ma powodu, dla którego niewolnicy i Vroomawie mieliby zdziesiątkować siebie, po to tylko aby wymordować wszystkich Neshgajów. Myślę, że byłoby znacznie lepiej, gdybyśmy zawarli rozejm i zorganizowali nowe społeczeństwo, w którym Neshgajowie nie byłiby ani panami, ani niewolnikami, ale byłiby równi ludziom. Potrzebni są nam, tak jak my im w walce z Drzewem. Musimy pomyśleć o kompromisie Awino. Szukać kompromisu to nie słabość. Siła leży w przymierzu.

– Niewolnicy i Vroomawie pragną zemsty – odpowiedziała. – Cierpieli przez setki lat pod panowaniem Neshgajów. Teraz chcą im odpłacić.

– Rozumiem to – odparł. – Ale cierpiący mogą zapomnieć o przeszłości, jeżeli przed nimi pojawiła się nowa, dobra przyszłość.

– Mogą?

– Muszą. W moich czasach starzy wrogowie zapominali o zadanych ranach i obelgach, a nawet stawali się przyjaciółmi.

– Mój panie – powiedziała, zakołysawszy się tak, że otarła się o niego biodrem, a jej ogon uderzał go w nogi. Popatrzyła na niego z ukosa. – Wkrótce będziesz mówić o kompromisie z Drzewem! Naszym odwiecznym wrogiem, niszczycielem!

Kto wie? Pomyślał. Skoro jeden umysł może nawiązać kontakt z drugim, to dlaczego nie z umysłem roślinnym? Kto wie?